BIULETYN IPN

pamięć.pl

nr 9 (18)/2013

INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ

Śmigły-Rydz – hetman II Rzeczypospolitej

Zbrodnie Wehrmachtu

Protest Ryszarda Siwca

Porucznik Januszewicz kontra Luftwaffe



Dodatek specjalny: reprint plakatu z 1939 roku oraz broszura o Ryszardzie Siwcu

Cena 6 zł (5%VAT)

ISSN 2084-7319

numer indeksu 284521
nakład 9500 egz.

Całość floty rzymskiej dzielono na flotylle (classis), z których każdą dowodził praefectus classis. Ich nazwy zależały od rejonu, w którym stacjonowały. Oprócz jednostek samego Rzymu, w jego flocie służyły też tak zwane flotylle posiłkowe dostarczane, dobrowolnie lub przymusowo, przez nacje z nim sfederowane. Oprócz okrętów stricte bojowych Imperium rozporządzało także znaczą ilością mniejszych jednostek zwiadowczych i patrolowych. W szczególnych sytuacjach różnego rodzaju funkcje pomocnicze, a nawet mniej ważne zadania zbrojne, wypełniała flota handlowa. Większe statki transportowe służyły głównie do przewożenia armii ekspedycyjnej oraz zaopatrzenia i żywności na teren działań wojennych. Wielka ich liczba wyruszyła wraz z całą flotą rzymską (liczącą trzysta trzydzieści okrętów) w ekspedycję zbrojną przeciw Kartaginie, zakończoną bitwą morską u przylądka Eknomos w 256 roku przed naszą erą. W czasach republiki naczelne dowództwo nad flotą wojenną leżało w gestii dwóch konsulów. Do sprawowania kontroli nad pojedynczymi flotyllami wyznaczali oni własnych pomocników: trybunów bądź legatów. W 311 roku przed naszą erą z inicjatywy Appiusza Klaudiusza Caecusa przeprowadzono reformę, w myśl której każdy z konsulów dobierał sobie do pomocy jednego oficera floty. Nosił on nazwę duumvir navalis i był członkiem dwuosobowego kolegium duoviri navales. Począwszy od 267 roku przed naszą erą sprawami finansowymi dotyczącymi floty rzymskiej oraz ochroną morskich szlaków handlowych zajmowali się czterej quaestores classici. W czasach II wojny punickiej, z racji dużej ilości morskich potyczek i bitew, należało stworzyć nowy rodzaj dowództwa. Związane z nim zadania przejął praefectus classis podlegający bezpośrednio konsulom. Pod koniec III wieku przed naszą erą w sprawach morskich zauważalny stał się spadek prestiżu konsula, który ostatni raz dowodził flotą w 218 roku. Jego uprawnienia przejmowali stopniowo inni wysocy urzędnicy, na przykład w trakcie wojen macedońskich całością floty kierował mianowany przez senat legatus pro praetore. Pod koniec II wieku przed naszą erą po raz pierwszy wydzielonymi eskadrami dowodzili podlegający temu ostatniemu legati classici. Głównym dowódcą okrętu wojennego był trierarchus. Jego rozkazom podlegał centurio classicus, a więc dowódca oddziału żołnierzy pokładowych. Obowiązki szypra, czyli dowodzącego mniejszymi jednostkami pływającymi, głównie handlowymi, pełnił nauarchus. Z biegiem czasu, kiedy flota rzymska stała się liczną i znaczącą siłą morską, powołano stanowisko przełożonego szyprów, które pełnił nauarchus princeps. W zależności od rodzaju okrętu wojennego na jego pokładzie znajdowała się mniejsza lub większa liczba załogi. W jej skład wchodzili: kadra dowódcza, żołnierze okrętowi (classiari lub marines), wiosłarze (remiges), żeglarze (nautae), sternik oraz fletnista bądź trębacz nadający odpowiednie tempo wiosłowania. Oficerowie pokładowi, których głównym zadaniem był nadzór nad pracą wiosłarzy oraz wydawanie odpowiednich rozkazów i komend, zajmowali miejsce na niewielkim pokładzie nawigacyjnym umiejscowionym na rufie okrętu flagowego. Na jego maszcie wywieszano flagę z typowo rzymskimi symbolami lub – w czasach Imperium – wizerunkiem cesarza (imago). Przebieg przeprawy przez Kartagińczyków bitwy u przylądka Eknomos w 256 r. p.n.e. Istotne zadania pełnił na rufie sternik, który manewrował okrętem podczas bitwy oraz odpowiadał za nawigację w czasie żeglugi. Było to możliwe dzięki dwóm zsynchronizowanym wiosłom sterowym, które znajdowały się po obu stronach kadłuba okrętu. Wiosłarze i żeglarze dysponowali jedynie lekkim uzbrojeniem zaczepnym (głównie oszczepami, które podczas żeglugi chowano pod ławeczki wiosłarskie), aczkolwiek ich zadaniem, oprócz wprawiania okrętu w ruch i nadzorowania żagli, było również uczestniczenie w bitwie, jeśli tylko wymagała tego sytuacja. Używali oni przeróżnych sposobów walki: począwszy od wylewania kotłów z gorącą cieczą na pokład przeciwnika, poprzez rzucanie koszów wypełnionych jadowitymi wężami bądź skorpionami, a skończywszy na miotaniu pocisków za pomocą procy oraz rzucaniu oszczepami, nawet z pozycji siedzącej. Każdy okręt wojenny, bez względu na wielkość, posiadał na swym pokładzie określoną liczbę legionistów, którzy podczas rejsu zajmowali miejsce w części dziobowej. Przeważnie była to tak zwana centuria classica licząca stu zbrojnych. W okresie później republiki oraz pryncypatu classiari posiadali następujące uzbrojenie: tunikę kolczą (lorica hamata) bądź dobrze dopasowany do tułowia pancerz (na wzór „pancerza atlety") i przytroczone do niego pteryges, czyli połączone ze sobą skórzane pasy, często laminowane metalem, dla lepszej ochrony podbrzusza; hełm typu beockiego ze specyficznym rondem opadającym ku dołowi i napolicznikami wiązanymi pod brodą, oszczep do dwóch metrów długości; krótki miecz (gladius). Ponadto na wyposażeniu żołnierzy pokładowych znajdowały się owalne tarcze zdobione zazwyczaj motywami morskimi (na przykład harpunami lub podobiznami boga Neptuna) i zawieszane na specjalnym pasku na ramieniu. Na podstawie znalezisk archeologicznych w Pompejach i wyobrażeń scen morskich w sztuce rzymskiej można odtworzyć także ubiór legionistów okrętowych. Typowy classiarus nosił tunikę, długi płaszcz (przeważnie koloru czerwonego) i sandały. W rzymskiej flocie wojennej służyli także sojusznicy morscy (socii navales). Zaliczali się do nich np. Grecy oraz Italikowie sprzymierzeni z Rzymem. W kontekście planowania morskiej wyprawy do Afryki w czasie II wojnie punickiej Tytus Liwiusz zanotował: Ludy Umbrii, a obok nich mieszkańcy Nursji, Reate i Amiternum, a także każdy kraj sabiński przyrzekły dostarczenie żołnierzy. Z Marsów, Pelignów, Marrucynów wielu zgłosiło się na ochotnika do służby na okrętach. Kamertowie, choć byli w przymierzu z Rzymem na równych prawach, przysłali uzbrojony oddział sześciuset ludzi. Z biegiem czasu, korzystając z ujarzmienia wielu plemion barbarzyńskich, do załóg okrętowych włączono też przedstawicieli podbitych nacji (symmacharii), którzy nie posiadali obywatelstwa rzymskiego i otrzymywali je dopiero po ukończeniu służby wojskowej. Zwykle odbywali ją oni jedynie w czasie wojny, otrzymując w zamian wynagrodzenie pieniężne. Symmacharii nie posiadali specjalnego przeszkolenia i walczyli według własnego stylu, właściwego dla plemienia, z którego pochodzili. Przewodzili im, dla ułatwienia kontaktu między dwoma stronami, nie w pełni zromanizowani wodzowie wywodzący się z terenów podbitych, w całości jednak podlegający dowództwu rzymskiemu. W zależności od rejonu stacjonowania poszczególnych flotylli rzecznych w skład rzymskich załóg wchodzili: Iberowie, Brytowie, Germanie, Gallowie a nawet Maurowie lub szerzej – mieszkańcy Afryki Północnej. Symmacharii posiadali typowe, barbarzyńskie uzbrojenie: oszczep, sztylet, okrągłą tarczę wykonaną z drewna i wzmocnioną metalowym umbem oraz maczugi. Charakterystyczną cechą tych zbrojnych był brak pancerza, choć czasami w celu częściowej choć ochrony tułowia i torsu stosowano wielowarstwowe płócienne tuniki. Wspomniani wcześniej Maurowie w warunkach morskich uzbrajali się w kilka krótkich oszczepów do rzucania, okrągłą tarczę niewielkich rozmiarów zakładaną na przedramię oraz wełnianą tunikę. Z barbarzyńców rekrutowały się także jednostki odpowiadającą za walkę na odległość. Zaliczyć do nich należy łuczników, których często werbowano spośród mieszkańców Bliskiego Wschodu – znani ze swych wysokich umiejętności byli przede wszystkim łucznicy syryjscy. Na ich orientalne uzbrojenie składały się: hełm stożkowy, pancerz łuskowy, nakarcznik, łuk refleksyjny, którego cięciwę napinano za pomocą specjalnego pierścienia (zakira) nakładanego na kciuk oraz krótki miecz. Mniejsze znaczenie aniżeli łucznikom przypisywano miotaczom kamieni, których należy odróżnić od procarzy. Ci ostatni pochodzili zazwyczaj z Wysp Balearskich, chociaż znani i cenieni byli także procarze kreteńscy. Na ich uzbrojenie składały się: proca skórzana, luźny płaszcz na pociski, tunika, hełm i krótki miecz bądź puginał. Jako procarze służyli też zwykle Brytowie, których odróżniało noszenie długich spodni oraz skórzanej torby na amunicję. Używano dwóch rodzajów procy: do rzucania na znaczną odległość przeciw oddziałom skupionym w gęstym szyku na małej przestrzeni (w takiej sytuacji znaczne straty w szeregach wroga były gwarantowane) oraz do rzucania do bliższych celów indywidualnych. Nośność procy wynosiła do sześciuset stóp rzymskich (jedna stopa rzymska to dwadzieścia dziewięć i sześć dziesiątych centymetra). Rzucano kamiennymi bądź ołowianymi kulami. Generalnie rzecz ujmując, niezależnie od tego, czy mówimy do Grekach, Rzymianach lub innych jeszcze ludach, bitwy morskie rozstrzygano na trzy sposoby. Dążono zazwyczaj do staranowania wrogich okrętów (grecki manewr – periplus), zdruzgotania ich wioseł kadłubem (diekplus) lub abordażu, czyli przeniesienia walki na pokład okrętu nieprzyjaciela. Aby skutecznie dokonać taranowania, okręty ustawiały się w szyk czołowy. Następnie podpływały do nieprzyjacielskich jednostek na bliską odległość i atakowały taranami ich burty. Później wycofywały się w celu uwolnienia taranów, po czym powtarzały wspomniane czynności. Niekiedy dążono także do okrążenia sił przeciwnika poprzez wykonywanie manewru oskrzydlającego. Będąc w niewielkiej odległości od okrętu wroga można było także zdruzgotać jego wiosła poprzez wpłynięcie na nie, gdy znajdowały się w wodzie. Należało przy tym pamiętać, aby wcześniej podnieść własne wiosła. Atak taki był możliwy po uprzednim ustawieniu okrętów w szyk liniowy, które przepływały następnie ze sporą szybkością przez ugrupowanie nieprzyjaciela. Manewr taki mogła ryzykować jedynie flota złożona z szybkich i zwrotnych jednostek. Stosowano także szyk obronny (kyklos) stosowany przez floty słabsze liczebnie od przeciwnika, bądź złożone z powolniejszych okrętów. Wówczas to jednostki tworzyły okrąg, ustawiając się taranami na zewnątrz – frontem do wroga. Rzymianie, znani z walorów swych sił lądowych, ulepszyli znacznie technikę abordażu. Aby ułatwić własnym żołnierzom przedostanie się na nieprzyjacielski okręt i nadać starciu morskiemu charakter bitwy na twardym gruncie, zaopatrzyli swe okręty w ruchome pomosty, tak zwane kruki (corvus). Miały one jedenaście metrów wysokości i jeden i dwie dziesiąte metra szerokości, z każdej strony były zabezpieczone balustradą, a dodatkowo zaopatrzone były w żelazne dzioby. Każdy taki pomost był przymocowany do ośmiometrowego słupa ustawionego na dziobie okrętu. kołowrotowi, wspomnianemu słupowi oraz linom przewleczonym przez jego wierzchołek, możliwe było podnoszenie i opuszczanie opisanej kładki, a także obrócenie jej na dowolną burtę okrętu. Aby cała konstrukcja była stabilna, używano specjalnego kolca bądź haka (coitus) na końcu pomostu.

W Internecie mamy więcej miejsca.

HIST MAG .ORG

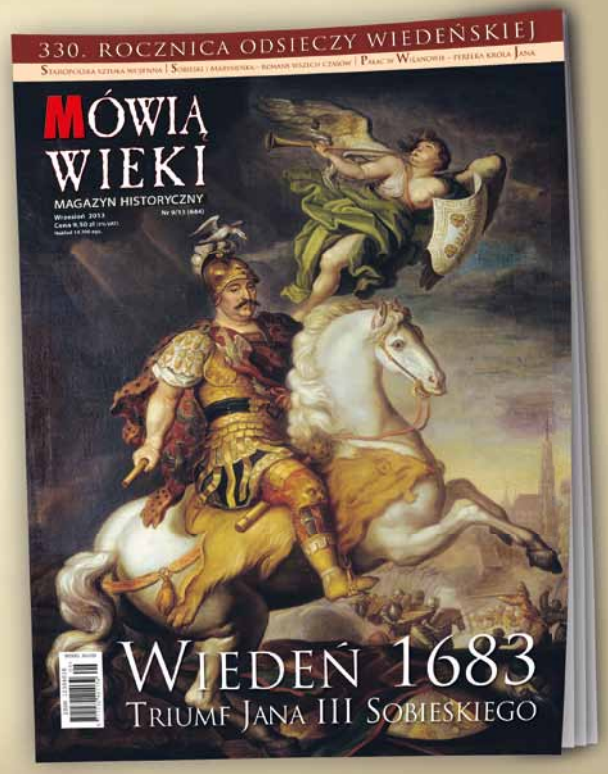
Pierwszy polski portal historyczny
www.histmag.org

MAGAZYN HISTORYCZNY „MÓWIĄ WIEKI"

Popularyzujemy historię od 55 lat!

Wrześniowy numer jest poświęcony królowi Janowi III Sobieskiemu z okazji 330. rocznicy bitwy pod Wiedniem. Przeczytacie w nim o:

- trudnym sojuszu Ludwika XIV i sułtana Mehmeda IV.
- rozkwicie staropolskiej sztuki wojennej.
- kulisach polityki Jana III Sobieskiego – nad tym, czy warto było iść pod Wiedeń zastanawiają się prof. Mirosław Nagielski i dr Dariusz Milewski.
- bitwie wiedeńskiej – jej przebiegu i konsekwencjach.
- dwóch bitwach pod Parkanami – klęsce i triumfie Sobieskiego.
- codzienności na królewskim dworze.
- pałacu w Wilanowie – ukochanej rezydencji Sobieskiego.
- gorącej miłości króla Jana III i królowej Marysieńki.
- zwycięstwie armii polsko-francuskiej pod Civita Castellana.



Ponadto w miesięczniku: aktualności historyczne, recenzje książkowe i filmowe, anegdoty sprzed wieków

„Mówią wieki" można nabyć w salonach EMPiK, Kolportera, Garmonda, Inmedio oraz dobrych kioskach RUCH-u. Prenumeratę realizują Bellona SA i RUCH.

Zapraszamy także na nasze strony internetowe:
www.mowiawieki.pl oraz ***www.facebook.com/mowiawieki***

Całość floty rzymskiej dzielono na flotylle (classis), z których każdą dowodził praefectus classis. Ich nazwy zależały od rejonu, w którym stacjonowały. Oprócz jednostek samego Rzymu, w jego flocie służyły też tak zwane flotylle posiłkowe dostarczane, dobrowolnie lub przymusowo, przez nacje z nim sfederowane. Oprócz okrętów stricte bojowych Imperium rozporządzało także znaczą ilością mniejszych jednostek zwiadowczych i patrolowych. W szczególnych sytuacjach różnego rodzaju funkcje pomocnicze, a nawet mniej ważne zadania zbrojne, wypełniała flota handlowa. Większe statki transportowe służyły głównie do przewożenia armii ekspedycyjnej oraz zaopatrzenia i żywności na teren działań wojennych. Wielka ich liczba wyruszyła wraz z całą flotą rzymską (liczącą trzysta trzydzieści okrętów) w ekspedycję zbrojną przeciw Kartaginie, zakończoną bitwą morską u przylądka Eknomos w 256 roku przed naszą erą. W czasach republiki naczelne dowództwo nad flotą wojenną leżało w gestii dwóch konsulów. Do sprawowania kontroli nad pojedynczymi flotyllami wyznaczali oni własnych pomocników: trybunów bądź legatów. W 311 roku przed naszą erą z inicjatywy Appiusza Klaudiusza Caecusa przeprowadzono reformę, w myśl której każdy z konsulów dobierał sobie do pomocy jednego oficera floty. Nosił on nazwę duumvir navalis i był członkiem dwuosobowego kolegium duoviri navales. Począwszy od 267 roku przed naszą erą sprawami finansowymi dotyczącymi floty rzymskiej oraz ochroną morskich szlaków handlowych zajmowali się czterej quaestores classici. W czasach II wojny punickiej, z racji dużej ilości morskich potyczek i bitew, należało stworzyć nowy rodzaj dowództwa. Związane z nim zadania przejął praefectus classis podlegający bezpośrednio konsulom. Pod koniec III wieku przed naszą erą w sprawach morskich zauważalny stał się spadek prestiżu konsula, który ostatni raz dowodził flotą w 218 roku. Jego uprawnienia przejmowali stopniowo inni wysocy urzędnicy, na przykład w trakcie wojen macedońskich całością floty kierował mianowany przez senat legatus pro praetore. Pod koniec II wieku przed naszą erą po raz pierwszy wydzielonymi eskadrami dowodzili podlegający temu ostatniemu legati classici. Głównym dowódcą okrętu wojennego był trierarchus. Jego rozkazom podlegał centurio classicus, a więc dowódca oddziału żołnierzy pokładowych. Obowiązki szypra, czyli dowodzącego mniejszymi jednostkami pływającymi, głównie handlowymi, pełnił nauarchus. Z biegiem czasu, kiedy flota rzymska stała się liczną i znaczącą siłą morską, powołano stanowisko przełożonego szyprów, które pełnił nauarchus princeps. W zależności od rodzaju okrętu wojennego na jego pokładzie znajdowała się mniejsza lub większa liczba załogi. W jej skład wchodzili: kadra dowódcza, żołnierze okrętowi (classiari lub marines), wiosłarze (remiges), żeglarze (nautae), sternik oraz fletnista bądź trębacz nadający odpowiednie tempo wiosłowania. Oficerowie pokładowi, których głównym zadaniem był nadzór nad pracą wiosłarzy oraz wydawanie odpowiednich rozkazów i komend, zajmowali miejsce na niewielkim pokładzie nawigacyjnym umiejscowionym na rufie okrętu flagowego. Na jego maszcie wywieszano flagę z typowo rzymskimi symbolami lub – w czasach Imperium – wizerunkiem cesarza (imago). Przebieg przeprawy przez Kartagińczyków bitwy u przylądka Eknomos w 256 r. p.n.e. Istotne zadania pełnił na rufie sternik, który manewrował okrętem podczas bitwy oraz odpowiadał za nawigację w czasie żeglugi. Było to możliwe dzięki dwóm zsynchronizowanym wiosłom sterowym, które znajdowały się po obu stronach kadłuba okrętu. Wiosłarze i żeglarze dysponowali jedynie lekkim uzbrojeniem zaczepnym (głównie oszczepami, które podczas żeglugi chowano pod ławeczki wiosłarskie), aczkolwiek ich zadaniem, oprócz wprawiania okrętu w ruch i nadzorowania żagli, było również uczestniczenie w bitwie, jeśli tylko wymagała tego sytuacja. Używali oni przeróżnych sposobów walki: począwszy od wylewania kotłów z gorącą cieczą na pokład przeciwnika, poprzez rzucanie koszów wypełnionych jadowitymi wężami bądź skorpionami, a skończywszy na miotaniu pocisków za pomocą procy oraz rzucaniu oszczepami, nawet z pozycji siedzącej. Każdy okręt wojenny, bez względu na wielkość, posiadał na swym pokładzie określoną liczbę legionistów, którzy podczas rejsu zajmowali miejsce w części dziobowej. Przeważnie była to tak zwana centuria classica licząca stu zbrojnych. W okresie później republiki oraz pryncypatu classiari posiadali następujące uzbrojenie: tunikę kolczą (lorica hamata) bądź dobrze dopasowany do tułowia pancerz (na wzór „pancerza atlety") i przytroczone do niego pteryges, czyli połączone ze sobą skórzane pasy, często laminowane metalem, dla lepszej ochrony podbrzusza; hełm typu beockiego ze specyficznym rondem opadającym ku dołowi i napolicznikami wiązanymi pod brodą, oszczep do dwóch metrów długości; krótki miecz (gladius). Ponadto na wyposażeniu żołnierzy pokładowych znajdowały się owalne tarcze zdobione zazwyczaj motywami morskimi (na przykład harpunami lub podobiznami boga Neptuna) i zawieszane na specjalnym pasku na ramieniu. Na podstawie znalezisk archeologicznych w Pompejach i wyobrażeń scen morskich w sztuce rzymskiej można odtworzyć także ubiór legionistów okrętowych. Typowy classiarus nosił tunikę, długi płaszcz (przeważnie koloru czerwonego) i sandały. W rzymskiej flocie wojennej służyli także sojusznicy morscy (socii navales). Zaliczali się do nich np. Grecy oraz Italikowie sprzymierzeni z Rzymem. W kontekście planowania morskiej wyprawy do Afryki w czasie II wojnie punickiej Tytus Liwiusz zanotował: Ludy Umbrii, a obok nich mieszkańcy Nursji, Reate i Amiternum, a także każdy kraj sabiński przyrzekły dostarczenie żołnierzy. Z Marsów, Pelignów, Marrucynów wielu zgłosiło się na ochotnika do służby na okrętach. Kamertowie, choć byli w przymierzu z Rzymem na równych prawach, przysłali uzbrojony oddział sześciuset ludzi. Z biegiem czasu, korzystając z ujarzmienia wielu plemion barbarzyńskich, do załóg okrętowych włączono też przedstawicieli podbitych nacji (symmacharii), którzy nie posiadali obywatelstwa rzymskiego i otrzymywali je dopiero po ukończeniu służby wojskowej. Zwykle odbywali ją oni jedynie w czasie wojny, otrzymując w zamian wynagrodzenie pieniężne. Symmacharii nie posiadali specjalnego przeszkolenia i walczyli według własnego stylu, właściwego dla plemienia, z którego pochodzili. Przewodzili im, dla ułatwienia kontaktu między dwoma stronami, nie w pełni zromanizowani wodzowie wywodzący się z terenów podbitych, w całości jednak podlegający dowództwu rzymskiemu. W zależności od rejonu stacjonowania poszczególnych flotylli rzecznych w skład rzymskich załóg wchodzili: Iberowie, Brytowie, Germanie, Gallowie a nawet Maurowie lub szerzej – mieszkańcy Afryki Północnej. Symmacharii posiadali typowe, barbarzyńskie uzbrojenie: oszczep, sztylet, okrągłą tarczę wykonaną z drewna i wzmocnioną metalowym umbem oraz maczugi. Charakterystyczną cechą tych zbrojnych był brak pancerza, choć czasami w celu częściowej choć ochrony tułowia i torsu stosowano wielowarstwowe płócienne tuniki. Wspomniani wcześniej Maurowie w warunkach morskich uzbrajali się w kilka krótkich oszczepów do rzucania, okrągłą tarczę niewielkich rozmiarów zakładaną na przedramię oraz wełnianą tunikę. Z barbarzyńców rekrutowały się także jednostki odpowiadającą za walkę na odległość. Zaliczyć do nich należy łuczników, których często werbowano spośród mieszkańców Bliskiego Wschodu – znani ze swych wysokich umiejętności byli przede wszystkim łucznicy syryjscy. Na ich orientalne uzbrojenie składały się: hełm stożkowy, pancerz łuskowy, nakarcznik, łuk refleksyjny, którego cięciwę napinano za pomocą specjalnego pierścienia (zakira) nakładanego na kciuk oraz krótki miecz. Mniejsze znaczenie aniżeli łucznikom przypisywano miotaczom kamieni, których należy odróżnić od procarzy. Ci ostatni pochodzili zazwyczaj z Wysp Balearskich, chociaż znani i cenieni byli także procarze kreteńscy. Na ich uzbrojenie składały się: proca skórzana, luźny płaszcz na pociski, tunika, hełm i krótki miecz bądź puginał. Jako procarze służyli też zwykle Brytowie, których odróżniało noszenie długich spodni oraz skórzanej torby na amunicję. Używano dwóch rodzajów procy: do rzucania na znaczną odległość przeciw oddziałom skupionym w gęstym szyku na małej przestrzeni (w takiej sytuacji znaczne straty w szeregach wroga były gwarantowane) oraz do rzucania do bliższych celów indywidualnych. Nośność procy wynosiła do sześciuset stóp rzymskich (jedna stopa rzymska to dwadzieścia dziewięć i sześć dziesiątych centymetra). Rzucano kamiennymi bądź ołowianymi kulami. Generalnie rzecz ujmując, niezależnie od tego, czy mówimy do Grekach, Rzymianach lub innych jeszcze ludach, bitwy morskie rozstrzygano na trzy sposoby. Dążono zazwyczaj do staranowania wrogich okrętów (grecki manewr – periplus), zdruzgotania ich wioseł kadłubem (diekplus) lub abordażu, czyli przeniesienia walki na pokład okrętu nieprzyjaciela. Aby skutecznie dokonać taranowania, okręty ustawiały się w szyk czołowy. Następnie podpływały do nieprzyjacielskich jednostek na bliską odległość i atakowały taranami ich burty. Później wycofywały się w celu uwolnienia taranów, po czym powtarzały wspomniane czynności. Niekiedy dążono także do okrążenia sił przeciwnika poprzez wykonywanie manewru oskrzydlającego. Będąc w niewielkiej odległości od okrętu wroga można było także zdruzgotać jego wiosła poprzez wpłynięcie na nie, gdy znajdowały się w wodzie. Należało przy tym pamiętać, aby wcześniej podnieść własne wiosła. Atak taki był możliwy po uprzednim ustawieniu okrętów w szyk liniowy, które przepływały następnie ze sporą szybkością przez ugrupowanie nieprzyjaciela. Manewr taki mogła ryzykować jedynie flota złożona z szybkich i zwrotnych jednostek. Stosowano także szyk obronny (kyklos) stosowany przez floty słabsze liczebnie od przeciwnika, bądź złożone z powolniejszych okrętów. Wówczas to jednostki tworzyły okrąg, ustawiając się taranami na zewnątrz – frontem do wroga. Rzymianie, znani z walorów swych sił lądowych, ulepszyli znacznie technikę abordażu. Aby ułatwić własnym żołnierzom przedostanie się na nieprzyjacielski okręt i nadać starciu morskiemu charakter bitwy na twardym gruncie, zaopatrzyli swe okręty w ruchome pomosty, tak zwane kruki (corvus). Miały one jedenaście metrów wysokości i jeden i dwie dziesiąte metra szerokości, z każdej strony były zabezpieczone balustradą, a dodatkowo zaopatrzone były w żelazne dzioby. Każdy taki pomost był przymocowany do ośmiometrowego słupa ustawionego na dziobie okrętu. kołowrotowi, wspomnianemu słupowi oraz linom przewleczonym przez jego wierzchołek, możliwe było podnoszenie i opuszczanie opisanej kładki, a także obrócenie jej na dowolną burtę okrętu. Aby cała konstrukcja była stabilna, używano specjalnego kolca bądź haka (coitus) na końcu pomostu.

W Internecie mamy więcej miejsca.

HIST MAG .ORG

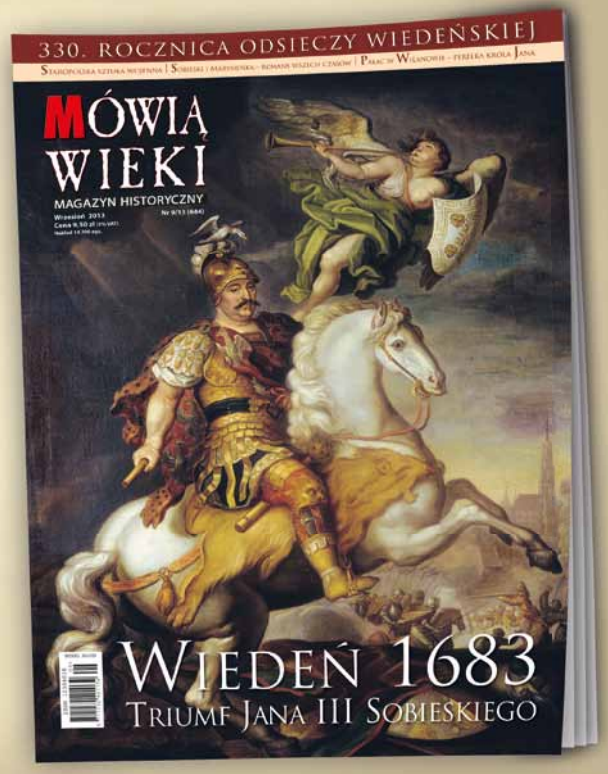
Pierwszy polski portal historyczny
www.histmag.org

MAGAZYN HISTORYCZNY „MÓWIĄ WIEKI"

Popularyzujemy historię od 55 lat!

Wrześniowy numer jest poświęcony królowi Janowi III Sobieskiemu z okazji 330. rocznicy bitwy pod Wiedniem. Przeczytacie w nim o:

- trudnym sojuszu Ludwika XIV i sułtana Mehmeda IV.
- rozkwicie staropolskiej sztuki wojennej.
- kulisach polityki Jana III Sobieskiego – nad tym, czy warto było iść pod Wiedeń zastanawiają się prof. Mirosław Nagielski i dr Dariusz Milewski.
- bitwie wiedeńskiej – jej przebiegu i konsekwencjach.
- dwóch bitwach pod Parkanami – klęsce i triumfie Sobieskiego.
- codzienności na królewskim dworze.
- pałacu w Wilanowie – ukochanej rezydencji Sobieskiego.
- gorącej miłości króla Jana III i królowej Marysieńki.
- zwycięstwie armii polsko-francuskiej pod Civita Castellana.



Ponadto w miesięczniku: aktualności historyczne, recenzje książkowe i filmowe, anegdoty sprzed wieków

„Mówią wieki" można nabyć w salonach EMPiK, Kolportera, Garmonda, Inmedio oraz dobrych kioskach RUCH-u. Prenumeratę realizują Bellona SA i RUCH.

Zapraszamy także na nasze strony internetowe:
www.mowiawieki.pl oraz ***www.facebook.com/mowiawieki***

BIULETYN IPN
pamięć.pl
nr 9 (18)/2013

SPIS TREŚCI

3 AKTUALNOŚCI IPN
4 KALENDARIUM
6 Z PIERWSZEJ STRONY

FELIETON
8 Krzysztof Gottesman, **„Byłby ze mnie hitlerowiec”**

STOPKLATKA
9 Robert Szcześniak, **Zrzuty dla powstania**

Z ARCHIWUM IPN
13 Grzegorz Wołk, **Powstanie Konfederacji**

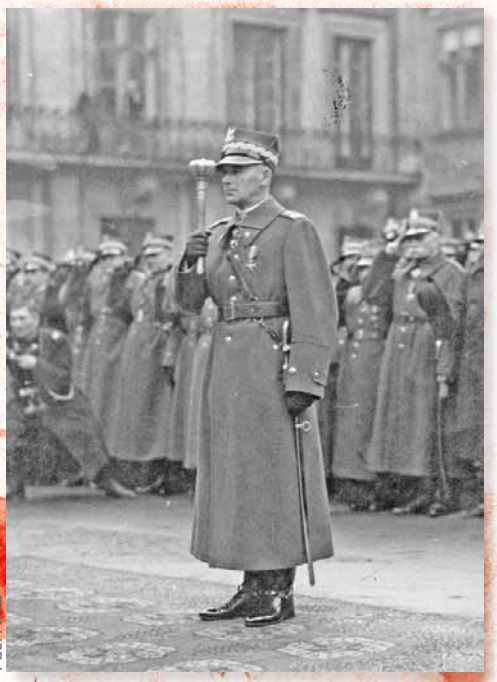
WYWIAD
16 **SS w Wolnym Mieście** – rozmowa z Janem Danilukiem, autorem książki *SS w Gdańsku*
20 **Z Krakowa do Maisons-Laffitte** – rozmowa z Wojciechem Sikorą, dyrektorem Instytutu Literackiego w Paryżu



Fot. ze zbiorów M. Rogusza



Fot. AIPN



Fot. NAC



Fot. NAC

WYDARZYŁO SIĘ W XX WIEKU
24 Marek Gałęzowski, **„Do ostatniej kobiety! Do ostatniego mężczyzny!”**
29 Elżbieta Szumiec-Zielińska, **Płonąca granica**
34 Grzegorz Bębnik, **Legenda katowickiej wieży**
38 Wojciech Wichert, **Zbrodnie „rycerskiego” Wehrmachtu**
43 Marek Rogusz, **Januszewicz kontra Luftwaffe**

Z DZIEJÓW OPOZYCJI I OPORU SPOŁECZNEGO
48 Łukasz Kamiński, **Przeciw totalnej tyranii zła. Ryszard Siwiec (1909–1968)**
51 Petr Blažek, **Żywe pochodnie**
55 Radosław Ptaszyński, **Francuski kurier**

PRAWDA CZASÓW, PRAWDA EKRANU
59 Jerzy Eisler, **„Westerplatte broni się nadal”**

Z BRONIĄ W RĘKU
62 Michał Mackiewicz, **Pepance Boforsa**

ORZEŁ BIAŁY
65 Tomasz Zawistowski, **Orły Związków Strzeleckich**

EDUKACJA HISTORYCZNA
68 Łukasz Zieliński, **Młodsza siostra *303***

HISTORIA W KINIE
70 Sergiusz Kazimierczuk, **W cieniu Stalina**

71 RECENZJE
73 BIBLIOTEKA IPN

Szanowni Czytelnicy!
Władysław Borowiec, Henryk Borowy-Borowski, Hieronim Dekutowski „Zapora", Zygfryd Kuliński, Józef Łukaszewicz, Henryk Pawłowski, Zygmunt Szendzielarz „Łupaszka", Wacław Walicki i Ryszard Widelski... 22 sierpnia 2013 roku na konferencji prasowej prezes IPN dr Łukasz Kamiński i rektor Pomorskiego Uniwersytetu Medycznego prof. Andrzej Ciechanowicz podali nazwiska kolejnych żołnierzy wyklętych przez komunistyczną władzę. Nazwiska, które miały zostać zapomniane. Dzięki działalności zespołu uczonych pod kierunkiem dr. hab. Krzysztofa Szwagrzyka przynajmniej ta część wyroku stalinowskich sądów (o ile można nazwać je sądami) została odwrócona. Te badania i godny pochówek są – i będą nadal, bo są kontynuowane, nie tylko w Warszawie – obowiązkiem pokoleń, które żyją w wolnej Polsce.
Lista przeznaczonych do zapomnienia przez władze komunistyczne w PRL i całym bloku sowieckim liczy wiele punktów. Wśród nich znajdowali się również autorzy samotnych protestów przeciwko niesprawiedliwości reżimu, tacy jak Ryszard Siwiec, który 8 września 1968 roku podpalił się w akcie sprzeciwu wobec zduszenia Praskiej Wiosny przez wojska Układu Warszawskiego. Świadoma ofiara z własnego życia, oddana w tak okrutny sposób, miała poruszyć władze i społeczeństwo. O „żywych pochodniach" – jak określił siebie jeden z samobójców, Jan Palach – piszą Petr Blažek i Łukasz Kamiński. Pamięć o tych wydarzeniach przetrwała m.in. dzięki drugiemu obiegowi, wspieranemu przez ośrodki emigracyjne (o paryskiej „Kulturze" i Maisons-Laffitte rozmawiamy z Wojciechem Sikorą), a także zaangażowaniu cudzoziemców – bohaterem artykułu Radosława Ptaszyńskiego jest Jacky Challot, francuski kurier złapany przez bezpiekę na przemycaniu kontrabandy dla opozycji w PRL.
Wrzesień jest także miesiącem, w którym szczególnie pamiętamy o wydarzeniach z 1939 roku: kampanii wrześniowej czy też wojny obronnej – historycy przypisują tym określeniom różne konotacje i znaczenia. W tym numerze „Pamięci.pl" zamieściliśmy artykuły nawiązujące do najważniejszych skojarzeń z polskim wrześniem A.D. 1939 – nie sposób, by w rozmowie o tych wydarzeniach nie padły następujące słowa: błędy, bohaterstwo, zbrodnie. Jeśli rozliczać dowódców z rezultatów, Naczelny Wódz podczas wojny obronnej, marszałek Śmigły-Rydz, nie stanął na wysokości zadania. Czy miał odpowiednie do tego predyspozycje i możliwości, i czy wszystkie błędy można zapisać na jego konto – o tym w artykule Marka Gałęzowskiego. Heroicznych epizodów podczas tych kilku tygodni walk nie brakowało. Niektóre z nich tak obrosły legendą, że zupełnie przesłoniła ona prawdziwy obraz wydarzeń. Przykładem jest obrona katowickiej wieży spadochronowej – artykuł Grzegorza Bębnika pokazuje, że literacka i filmowa fikcja powstała z mieszanki niesprawdzonych wiadomości, plotek i propagandy potrafi mocno zakorzenić się w świadomości społecznej. Z kolei Marek Rogusz, przypominając sylwetkę pilota myśliwskiego por. Wojciecha Januszewicza, tworzy jednocześnie obraz bohaterskiej walki polskiego lotnictwa z dużo bardziej zaawansowaną technicznie i liczniejszą Luftwaffe. (Do tego epizodu nawiązuje nowa gra IPN *111*, którą także prezentujemy w tym numerze.) I wreszcie – zbrodnie: trybunał norymberski uznał SS za formację zbrodniczą (o SS w Gdańsku rozmawiamy z Janem Danilukiem). Na tle zwyrodnialców z trupimi główkami na czapkach często próbuje się przedstawić Wehrmacht jako wojsko respektujące międzynarodowe konwencje dotyczące postępowania podczas wojny. Dostrzegalny w dyskursie publicystycznym w Niemczech proces wybielania Wehrmachtu przez zrzucenie całej winy na SS (a nawet – jak pokazują to całkiem świeże niemieckie produkcje filmowe – także na AK) to niebezpieczny symptom relatywizowania i zamazywania historii. Wojciech Wichert, przytaczając przypadki zbrodni popełnionych przez niemieckich żołnierzy w Polsce tylko we wrześniu 1939 roku, obala mit „rycerskiego" Wehrmachtu.

Redaktor naczelny
Andrzej Brzozowski

pamięć.pl

Wydawca:
Instytut Pamięci Narodowej – Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu

Rada Programowa:
dr hab. Grzegorz Berendt, dr hab. Robert Klementowski, dr Adam Dziurok, dr Krzysztof Kaczmarski, dr Maciej Korkuć, dr Tomasz Łabuszewski, dr Agnieszka Łuczak, dr Sławomir Poleszak, dr Paweł Skubisz, dr Waldemar Wilczewski, dr Andrzej Zawistowski (przewodniczący), dr Joanna Żelazko

Rada Redakcyjna: Dawid Golik, Agnieszka Jaczyńska, dr Andrzej Krajewski, Jan Olaszek, Kamila Sachnowska, dr Paweł Sasanka, dr Magdalena Semczyszyn, Emilia Świętochowska, dr Daniel Wicenty

Redakcja:
Andrzej Brzozowski (redaktor naczelny, tel. 22 431 83 56; e-mail: andrzej.brzozowski@ipn.gov.pl)

Maciej Foks, Filip Gańczak, Jakub Gołębiewski, Andrzej Sujka, Karolina Wichowska

Sekretariat: Maria Wiśniewska tel. 22 431-83-47, faks 22 431 83 11

Korekta: dr Magdalena Baj

Projekt graficzny: Krzysztof Findziński, Marcin Koc, Sylwia Szafrańska

Redakcja techniczna: Andrzej Broniak

Skład i łamanie: Sylwia Szafrańska

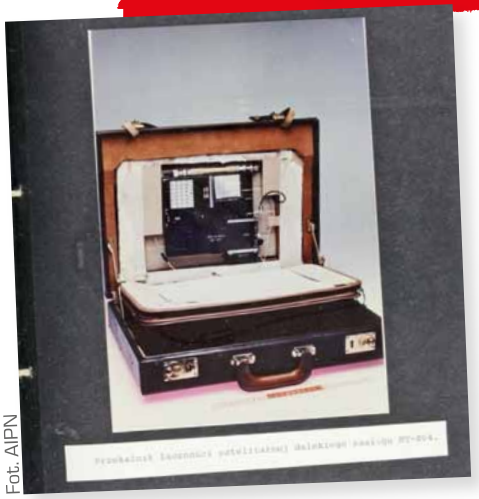
Siedziba redakcji: ul. Hrubieszowska 6a, Warszawa

Adres do korespondencji: ul. Towarowa 28, 00-839 Warszawa www.ipn.gov.pl

Druk: Centrum Usług Wspólnych ul. Powsińska 69/71, 02-903 Warszawa

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych i zastrzega sobie prawo dokonywania zmian w nadesłanych tekstach.

W NASTĘPNYM NUMERZE MIĘDZY INNYMI:



Fot. AIPN

Dyplomata, czyli szpieg

Tak zwany bagaż dyplomatyczny w okresie zimnej wojny obowiązkowo zawierał aparaty fotograficzne – małych rozmiarów lub ukryte w innych przedmiotach, komplety mikrofilmów, minimagnetofony, radia, które można było łatwo przemienić w nadajniki, a do tego jeszcze odpowiednio stuningowane samochody. Zestaw akcesoriów zachodnich dyplomatów przyjeżdżających do pracy w PRL nie był może tak efektowny jak gadżety Jamesa Bonda, ale równie skuteczny i pomysłowy. O niezbędniku zachodniego dyplomaty (szpiega?) po wschodniej stronie żelaznej kurtyny pisze Patryk Pleskot.

■ 22 sierpnia poznaliśmy nazwiska kolejnych dziewięciu **ofiar komunistycznego terroru**, których szczątki udało się odnaleźć w wyniku prac ekshumacyjnych, prowadzonych w tym i ubiegłym roku w kwaterze „Ł" Cmentarza Wojskowego na Powązkach w Warszawie. Są to:



Władysław Borowiec „Żbik" (1916–1948), uczestnik wojny obronnej 1939 roku, żołnierz Armii Krajowej;



Henryk Borowy-Borowski „Trzmiel" (1913–1951), oficer Komendy Okręgu Wileńskiego AK, uczestnik powojennej konspiracji;



Hieronim Dekutowski „Zapora" (1918–1949), cichociemny, oficer AK, dowódca oddziałów partyzanckich w lubelskim Inspektoracie Delegatury Sił Zbrojnych na Kraj, a następnie Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość";



Zygfryd Kuliński „Albin" (1924–1950), żołnierz Ruchu Oporu Armii Krajowej i Narodowego Zjednoczenia Wojskowego;



Józef Łukaszewicz „Kruk" (1929–1949), żołnierz Narodowych Sił Zbrojnych;



Henryk Pawłowski „Henryk Orłowski" (1925–1949), żołnierz Armii Krajowej, kurier Rządu RP na Uchodźstwie;



Zygmunt Szendzielarz „Łupaszka" (1910–1951), zawodowy oficer Wojska Polskiego, uczestnik wojny obronnej 1939 roku, dowódca V Wileńskiej Brygady AK, która długo stawiała czoła komunistycznemu wojsku i bezpiece;



Wacław Walicki „Tessaro" (1903–1949), oficer Komendy Okręgu Wileńskiego AK, uczestnik konspiracji powojennej;



Ryszard Widelski „Irydion" (1913–1949), żołnierz Armii Krajowej oraz Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość".

Wszyscy oni zostali straceni w więzieniu przy ul. Rakowieckiej w Warszawie i pogrzebani w bezimiennych mogiłach. – Osoby, które miały zniknąć z polskiej historii, powróciły do tej historii. Każde kolejne nazwisko powoduje, że to, co chcieli osiągnąć zbrodniarze, czyli zapomnienie, zostaje przezwyciężone – powiedział prezes IPN dr Łukasz Kamiński.

W sumie od grudnia ubiegłego roku udało się już ustalić tożsamość szesnastu ofiar. Jednoznaczna identyfikacja odnalezionych szczątków jest możliwa dzięki badaniom DNA. Te zaś są prowadzone w ramach Polskiej Bazy Genetycznej Ofiar Totalitaryzmów, powstałej na podstawie umowy między Instytutem Pamięci Narodowej a Pomorskim Uniwersytetem Medycznym w Szczecinie.

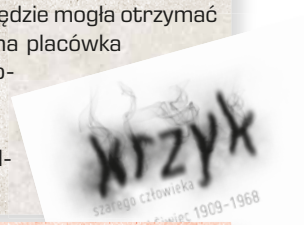
W okresie stalinowskim na terenie kwatery „Ł" pochowano kilkaset osób straconych na Mokotowie lub zakatowanych przez UB: żołnierzy powojennego podziemia niepodległościowego, a często również bohaterów walki o wolność z okresu II wojny światowej. Od lata ubiegłego roku udało się wydobyć spod ziemi szczątki około dwustu osób.

Projekt naukowo-badawczy „Poszukiwania nieznanych miejsc pochówku ofiar terroru komunistycznego z lat 1944–1956" jest realizowany przez IPN, Radę Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa oraz Ministerstwo Sprawiedliwości przy współpracy z Instytutem Ekspertyz Sądowych. Pracami kieruje dr hab. Krzysztof Szwagrzyk.

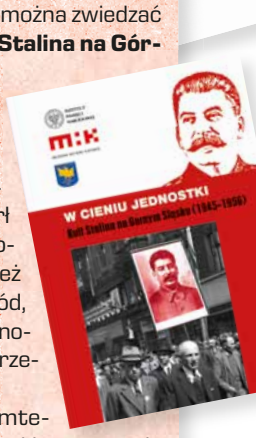
Fot. AIPN

■ 8 września ruszył **projekt multimedialny „Krzyk szarego człowieka. Ryszard Siwiec (1909–1968)"**. Chodzi o uczczenie 45. rocznicy tragicznej śmierci Ryszarda Siwca, który dokonał samospalenia na stołecznym Stadionie Dziesięciolecia, protestując przeciwko interwencji wojsk Układu Warszawskiego w Czechosłowacji.

W ramach projektu, przygotowanego przez rzeszowski oddział IPN, została uruchomiona **strona internetowa www.ryszardsiwiec.com**, dostępna w wersji polskiej, czeskiej i angielskiej. **Płytę CD** z informacjami zamieszczonymi na tej stronie będzie mogła otrzymać bezpłatnie każda zainteresowana placówka oświatowa. Dopełnieniem projektu jest trzyjęzyczny **e-book „Krzyk szarego człowieka"**, oferowany za darmo za pośrednictwem Apple iBookstore.



■ Od 17 września do 20 października **w Muzeum Historii Katowic** przy ul. ks. Szafranka 9 można zwiedzać **wystawę „W cieniu jednostki. Kult Stalina na Górnym Śląsku (1945–1956)"**.



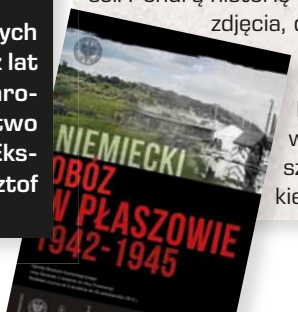
Po II wojnie światowej sowiecki dyktator Józef Stalin, „pogromca Niemców", był kreowany przez komunistyczną propagandę na najwierniejszego przyjaciela Polski. Gdy zmarł w marcu 1953 roku, w PRL ogłoszono żałobę narodową. Zdecydowano też o zmianie nazwy Katowic na Stalinogród, a województwa katowickiego – na stalinogrodzkie. Absurdalne nazewnictwo przetrwało jednak zaledwie trzy lata.

Ekspozycja przybliża atmosferę tamtego okresu. Zwraca również uwagę na kluczową rolę Górnego Śląska – terenu mocno zurbanizowanego i uprzemysłowionego – w strategii i ideologii systemu stalinowskiego.

Organizatorami wystawy są Oddział IPN w Katowicach oraz Muzeum Historii Katowic i tamtejsze Archiwum Państwowe. Ekspozycję wzbogacą wydarzenia towarzyszące, w tym sesja popularnonaukowa, zaplanowana na 17 września.

■ Do końca października w Ogrodach Muzeum Archeologicznego **w Krakowie** (ul. Senacka 3) czynna jest plenerowa **wystawa „Niemiecki obóz w Płaszowie 1942–1945"**.

Obóz ten, znany m.in. z głośnego filmu *Lista Schindlera*, pochłonął w czasie II wojny światowej życie tysięcy osób – ofiar niewolniczej pracy i masowych egzekucji. Byli wśród nich głównie Żydzi z Małopolski i zagranicy, ale też Polacy i przedstawiciele innych narodowości. Ponurą historię tego miejsca ukazują archiwalne zdjęcia, dokumenty i wspomnienia więźniów. Autorzy ekspozycji, przygotowanej przez krakowski oddział IPN, starali się również przedstawić obóz płaszowski jako element szerszej polityki terroru niemieckiego w Krakowie.



oprac. Filip Gańczak

POSTAĆ MIESIĄCA

25 września 1953: Kardynał Stefan Wyszyński został aresztowany przez funkcjonariuszy Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego.

Prymas Tysiąclecia, jak dziś jest nazywany, urodził się we wsi Zuzela koło Ostrowi Mazowieckiej. W okresie międzywojennym przyjął święcenia kapłańskie i doktoryzował się na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. W czasie niemieckiej okupacji ukrywał się przed gestapo. Służył też jako kapelan Grupy AK „Kampinos", walczącej w Powstaniu Warszawskim. W 1946 roku został biskupem lubelskim, a dwa lata później – po śmierci kard. Augusta Hlonda – arcybiskupem metropolitą gnieźnieńsko-warszawskim oraz prymasem Polski. „Władza znalazła w nim trudnego przeciwnika – duszpasterza i polityka, który potrafił łączyć wytrwałość wiernego syna Kościoła i strażnika imponderabiliów z elastycznością wytrawnego męża stanu" – ocenia w książce *Pół wieku dziejów Polski* prof. Andrzej Paczkowski. W 1950 roku Wyszyński podpisał narzucone przez komunistyczne władze porozumienie między państwem a Kościołem, odcinając się od działalności podziemia niepodległościowego. Trzy lata później firmował jednak odważny memoriał *Non possumus*, będący protestem przeciwko nasilającym się atakom na Kościół. Prymas odmówił ponadto potępienia bp. Czesława Kaczmarka, fałszywie oskarżonego o kolaborację z Niemcami i skazanego przez sąd stalinowski. To przesądziło o aresztowaniu Wyszyńskiego. Do jesieni 1956 roku był przetrzymywany kolejno w Rywałdzie, Stoczku koło Lidzbarka Warmińskiego, Prudniku Śląskim i Komańczy. Do Warszawy powrócił na fali politycznej odwilży po przejęciu władzy w PRL przez Władysława Gomułkę.

Licząc na złagodzenie polityki komunistów wobec Kościoła, prymas – po raz pierwszy i ostatni – wezwał Polaków do udziału w niedemokratycznych wyborach. Wkrótce jednak partia i rząd zaostrzyły kurs. Wyszyński był często atakowany przez propagandę komunistyczną, zwłaszcza w związku z orędziem biskupów polskich do niemieckich ze słynnymi słowami „Przebaczamy i prosimy o wybaczenie" (1965). Mimo to cieszył się w społeczeństwie ogromnym autorytetem. Po powstaniu w 1980 roku NSZZ „Solidarność" starał się pośredniczyć w rozmowach władz ze związkowcami. „Błogosławię was i wasze godziwe poczynania" – mówił w czasie spotkania z Lechem Wałęsą. Jednocześnie przestrzegał przed eskalacją dążeń wolnościowych, obawiając się krwawego odwetu ze strony władz komunistycznych. Zmarł po długiej chorobie w maju 1981 roku. Pogrzeb prymasa stał się wielotysięczną manifestacją patriotyczno-religijną. W 1994 roku kard. Stefan Wyszyński został pośmiertnie odznaczony Orderem Orła Białego przez prezydenta Wałęsę.



Fot. NAC

Prymas Stefan Wyszyński (1901–1981) podczas internowania w Komańczy; 1956 rok

3 września 1948: W czasie plenum Komitetu Centralnego Polskiej Partii Robotniczej został odwołany sekretarz generalny Władysław Gomułka.

Był to okres czystek prowadzonych z inicjatywy przywódcy ZSRR Józefa Stalina we wszystkich partiach komunistycznych bloku wschodniego. Gomułka, od pięciu lat stojący na czele PPR, wydał się Stalinowi niedostatecznie lojalny. Opowiadał się bowiem za „polską drogą do komunizmu", a nie automatycznym kopiowaniem wzorców sowieckich. Był np. przeciwnikiem natychmiastowej kolektywizacji rolnictwa i nasilenia walki z Kościołem. Podkreślał też niepodległościowe zasługi przedwojennej Polskiej Partii Socjalistycznej, zamiast – jak było przyjęte w PPR – sławić wyłącznie dorobek Komunistycznej Partii Polski. Atak na Gomułkę zainicjował – w porozumieniu ze Stalinem – prezydent Bolesław Bierut. Sekretarz generalny został oskarżony o „prawicowo-nacjonalistyczne odchylenie". Złożył częściową samokrytykę, jednak nie ocalił posady. Na dalszy plan odsunięto też jego bliskich współpracowników. „Jeden z najważniejszych ludzi tworzących komunistyczną dyktaturę i ponoszących odpowiedzialność za represje miał paść ofiarą stworzonego przez siebie systemu" – pisze o Gomułce w książce *Od niepodległości do niepodległości* historyk Filip Musiał. W styczniu 1949 roku były sekretarz generalny PPR został usunięty z rządu, a latem 1951 roku – aresztowany. Ostatecznie z niejasnych powodów zrezygnowano z wytoczenia mu procesu. W grudniu 1954 roku, już po śmierci Stalina, odzyskał wolność, a niespełna dwa lata później triumfalnie powrócił do władzy w aureoli komunistycznego męczennika.



Fot. AIPN

Władysław Gomułka

26 września 1908: Na stacji kolejowej Bezdany na Wileńszczyźnie Organizacja Bojowa Polskiej Partii Socjalistycznej obrabowała rosyjski pociąg pocztowy.
Brawurową akcją dowodził czterdziestoletni Józef Piłsudski – czołowy działacz PPS-Frakcji Rewolucyjnej, dążącej do odzyskania przez Polskę niepodległości. Późnym wieczorem bojowcy opanowali wagon pocztowy, a także zniszczyli telefon i telegraf. Po stronie rosyjskiej było kilku zabitych i rannych. Łupem Polaków padło ok. 200 tys. rubli, przewożonych do Petersburga z carskich urzędów skarbowych. Fundusze te posłużyły do spłaty długów OB PPS oraz wsparcia uwięzionych towarzyszy i ich rodzin. Część pieniędzy trafiła do skarbu wojskowego, który później wykorzystano do utworzenia paramilitarnych organizacji strzeleckich. Kilkoro uczestników napadu zostało z czasem aresztowanych. Zapadły trzy wyroki śmierci, zamienione potem na kary dożywotniej katorgi. Akcja pod Bezdanami bywa nazywana „skokiem czterech premierów", bo wzięli w niej udział m.in. czterej późniejsi szefowie rządów RP – oprócz Piłsudskiego Walery Sławek, Aleksander Prystor i Tomasz Arciszewski.

26 września 1968: Na łamach moskiewskiego dziennika „Prawda" ukazał się artykuł przedstawiający tzw. doktrynę Breżniewa. W tekście *Suwerenność i międzynarodowe zobowiązania państw socjalistycznych* Siergiej Kowaliow argumentował, że niezależność poszczególnych krajów bloku wschodniego nie może stać w sprzeczności z interesami światowego socjalizmu. W praktyce oznaczało to, że Związek Radziecki rości sobie prawo do interwencji zbrojnej w każdym państwie Układu Warszawskiego, o ile będą tam zagrożone fundamenty ustroju socjalistycznego. W listopadzie 1968 roku potwierdził to wyraźnie przywódca ZSRR Leonid Breżniew, przemawiając gościnnie na V Zjeździe Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Doktryna Breżniewa miała na celu usprawiedliwić sierpniową interwencję wojsk Układu Warszawskiego w Czechosłowacji i zdyscyplinować pozostałe kraje obozu sowieckiego. Po 1968 roku ZSRR nie użył już siły wobec „bratnich państw" w Europie, ale w 1979 roku zaangażował się w wojnę w Afganistanie.
Gdy latem 1988 roku goszczący w Polsce Michaił Gorbaczow, ówczesny przywódca Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego, został zapytany, czy doktryna Breżniewa nadal obowiązuje, uchylił się od odpowiedzi. Jesienią następnego roku rzecznik sowieckiego MSZ zażartował, że „mamy teraz doktrynę Sinatry". Było to nawiązanie do piosenki Franka Sinatry *My Way* (*Moja droga*) i przyznanie, że Związek Radziecki pozwala państwom obozu komunistycznego na podążanie w sprawach wewnętrznych własną ścieżką.


Fot. AIPN

Lech Wałęsa

27 września 1983: Telewizja Polska wyemitowała tzw. rozmowę braci, mającą skompromitować lidera opozycji Lecha Wałęsę.
Jesienią 1982 roku internowanego w Arłamowie Wałęsę odwiedził jego starszy brat Stanisław. Część prywatnych rozmów nagrał. Zdaniem Służby Bezpieczeństwa, planował przekazanie taśm zachodnim dziennikarzom. Nagranie zostało jednak zarekwirowane i trafiło w ręce funkcjonariuszy Biura Studiów SB – elitarnej jednostki Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, wykorzystywanej do zwalczania opozycji. W MSW taśmy zostały poddane manipulacji, której zakres trudno oszacować. Głosy Wałęsów są wprawdzie oryginalne, ale to, co znamy dziś jako „rozmowę braci", jest montażem. Słyszymy Wałęsę przeklinającego, złorzeczącego na Kościół i omamionego wizją wielkich pieniędzy.
Stenogram rzekomej rozmowy początkowo został pokazany m.in. hierarchom kościelnym i niektórym działaczom Solidarności. Gdy coraz realniejsze stawało się przyznanie Wałęsie pokojowej Nagrody Nobla, władze postanowiły wyemitować „rozmowę braci" w telewizji. „Decyzję podjął osobiście I sekretarz Komitetu Centralnego PZPR Wojciech Jaruzelski" – pisze historyk Grzegorz Majchrzak. „Rozmowa braci", której nadano tytuł „Pieniądze", została zaprezentowana po głównym wydaniu Dziennika Telewizyjnego. Nie przyniosło to jednak efektu zamierzonego przez władze. Większość Polaków uznała program za manipulację. Dzień po telewizyjnej emisji Wałęsa pojawił się na trybunach w czasie piłkarskiego meczu Lechii Gdańsk z Juventusem Turyn. Został owacyjnie przyjęty przez kibiców. Tydzień później, 5 października, otrzymał Nagrodę Nobla.

30 września 1938: Polska przedstawiła Czechosłowacji ultimatum w sprawie Zaolzia.
Ten niewielki obszar – będący częścią Śląska Cieszyńskiego i zamieszkany w większości przez Polaków – w 1919 roku został siłą zajęty przez wojska czechosłowackie. Po dziewiętnastu latach historia zatoczyła koło. W nocy z 29 na 30 września 1938 roku szefowie rządów Niemiec, Włoch, Wielkiej Brytanii i Francji podpisali układ monachijski. Przewidywał on, że do Trzeciej Rzeszy zostanie przyłączony tzw. Kraj Sudecki – część Czechosłowacji zamieszkana głównie przez ludność niemieckojęzyczną. Polski rząd wykorzystał ten sprzyjający moment i niespełna dobę później zażądał od władz w Pradze pokojowego przekazania Zaolzia. Osamotniona Czechosłowacja przyjęła ultimatum. 2 października 1938 roku na sporny obszar wkroczyły oddziały Wojska Polskiego pod dowództwem gen. Władysława Bortnowskiego. Półtora miesiąca później II RP zajęła również – kosztem Słowacji – niewielką część Spisza i Orawy. Działania te spotkały się w Polsce z powszechnym poparciem. Czeska opinia publiczna uznała je jednak za udział w rozbiorze Czechosłowacji. Pod adresem Polski pojawiły się też oskarżenia o współpracę polityczną z Niemcami. Jesienią 1939 roku Zaolzie zostało włączone do Rzeszy. Po II wojnie światowej ponownie przypadło Czechosłowacji.


Fot. NAC

Zajęcie Zaolzia; wkroczenie wojsk polskich do Czeskiego Cieszyna; październik 1938 roku

oprac. Filip Gańczak

12 września 1935 roku

Coroczne zjazdy NSDAP w Norymberdze były opisywane i komentowane w polskiej prasie polityczno-informacyjnej, która z niepokojem śledziła zmiany społeczno-polityczne i gospodarcze zachodzące w III Rzeszy. Relację z uroczystości otwarcia siódmego zjazdu partii nazistowskiej, podczas którego odczytano proklamację kanclerza Adolfa Hitlera do narodu niemieckiego, która jednocześnie była jego deklaracją polityczną, zdał m.in. **„Warszawski Dziennik Narodowy”** w numerze 108 z 12 września 1935 roku. Na pierwszej stronie centralnego organu prasowego Stronnictwa Narodowego można było przeczytać, że Hitler poruszył m.in. zagadnienia „dotyczące wewnętrznego życia Niemiec, rozprawiając się w ostry sposób z wewnętrznymi wrogami reżymu”: „Nie mamy w ogóle potrzeby rozmawiania z naszymi przeciwnikami. Jesteśmy silni i zachowamy siłę. Nie ścierpimy, by ktokolwiek usiłował organizować opór przeciwko naszej sile. Zniszczymy wszelkie objawy oporu. Głównymi naszymi wrogami są: 1) żydowski marksizm, 2) centrum, 3) pewne elementy typowej reakcji burżuazyjnej”. Naziści mieli przeciwstawić się swoim politycznym adwersarzom, przede wszystkim obsadzając członkami NSDAP „szereg wybitnych stanowisk państwowych” oraz rozbudowując armię, która miała stanowić „nowy filar III Rzeszy”. Równie groźnym wrogiem hitlerowskich Niemiec był – według redaktorów – „żydowsko-międzynarodowy komunizm”: „W chwili, gdy bolszewicki Żyd w Moskwie w nowej zapowiedzi walki głosi światu hasło zniszczenia – stajemy my, narodowi socjaliści, tem mocniej przy naszym wspaniałym sztandarze, niosąc go przed sobą z świętem postanowieniem prowadzenia walki przeciw dawnemu wrogowi”. Zanim jednak Wehrmacht rozpoczął wymierzoną w Sowiety operację „Barbarossa”, Berlin i Moskwa dokonały – na mocy paktu Ribbentrop–Mołotow z 23 sierpnia 1939 roku – kolejnego, czwartego rozbioru Polski...


A METROPOLITAN NEWSPAPER

DZIENNIK CHICAGOSKI

THE POLISH DAILY NEWS

LATEST WAR BULLETINS

POLSKA WALCZY DALEJ

Generał Sosnkowski Stanął Na Czele Głównej Armii

Dwie Kolumny Niemieckie Zostały Rozbite Pod Lwowem

OBURZENIE NA ROSJĘ W ANGLII I FRANCJI

Alianci Nie Przyjmą Żadnych Planów Pokojowych Hitlera

Armia Polska Nie Chce Się Poddać

CENTRUM KRAJU DALEJ W RĘKACH POLSKICH

Rumunia Bardzo Gościnnie Przyjmuje Polaków

2 POLSKIE ŁODZIE PODWODNE UNIKNĘŁY ZNISZCZENIA

CIOS W PLECY

BASEBALL

19 września 1939 roku

Polacy mieszkający w Wietrznym Mieście z niepokojem sięgali po kolejne numery **„Dziennika Chicagoskiego”**, który na bieżąco przekazywał informacje o sytuacji w Polsce ogarniętej wojną obronną. W numerze 221 z 19 września 1939 roku redakcja zamieściła na pierwszej stronie artykuł *Alianci nie przyjmą żadnych planów pokojowych Hitlera*, w którym pokrótce scharakteryzowała reakcje rządów Wielkiej Brytanii i Francji na wrześniowe wydarzenia: „Napad armii czerwonej na Polskę jest w dalszym ciągu tematem ożywionych dyskusji w Londynie i Paryżu. Choć napad ten wywołał wielkie oburzenie w Anglii i Francji, koła dyplomatyczne w Paryżu wyrażają przekonanie, że alianci nie wypowiedzą wojny Sowietom, gdyż premier [Wiaczesław] Mołotow oświadczył w czasie wczorajszego przemówienia radiowego, że Sowiety zamierzają pozostać neutralne w obecnej wojnie”. Z kolei czynne przystąpienie aliantów do wojny z Niemcami – zdaniem redakcji – było tylko kwestią czasu, a jako dowód podawano działania wojsk francuskich na granicy z III Rzeszą: „Podczas wczorajszej walki powietrznej, jeden pilot francuski strącił trzy samoloty niemieckie. [...] Generalny sztab francuski podaje także do wiadomości, że flota zatopiła wczoraj pierwszą submarynę niemiecką”. Podnosząc czytelników na duchu, chicagowska gazeta pisała: „Przez całą noc Niemcy dowozili wojsko ku linii Zygfryda, gdyż spodziewają się ataku za kilka dni. Szybko wycofują swe wojska z Polski i przesuwają je na front zachodni. Obserwatorzy francuscy twierdzą, że około miliona żołnierzy mają jeszcze Niemcy w Polsce. Francja prawdopodobnie przystąpi do ataku wkrótce”. Jak się niebawem miało okazać, rząd w Paryżu nie wypełnił swoich zobowiązań sojuszniczych. Tymczasem otoczone „z jednej strony hordami nazistów, a z drugiej hordami bolszewickimi, wojsko polskie nadal walczy. Francuzi powiadają, że takiego bohaterstwa nie widział świat od setek lat. Bohaterstwo to jest najlepszym dowodem, że nie będzie pokoju w Europie, dopóki państwo polskie nie będzie wskrzeszone, wielkie i silne”.


WARSZAWSKI DZIENNIK NARODOWY

WYCHODZI CODZIENNIE RANO

Czwartek 12 września 1935 r. Nr. 108 a Rok I

Redakcja i Administracja: Warszawa, Nowy-Świat 47

Prenumerate na Warszawski Dziennik Narodowy prosimy przesyłać przekazami roz achunkow

Proklamacja Hitlera do narodu

Odczytana na zjeździe norymberskim

Obcy o wyborach w P

Wielkie zainteresowanie — Klęska obozu rz

Pełne zwycięstwo narodowców

WROGOWIE WEWNĘTRZNI NIEMIEC

„POLITYKUJĄCE” WYZNANIA

1-szy rząd w teatrach T. K. K. T.

9 września 1950 roku

O głównych założeniach planu sześcioletniego (1950–1955) rozpisywano się w niemal wszystkich gazetach. Nie inaczej uczyniła redakcja organu Marynarki Wojennej **„Na Straży Wybrzeża”**, która w numerze 12 z 9 września 1950 roku zwróciła uwagę na rolę Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej w realizacji planu zakładającego przekształcenie powojennej Polski w jedno z najbardziej uprzemysłowionych państw Europy. Odnosząc się do wzrostu gospodarczego z przełomu 1949 i 1950 roku, gazeta podkreślała: „Sukcesy produkcyjne, a tym samym wzrost dochodu narodowego, podniosły autorytet i znaczenie partii, przyczyniły się do wzmocnienia wiary w zwycięstwo, jeszcze raz potwierdziły słuszność i żywotność zadań stawianych przez partię”. Mimo że plan sześcioletni zakładał przede wszystkim rozwój przemysłu ciężkiego i metalowego kosztem innych gałęzi gospodarki, co już wkrótce dobitnie odczuło całe społeczeństwo, gazeta uspokajała, że PZPR dba także o interesy chłopów: „Partia nasza dba o socjalistyczny rozwój wsi, zabezpieczając możliwości korzystania ze zdobyczy naukowych i technicznych jak najszerszym rzeszom mało- i średniorolnego chłopstwa, stosując słuszną formę polityczną w stosunku do bogacza wiejskiego, kładąc szczególny nacisk na rozwój kolektywnej gospodarki, na rozwój szkolnictwa na wsi”. Industrializacja kraju miała zostać przeprowadzona nie tylko rękoma robotników i chłopów, lecz także... marynarzy: „My marynarze Ludowej Marynarki Wojennej, odbywając służbę wojskową, budujemy socjalizm wraz z całym narodem przez stałe podnoszenie naszych kwalifikacji, przez wzorowe wykonywanie stawianych nam zadań, przez wzorowe wykonywanie obowiązków służbowych, przez stałe podnoszenie gotowości bojowej naszej Ludowej Marynarki Wojennej. Nasze zadanie Planu 6-letniego – to zabezpieczenie przed zakusami imperializmu pokojowej, twórczej pracy naszych ojców i matek, braci i sióstr, budujących w codziennym trudzie zręby socjalizmu”.


Na Straży Wybrzeża
GAZETA MARYNARKI WOJENNEJ
Nr 12 Gdynia, dnia 9 września 1950 r. Rok I.

ZWIĘKSZYĆ TROSKĘ O TECHNIKĘ BOJOWĄ

PZPR – KIEROWN... walki

Rozkaz 1-majowy Ministra Obrony Narodowej Marszałka Konstantego Rokossowskiego, nakazuje stałe podnosić gotowość bojową naszych jednostek. Na gotowość bojową składa się przede wszystkim poziom wyszkolenia bojowego i politycznego załóg oraz stan techniczny mechanizmów okrętowych i uzbrojenia. Uzbrojenie i inny sprzęt techniczny naszej floty, którą otrzymaliśmy od bratniej Floty Czerwonej, zdało egzamin bojowy w zwycięskich walkach z faszystowskimi flotami Niemiec i Japonii. Jest ono owocem twórczej myśli i pracy inżyniera i robotnika pierwszego na świecie państwa socjalistycznego, który pracował z poświęceniem, zdając sobie sprawę, że sprzęt ten służył podczas wojny obronie jego ojczyzny, że dziś broni on pokoju na świecie.

Ten doskonały i wypróbowany w bojach sprzęt masy pracujące powierzyły swym synom, którzy pełnią zaszczytną służbę w Ludowej Marynarce Wojennej. Utrzymanie tego sprzętu w ciągłej gotowości bojowej winno być amtowości bojowej winno być am-

uwagę przed strzelaniem należy zwrócić na stan przewodu lufy, oporopowrotników i przygotowanie amunicji. W walce o przedłużenie żywotności sprzętu trzeba po każdym strzelaniu dokładnie sprzęt oczyścić i sprawdzić mechanizm.

Zdarzają się wypadki, że powstałe podczas strzelania drobne uszkodzenia są trudne do zauważenia, ale dają się w tym stanie łatwo usunąć, niezauważone i nieusunięte w porę mogą spowodować przy następnym strzelaniu poważną awarię, która z kolei osłabi gotowość bojową jednostki.

Musimy pamiętać, że sprzęt posiadany przez nas jest sprzętem na wskroś nowoczesnym i bardzo dobrym a wszelkiego rodzaju awarie i uszkodzenia wynikają z nieumiejętnego a może czasem i niedbałego obchodzenia się z nim. Przez umiejętne i troskliwe obchodzenie się ze sprzętem podniesiemy gotowość bojową naszych jednostek, wykonując tym samym Rozkaz 1-majowy Ministra Obrony Narodowej a zarazem pełną gotowością bojową wzmocnimy światowy obóz

Nasza partia opierając się o doświadczenia wielkiej WKP(b), śmiało stawia wytyczne Planu przed społeczeństwem, a szczególnie przed jego czołowym oddziałem — klasą robotniczą. Sukcesy produkcyjne, osiągnięte w ciągu roku 1949 i w pierwszych miesiącach 1950, oraz ogromny, socjalistyczny rozmach współzawodnictwa pracy, stworzyły podstawę do twórczego i coraz bardziej śmiałego planowania. Sukcesy produkcyjne a tym samym wzrost dochodu narodowego, podniosły autorytet i znaczenie partii, przyczyniły się do wzmocnienia wiary w zwycięstwo, jeszcze raz potwierdziły słuszność i żywotność zadań stawianych przez partię.

Tow. Hilary Minc w swoim referacie na V Plenum KC PZPR powiedział:

„Przystępujemy do obrad nad Planem 6-letnim, nad planem rozwoju gospodarczego i budowy podstaw socjalizmu w Polsce w momencie naprężonej i skomplikowanej sytuacji międzynarodowej. Zżerany wewnętrznymi sprzecznościami, przerażony postępami obozu socjalizmu i pokoju, rozbestwiony imperializm

ODRODZENIE
TYGODNIK PUBLICYSTYCZNY
Nr 10 11
Jelenia Góra
11-18 września 1981

Zjazd jakiego jeszcze nie było – relacja wysłannika z Gdańska (s. 3) ➔ Zjazd dla Polski – I Krajowy Zjazd Delegatów NSZZ „Solidarność” (s. 2 i 4) ➔ rejestr [...] (s. 6) ➔ walczyłem za Polskę — pamiętnik (s. 7) ➔ precedens czy bezprawie (s. 8) ➔ zapiski z minionego tygodnia (s. 9) ➔ coś dla następnego pokolenia (s. 12)

SPÓR O POLSKĘ SAMORZĄDOWĄ

IRENA STRZEMIŃSKA

11–18 września 1981 roku

„Kiedy Lech Wałęsa powiedział do zebranych na wiecu, że uzdrowienie polskiej gospodarki koniecznie trzeba zacząć od porządkowania najbliższego otoczenia, od wprowadzenia ładu na stanowiskach roboczych, we własnych zakładach pracy, natychmiast przypomniano sobie o powstałych ongiś, w czasach »odwilży« w latach pięćdziesiątych – samorządach robotniczych” – pisała Irena Strzemińska w podwójnym (10–11) numerze **„Odrodzenia”** z 11–18 września 1981 roku. W artykule *Spór o Polskę samorządową* autorka opisała „pierwsze kroki na drodze do samorządności”, jakie podczas wyborów nowego dyrektora postawiła załoga wrocławskiej fabryki maszyn „Fadroma”. Na drodze demokratycznego głosowania, „przez wszystkich członków załogi, bez względu na przynależność partyjną czy związkową”, wybrała spośród siebie kandydata na nowego dyrektora. Kandydaturę zaakceptował sam dyrektor zjednoczenia, który stwierdził wręcz, że osoba ta „doskonale orientuje się w produkcji zakładu”. I tutaj zaczęły się problemy: „Okazało się bowiem, że tok postępowania przy wyborach oraz bezpartyjna osoba nowego dyrektora absolutnie nie przypadła do gustu Komitetowi Dzielnicowemu PZPR »Fabryczna«”. W tej sytuacji dyrektor zjednoczenia „musiał pozbyć się natychmiast tendencji podążania za postępem i duchem czasu” i w rezultacie cofnął swoje poparcie, twierdząc, „że zawsze ma prawo zmiany zdania”. „No tak, Komitet Dzielnicowy PZPR chce swojego człowieka posłusznego, który nie dostarczy żadnych niespodzianek, zrobi to, co nakażą” – komentowała całą sytuację Strzemińska. Tymczasem załoga fabryki zagroziła strajkiem, a „przedstawiciel Zarządu Regionalnego Dolnego Śląska NSZZ »Solidarność« powiedział, że od powodzenia akcji w »Fadromie« zależy los samorządów pracowniczych w całym kraju”. Pod naporem opinii publicznej Komitet Dzielnicowy zaakceptował jednak dyrektora wybranego przez załogę. „I tak zaczęła się realizacja samorządności w tej fabryce”.

dr Mariusz Żuławnik – historyk, naczelnik Wydziału Informacji i Sprawdzeń BUiAD IPN

„Byłby ze mnie hitlerowiec”

Krzysztof Gottesman

15 sierpnia zmarł w Nicei Sławomir Mrożek. Chciałoby się od razu napisać – wybitny polski pisarz, autor *Tanga* i wielu innych dramatów, które na zawsze wejdą do historii polskiej kultury. Czy tylko to? Czy nieszczęsny podpis złożony w 1953 roku pod rezolucją potępiającą sądzonych w sfingowanym procesie kurii krakowskiej może zakwestionować sens całego jego życia?

Wiadomość o śmierci Mrożka wolno rozchodziła się po Polsce. W refleksjach i komentarzach dominowały dwa nurty. W pierwszym mówiono o wielkości Mrożka, światowym formacie jego twórczości. W *Tangu* napisanym w 1964 roku, a zwłaszcza w postaci Edka, wielu wciąż widzi współczesność z jej mechanizmami i problemami. Krótko wspominano o stalinowskim zaangażowaniu pisarza.

Zgoła inny ton dominował w Internecie. Tam o literaturze było dużo mniej. „Wszystkie te Mrożki i inne tałatajstwo są podejrzane, staliniści. Nie ma wybaczenia dla stalinistów. Nie rozumiem, jak można było popierać masowe zbrodnie. Dla mnie to czerwony pachołek, wolę polskich pisarzy” – takich wpisów było w sieci wcale niemało.

Skąd te komentarze, zwłaszcza wobec pisarza, którego na podstawie jego twórczości trudno by posądzać o poparcie dla jakiegokolwiek totalitaryzmu? Dlaczego ich autorzy nie wspominają jego dramatów?

Powodem takiego osądu jest przede wszystkim rezolucja pisarzy krakowskich z lutego 1953, dotycząca procesu księży kurii krakowskiej: „My, zebrani w dniu 8 lutego 1953 r. członkowie krakowskiego Oddziału Związku Literatów Polskich, wyrażamy bezwzględne potępienie dla zdrajców Ojczyzny, którzy wykorzystując swe duchowe stanowiska i wpływ na część młodzieży skupionej w KSM, działali wrogo wobec narodu i państwa ludowego, uprawiali – za amerykańskie pieniądze – szpiegostwo i dywersję. Potępiamy tych dostojników z wyższej hierarchii kościelnej, którzy sprzyjali knowaniom antypolskim i okazywali zdrajcom pomoc, oraz niszczyli cenne zabytki kulturalne. Wobec tych faktów zobowiązujemy się w twórczości swojej jeszcze bardziej bojowo i wnikliwiej niż dotychczas podejmować aktualne problemy walki o socjalizm i ostrzej piętnować wrogów narodu – dla dobra Polski silnej i sprawiedliwej”.

Podpis pod tymi słowami złożyło ponad pół setki pisarzy, wśród nich Mrożek. Tekst bez wątpienia haniebny, zwłaszcza gdy się zważy, że odnosi się do ludzi, którzy zostali skazani na śmierć, którzy nie mogli się bronić i których przecież oskarżono całkowicie fałszywie i osądzono w sfingowanym procesesie.

Rok 1953, szczyt polskiego stalinizmu, wszechobecny terror i rewolucyjny amok. List pisarzy jest tego przejawem. Ktoś powie: podpisywali, bo musieli, bo uważali, że trzeba. Sądzonych w procesie kurii potępiano również na wielu masówkach. Mrożek miał wówczas 23 lata. To też prawda. Ale czy cała? Mrożek do swojej przeszłości odnosił się kilkakrotnie. W wydanym w 2006 roku *Baltazarze* tak wspominał swoje zauroczenie komunizmem: „Mając dwadzieścia lat, byłem gotowy na przyjęcie każdej propozycji ideologicznej, bez zaglądania jej w zęby, byle tylko była rewolucyjna. Mistrzowie doskonale o tym wiedzieli. Manipulowanie młodością należało do ich rutyny... I tak miałem szczęście, że nie urodziłem się Niemcem, rocznik – powiedzmy – 1913. Byłby ze mnie hitlerowiec, ponieważ metoda werbunku była taka sama”.

To nie jest wyznanie złożone ot tak sobie, dla poklasku i zrzucenia z siebie odpowiedzialności. To słowa równie przerażające jak treść rezolucji. Obnażające oblicze komunizmu, każdego totalitaryzmu. Mrożek nie neguje swojej przeszłości, jest świadom jej konsekwencji. Być może – a ja jestem o tym przekonany – bez tych lat spędzonych w stalinowskiej Polsce, bez krótkiego oddania się w służbę kłamstwu i pogardzie, nie byłoby Mrożka późniejszego. Poznanie na własnej skórze komunizmu, jego zbrodniczych mechanizmów i manipulacji, również kłamstwa i donosicielstwa, stało się fundamentem jego późniejszej twórczości.

Mrożek nie był jedynym pisarzem, który zaangażował się w służbę komunistycznej ideologii. Jerzy Andrzejewski, Jan Brzechwa, Adam Ważyk, Konstanty Ildefons Gałczyński, Mieczysław Jastrun, Julian Tuwim, Wiktor Woroszylski czy Andrzej Kijowski, którego podpis też znajduje się pod krakowską rezolucją, i wielu innych uczynili to podobnie lub znacznie mocniej. Większość, wcześniej czy później, odeszła od komunizmu. Czy szczerze, czy było to koniunkturalne? Nie mnie oceniać. Prawdą jest natomiast, że i Andrzejewski, i Jastrun, i Ważyk podpisali List 34, pierwszy zbiorowy protest przeciw polityce kulturalnej komunistycznych władz; Kijowski współtworzył Polskie Porozumienie Niepodległościowe; Woroszylski był podporą Zapisu. Czy zmazali z siebie stalinowskie winy? Nie znam uczciwej odpowiedzi na tak postawione pytanie. Pewnie nie zmazali, bo nie da się cofnąć czasu, wypowiedzianych i napisanych słów, ale bez wątpienia uczynili też bardzo wiele dobrego dla Polski. Takie mieli życie, w takich czasach przyszło im żyć.

A cień komunistycznego zaangażaniania i tak się ciągnął za nimi latami. Jacek Bocheński, pisarz także uwikłany w budowanie „świetlanej przyszłości”, a w stanie wojennym internowany, takie widział po latach tego konsekwencje: „Przyznam, że jest we mnie obawa, żeby nie poddać się wtórnie tamtemu złu. Żeby z faktu, że kiedyś dałem się opanować fałszywej idei, którą dzisiaj oceniam i przeżywam jako fałszywą, nie wynikła wieczna w niej niewola. Żeby w konsekwencji cała reszta życia nie została jakoś uzależniona od tego błędu” – mówił Jackowi Trznadlowi w *Hańbie domowej*.

Krzysztof Gottesman – dziennikarz i publicysta, pracownik Wydziału Komunikacji Społecznej IPN

ZRZUTY DLA POWSTANIA

Robert Szcześniak

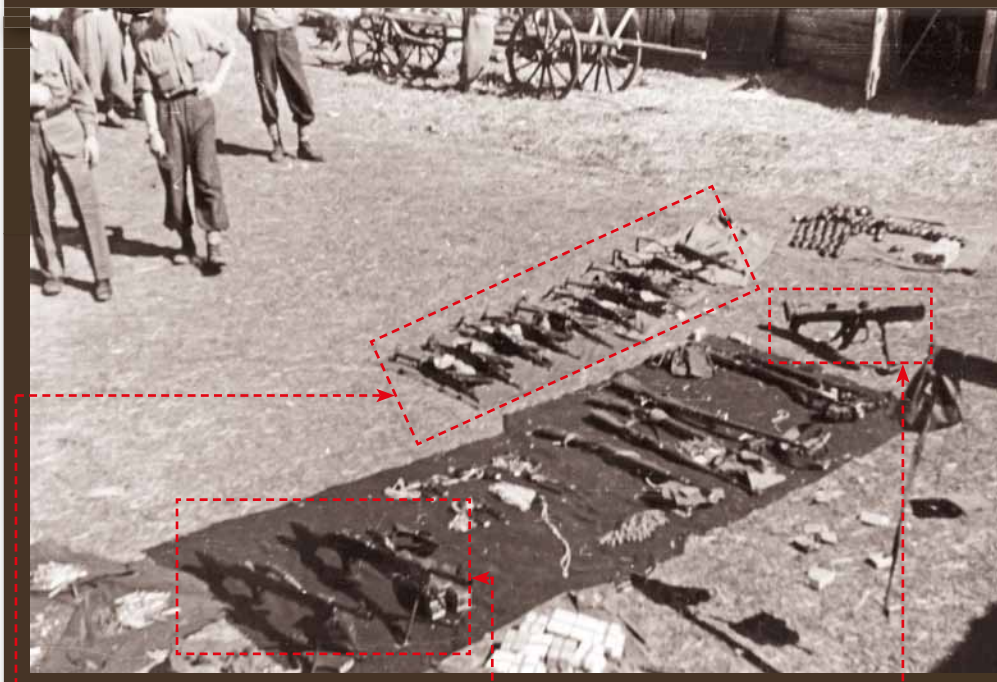
W sierpniu i wrześniu 1944 roku alianckie bombowce zrzucały nad Warszawą i okolicznymi lasami zasobniki z bronią i amunicją. Akcja była jednak zbyt skromna, by skutecznie wspomóc walczącą stolicę.



Wiersze, kpr. pchor. „Wit” – Witold Szeronos podczas ćwiczeń obsługi wyrzutni przeciwpancernej PIAT

W momencie wybuchu Powstania Warszawskiego Komenda Główna Armii Krajowej zdawała sobie sprawę ze znacznych braków w uzbrojeniu i amunicji. Liczono, że opanowanie głównych obiektów niemieckich na terenie miasta zmieni ten stan rzeczy. Niestety, rachuby te zawiodły i 2 sierpnia 1944 roku gen. Tadeusz Komorowski „Bór”, Komendant Główny AK, wysłał alarmującą depeszę do komendanta polskiej bazy lotniczej we włoskim Brindisi, mjr. Jana Jaźwińskiego, w której prosił o zrzuty amunicji do karabinów, karabinów i pistoletów maszynowych oraz broni przeciwpancernej.

W odpowiedzi na tę depeszę w nocy z 3 na 4 sierpnia nad Warszawą pojawiły się po raz pierwszy alianckie samoloty – jeden halifax i trzy liberatory – z polskimi załogami 1586. Eskadry Specjalnej. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie fakt, że zrzut ten był skutkiem niesubordynacji polskich załóg. Mimo interwencji przedstawicieli polskiego rządu u władz brytyjskich, na akcję nad miastem nie wyraził zgody zastępca dowódcy Alianckich Sił Powietrznych Morza Śródziemnego (MAAF), marszałek lotnictwa John



Kwatera Kompanii Lotniczej w Wierszach – przegląd i przydział broni dla nowo przybyłych żołnierzy, m.in. ręcznych karabinów maszynowych Bren, PIAT-a, pistoletów maszynowych Sten i granatów



Kwatera Kompanii Lotniczej w Wierszach – przegląd i przydział broni dla nowo przybyłych żołnierzy. Pierwszy z lewej – kpr. pchor. „Panurg” – Stanisław Woźniak, przed frontem oddziału stoją od lewej: st. ogn. pchor. „Żorż” – Jerzy Baumiller i por. „Lawa” – Tadeusz Gaworski, z prawej przy wozie szer. „Konrad” – Tomasz Łaszkiewicz



Kwatera Kompanii Lotniczej w Wierszach – przegląd i przydział broni dla nowo przybyłych żołnierzy. Pierwszy z lewej – kpr. pchor. „Panurg” – Stanisław Woźniak, przed frontem oddziału stoją od lewej: st. ogn. pchor. „Żorż” – Jerzy Baumiller i por. „Lawa” – Tadeusz Gaworski, z prawej przy wozie szer. „Konrad” – Tomasz Łaszkiewicz

Slessor, który twierdził, że takie loty są naznaczone wysokim ryzykiem (trasa liczyła 1400 km długości i prowadziła nad Adriatykiem, Jugosławią i Węgrami, gdzie znajdowały się silna obrona przeciwlotnicza i bazy nocnych myśliwców), a ponadto Warszawa leży w strefie operacyjnej Armii Czerwonej i to lotnictwo radzieckie powinno wspomóc powstańców. W nocy z 3 na 4 września nie było w planie lotu nad Warszawę, lecz jedynie wyprawa czternastu alianckich samolotów nad Polskę. Za cichym przyzwoleniem i zgodą dowódcy bazy, mjr. Jaźwińskiego, i dowódcy eskadry, mjr. Eugeniusza Arciuszkiewicza, cztery najbardziej doświadczone załogi polskie miały polecieć z ładunkiem nad walczącą stolicę.

W sumie w sierpniu i wrześniu 1944 roku alianckie bombowce wykonały nad Warszawą 196 lotów. W ich trakcie na Warszawę, Kampinos i Las Kabacki dokonano 115 zrzutów, z czego 74 bezpośrednio na stolicę. Alianckie bombowce zrzuciły łącznie 870 zasobników, z czego nad Warszawą 427. Żołnierze AK podjęli łącznie 514 zasobników, z czego w stolicy 235. W trakcie tych lotów stracono 39 samolotów oraz zginęło łącznie 36 załóg. Dodatkowo 18 września, podczas amerykańskiej wyprawy „Frantic-7”, nad Warszawą pojawiło się 107 amerykańskich bombowców B-17, które zrzuciły 1284 zasobniki. Niestety, powstańcy odebrali jedynie 228 z nich. Amerykanie zaś stracili dwa bombowce i jedną załogę.

Oprócz Warszawy najczęściej wybieranym celem wypraw alianckich bombowców z pomocą dla powstania była Puszcza Kampinoska. Jej teren był bardzo dogodną i w miarę bezpieczną lokalizacją dla alianckich zrzutów. Pod koniec lipca 1944 roku w sercu puszczy utworzono „Niepodległą Rzeczpospolitą Kampinoską” – obóz warowny obejmujący kilka miejscowości, m.in. Wiersze, Brzozówkę, Janówek czy Aleksandrów. Na jej terenie utworzono Grupę „Kampinos”, w której skład weszły oddziały VII Obwodu „Obroża”, żołnierze Stołpecko-

-Nabolickiego Zgrupowania AK por. Adolfa Pilcha „Góry”, „Doliny” oraz inne oddziały, które w wyniku działań powstańczych znalazły się w puszczy.

Ze znaczenia puszczańskich terenów dla łączności powietrznej z Zachodem zdawała sobie sprawę również Komenda Główna AK. 1 sierpnia 1944 roku do Puszczy Kampinoskiej dotarł kpt. Aleksander Jedliński „Franek” z zadaniem uruchomienia ośrodka radiowego, umożliwiającego kontakt z Komendą Główną, Londynem i bazą lotniczą w Brindisi. Łączność nawiązano 4 sierpnia 1944 roku, co pozwoliło na realizację zadań komórki przerzutów powietrznych Grupy „Kampinos”.

Ogólne kierownictwo nad akcją przyjmowania zrzutów w Puszczy Kampinoskiej w okresie Powstania Warszawskiego sprawował ppor. Józef Regulski „Biały”. Odbiór zrzutów, transport i ubezpieczenie zapewniał liczący około czterdziestu żołnierzy oddział zrzutów pułku „Palmiry-Młociny”, którego dowódcą był por. Józef Karney „Drewno”. Do przyjmowania zrzutów wyznaczono pięć zrzutowisk: „Taska” w rejonie wsi Kraśnicza Wola i Izdebno k. Mińska Mazowieckiego – przyjęło dwa zrzuty; „Chochla” na łąkach w pobliżu wsi Derbły i Ławy, na północ od Kępiastego – przyjęło pięć zrzutów; „Wiersze” w rejonie wsi Dąbrowa, Krogulec i Wiersze – przyjęło sześć zrzutów; „Truskaw” obok wsi Truskaw – przyjęło pięć zrzutów; „Igła” w rejonie wsi Sieraków i Truskaw – przyjęło dwa zrzuty. Łącznie Grupa „Kampinos” otrzymała 22 zrzuty, z czego dwadzieścia przyjęto na terenie Puszczy Kampinoskiej, a sprzęt i broń z pozostałych dwóch, odebranych przez placówkę „Tasak”, również przetransportowano do puszczy.

Zrzut był zapowiadany odpowiednią melodią odbieraną przez radio. Organizacją odbioru kierował sztab Grupy „Kampinos”. Każdorazowo wydawano pisemne rozkazy, wyznaczające oddziały piechoty i kawalerii do ubezpieczania zrzutowisk i zapewnienia wozów do transportu zasobników. Na zrzutowisku



W drodze do Wierszy: wozy taboru kawalerii por. Adolfa Pilcha ps. „Dolina” wiozą odebrany zrzut broni, widoczne charakterystyczne zaprzęgi wschodnie z dugami



Wybuch pocisku z PIAT-a podczas ćwiczebnego użycia tej broni



Pluton „Orlika” na placówce pod wsią Ławy; od lewej: strz. Włodzimierz Rejmer „Lolek” (ze stenem), kpr. Antoni Makowski „Gerwazy” (przy karabinie maszynowym Bren), kpr. Jan Makowski „Orzeł” (klęczy)

sygnalizację świetlną dla samolotów zabezpieczał pluton zrzutów. Samoloty wykonywały zrzuty, okrążając kilkakrotnie placówkę i zrzucając za każdym razem trzy, cztery zasobniki. Każdy z samolotów, wylatując na akcję, zabierał ze sobą dwanaście wodoodpornych metalowych zasobników o długości 2,5 m i średnicy 1 m, przypominających ciężką bombę i ważących ok. 160 kg (zasobniki mogły zabrać 227 kg ładunku, ale zalecano, by ze względów bezpieczeństwa ograniczyć masę umieszczonych w nich przedmiotów do 160 kg). Łącznie bombowiec zabierał około dwóch ton ładunku.

Najcenniejszym dostarczanym w ten sposób sprzętem były granatniki przeciwpancerne Piat. Prekursor ważącego 14,5 kg Piata powstał w roku 1930, jednak dopiero w roku 1942, po licznych udoskonaleniach i przeróbkach, wszedł do seryjnej produkcji. Według instrukcji walki zalecano otwarcie ognia z możliwie najmniejszej odległości. Pocisk z głowicą kumulacyjną ważący 1,2 kg skutecznie raził cele ruchome oddalone nawet o 105 m. Pocisk ten był w stanie przebić z każdej strony pancerz czołgów PzKpfw IV i PzKpfw V Panther, natomiast w PzKpfw VI Tiger – pancerz boczny i tylny. Bardzo dużą zaletą granatnika była również możliwość używania go w małych pomieszczeniach.

Równie cenną zdobyczą były pistolety maszynowe Sten oraz ręczne karabiny maszynowe Bren. Prace nad tym pierwszym rozpoczęto w roku 1940. Pistolet opracowano, wzorując się na niemieckim MP 40, ale maksymalnie upraszczając konstrukcję. W rezultacie powstała broń o wyjątkowo prostej i taniej konstrukcji, ale równie skuteczna w działaniu. W czerwcu 1941 roku rozpoczęto seryjną produkcję. Do końca 1945 roku wyprodukowano ok. 3,75 mln sztuk. Prosta konstrukcja i produkcja pistoletów Sten sprawiła, że rozpoczęto ich wytwarzanie w warunkach konspiracyjnych, m.in. w Polsce. Polscy inżynierowie opracowali na bazie Stena własny, ulepszony pistolet maszynowy „Błyskawica”. Z kolei ręczny karabin maszynowy Bren został wprowadzony na uzbrojenie armii brytyjskiej w roku 1935. Był licencyjną wersją czechosłowackiego rkm ZB vz. 26 (Zbrojovka Brno), w którym m.in. wydłużono komorę zamkową i uproszczono rozkładanie. W breny były wyposażone wszystkie brytyjskie i alianckie oddziały walczące na zachodzie. Po II wojnie światowej karabin ten był używany między innymi w czasie wojny koreańskiej oraz wojny falklandzkiej.

Ponadto w zasobnikach oprócz wyżej wymienionego sprzętu znajdowały się również: amunicja, granaty, papierosy, czekolada, odzież, lekarstwa i środki opatrunkowe. Nie mniej istotne niż broń i amunicja były czasze i linki spadochronów, na których spadały zasobniki. Sznurki od spadochronów były pierwszorzędnymi nićmi, natomiast materiał z czasem wykorzystywano do szycia koszul.

Materiały i sprzęt otrzymywane ze zrzutów były rozdzielane przez dowództwo Grupy „Kampinos”. Część przeznaczoną dla Warszawy dostarczały kierowane tam oddziały lub specjalne grupy transportowe. Oddziały Grupy „Kampinos” otrzymywały przydziały na podstawie zgłaszanego zapotrzebowania.

Akcja zrzutów w czasie trwania Powstania Warszawskiego nie wpłynęła niestety w znaczący sposób na jego losy. Była zbyt nikła, szczególnie w pierwszej fazie powstania, kiedy uzupełnienia broni i amunicji były najbardziej potrzebne. Zrzucane do Kampinosu zaopatrzenie miało zaś ograniczone możliwości dotarcia do stolicy.

Robert Szcześniak – kustosz archiwalny w Biurze Udostępniania i Archiwizacji Dokumentów IPN

Powstanie Konfederacji

„Utworzenie Konfederacji Polski Niepodległej jest odpowiedzią na wyzwanie, wobec którego postawił Polaków zmieniający się czas. Pojawiająca się szansa stworzenia niepodległej i demokratycznej Trzeciej Rzeczypospolitej nie może zostać zaprzepaszczona" – pisali w *Deklaracji ideowej* z 1979 roku założyciele KPN.

1 września kojarzy się z wybuchem II wojny światowej. Jest to także rocznica utworzenia Konfederacji Polski Niepodległej, pierwszej w PRL – i całym bloku sowieckim – opozycyjnej partii politycznej. W Polsce – od czasów zniszczenia przez komunistów Polskiego Stronnictwa Ludowego i ucieczki jego lidera Stanisława Mikołajczyka na Zachód – funkcjonowały obok Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej jedynie koncesjonowane i w pełni kontrolowane partie. Nazywano je satelickimi.

Przypadek KPN był zupełnie inny. Wyrastała ona z kręgu osób zaangażowanych w działalność antysystemową, z uczestników Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela z wysuwającym się na czoło Leszkiem Moczulskim, który był w kolejnych latach niekwestionowanym liderem KPN. Dużą rolę w kierownictwie Konfederacji Polski Niepodległej odgrywali także byli działacze Stowarzyszenia PAX: Romuald Szeremietiew, Tadeusz Stański i Tadeusz Jandziszak. Wszyscy czterej zostali skazani w tzw. I procesie przywódców KPN, toczonym w latach 1980–1982. Był to najdłuższy proces polityczny w dziejach PRL.

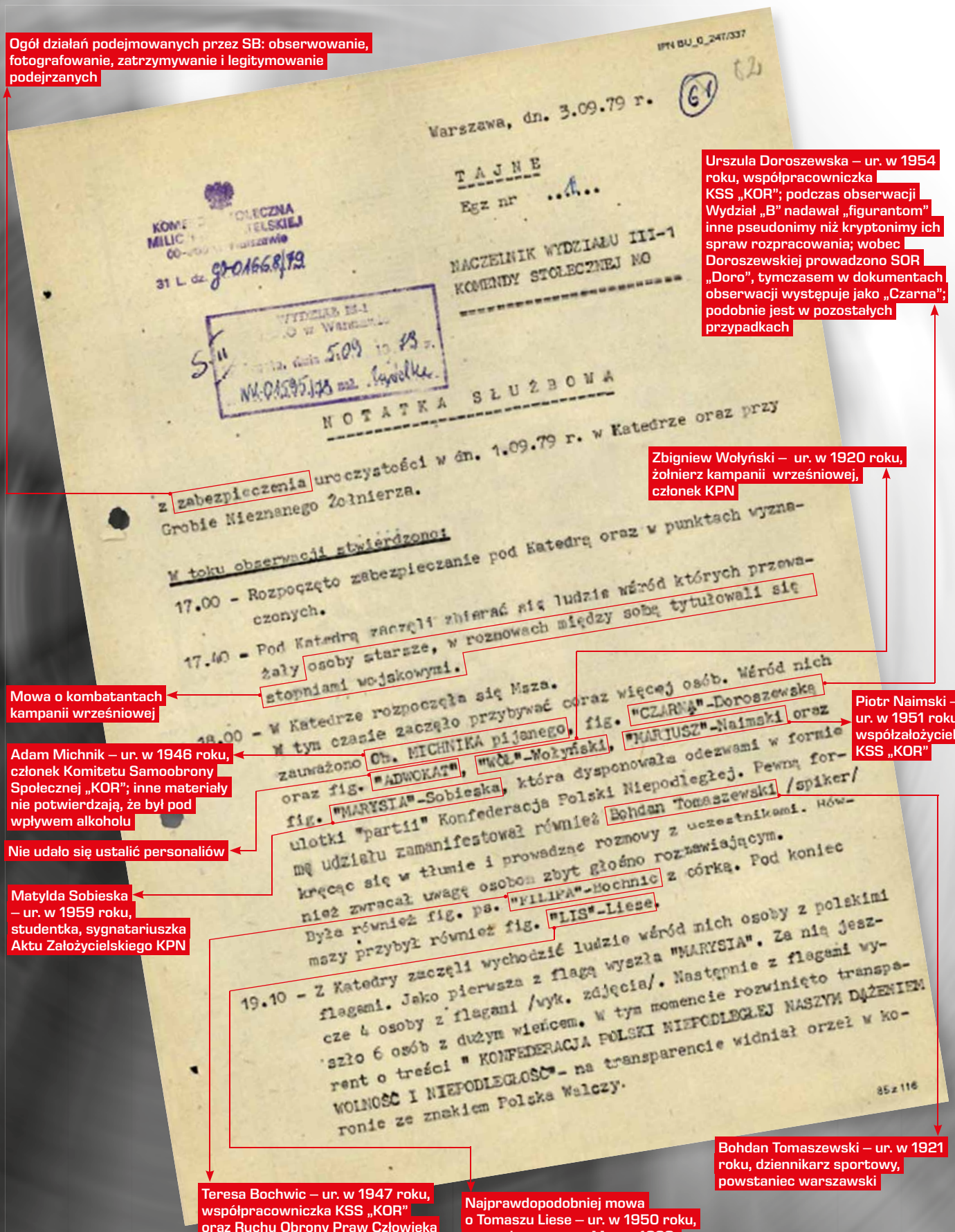
Zanim jeszcze ogłoszono powstanie KPN, działalności konfederatów pilnie przyglądała się Służba Bezpieczeństwa. Powodów było kilka. Osoby z kierownictwa tej partii były od lat związane z ruchem opozycyjnym. Utrzymywały również kontakt ze środowiskami kombatanckimi i emigracją polityczną. Żołnierze AK, przedwojenni oficerowie, dowódcy Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie czy ludzie tworzący elity II RP byli zaś w PRL, jako „element obcy klasowo", stale pod lupą SB.

Inwigilacja nasilała się w okolicach ważnych rocznic. Nie inaczej było 1 września 1979 roku. Władze, z uwagi na patriotyczny i często antykomunistyczny aspekt uroczystości, starały się blokować lub ograniczać zasięg rocznic takich wydarzeń z historii Polski, jak: uchwalenie Konstytucji 3 Maja, napaść Sowietów na Polskę 17 września 1939 roku czy odzyskanie niepodległości 11 listopada 1918 roku. Inne wydarzenia, takie jak np. wybuch II wojny światowej czy bitwa pod Grunwaldem, starano się pokazywać z perspektywy korzystnej dla władz. Uważnie obserwowano wszelkie niezależne inicjatywy, a milicja i SB były stawiane w pogotowiu alarmowym.

Rozpoczęte w przeddzień 1 września 1979 roku działania „profilaktyczne" SB przybrały większy rozmiar niż zwykle. Okrągła rocznica wybuchu wojny była doskonałym pretekstem do nagłośnienia swych działań przez grupy opozycyjne. W związku z tym SB wszczęła 30 sierpnia 1979 roku sprawę operacyjnego sprawdzenia o kryptonimie „Pochodnia". Nie było to nic niezwykłego. W archiwum IPN zachowało się wiele spraw dotyczących „niebezpiecznych" z perspektywy władz rocznic. Oficer SB uzasadniał założenie „Pochodni" następująco: „[…] uzyskano z Wydziału III-2 [jednostki SB zajmującej się inwigilacją opozycji oraz intelektualistów] informację, iż elementy antysocjalistyczne zamierzają rozkolportować w związku ze zbliżającą się 40. rocznicą wybuchu II wojny światowej ulotki o bliżej nieokreślonej treści". Zadanie „zabezpieczenia" uroczystości nie było zbyt trudne. Opozycja działała jawnie. Patrole milicyjne zebrały wiele ulotek z informacją o planowanej mszy św. w warszawskiej katedrze św. Jana Chrzciciela. Teraz wystarczyło tylko bacznie obserwować teren.

W prezentowanym dokumencie został zasygnalizowany problem działań wyprzedzających podjętych przez SB. Było przyjętą normą, że w przeddzień opozycyjnych manifestacji zatrzymywano w aresztach najważniejszych działaczy opozycji. Usiłowano w ten sposób neutralizować ich poczynania. Nie przynosiło to skutku, opozycjoniści wypracowali bowiem system przeciwdziałania takim krokom. Niekiedy osobom mającym przemawiać podczas wieców udawało się zmylić czujność SB i brali w nich udział. Częściej jednak byli zastępowani przez współpracowników. Tak też było w tym przypadku. Wobec zatrzymania twórców i przyszłych liderów powstającej KPN przed Grobem Nieznanego Żołnierza wystąpiła Nina Milewska. Chociaż była znana SB, nie została zatrzymana i dzięki temu mogła ogłosić fakt powstania KPN oraz przedstawić założenia programowe partii.

W prowadzonych tego dnia działaniach SB wykorzystano głównie funkcjonariuszy Wydziału „B" Komendy Stołecznej MO, czyli tzw. pionu obserwacji. To ich dziełem jest sporządzona notatka, minuta po minucie odtwarzająca przebieg uroczystości. Dokument został opracowany dwa dni po opisywanych wydarzeniach na podstawie jednostkowych raportów dostarczonych przez funkcjonariuszy SB. Przeważa w nim suchy opis przebiegu manifestacji, jednak momentami widać wrogość wobec przedstawicieli opozycji. Chodzi np. o sugerowanie, że Adam Michnik był pod wpływem alkoholu. Biorąc pod uwagę fakt, że Michnik uczestniczył we mszy, a następnie – niestrofowany przez nikogo – szedł w pierwszym rzędzie pochodu, wyklucza niniejszą sugestię. Gdyby było inaczej, komunistyczna propaganda nie zawahałaby się wykorzystać sytuację.



IPN BU_0_247/337

Warszawa, dn. 3.09.79 r.

T A J N E

Egz nr ..1..

NACZELNIK WYDZIAŁU III-1
KOMENDY STOŁECZNEJ MO

N O T A T K A S Ł U Ż B O W A

z zabezpieczenia uroczystości w dn. 1.09.79 r. w Katedrze oraz przy Grobie Nieznanego Żołnierza.

W toku obserwacji stwierdzono:

17.00 - Rozpoczęto zabezpieczanie pod Katedrą oraz w punktach wyznaczonych.

17.40 - Pod Katedrą zaczęli zbierać się ludzie wśród których przeważały osoby starsze, w rozmowach między sobą tytułowali się stopniami wojskowymi.

18.00 - W Katedrze rozpoczęła się Msza. W tym czasie zaczęło przybywać coraz więcej osób. Wśród nich zauważono Ob. MICHNIKA pijanego, fig. "CZARNĄ"-Doroszewską oraz fig. "ADWOKAT", "WÓL"-Wołyński, "MARIUSZ"-Naimski fig. "MARYSIA"-Sobieska, która dysponowała odezwami w formie ulotki "partii" Konfederacja Polski Niepodległej. Pewną formę udziału zamanifestował również Bohdan Tomaszewski /spiker/ kręcąc się w tłumie i prowadząc rozmowy z uczestnikami. Również zwracał uwagę osobom zbyt głośno rozmawiającym. Była również fig. ps. "FILIPA"-Bochnic z córką. Pod koniec mszy przybył również fig. "LIS"-Liese.

19.10 - Z Katedry zaczęli wychodzić ludzie wśród nich osoby z polskimi flagami. Jako pierwsza z flagą wyszła "MARYSIA". Za nią jeszcze 4 osoby z flagami /wyk. zdjęcia/. Następnie z flagami wyszło 6 osób z dużym wieńcem. W tym momencie rozwinięto transparent o treści " KONFEDERACJA POLSKI NIEPODLEGŁEJ NASZYM DĄŻENIEM WOLNOŚĆ I NIEPODLEGŁOŚĆ"- na transparencie widniał orzeł w koronie ze znakiem Polska Walczy.

85 z 116

Ogół działań podejmowanych przez SB: obserwowanie, fotografowanie, zatrzymywanie i legitymowanie podejrzanych

Urszula Doroszewska – ur. w 1954 roku, współpracowniczka KSS „KOR"; podczas obserwacji Wydział „B" nadawał „figurantom" inne pseudonimy niż kryptonimy ich spraw rozpracowania; wobec Doroszewskiej prowadzono SOR „Doro", tymczasem w dokumentach obserwacji występuje jako „Czarna"; podobnie jest w pozostałych przypadkach

Zbigniew Wołyński – ur. w 1920 roku, żołnierz kampanii wrześniowej, członek KPN

Mowa o kombatantach kampanii wrześniowej

Piotr Naimski – ur. w 1951 roku, współzałożyciel KSS „KOR"

Adam Michnik – ur. w 1946 roku, członek Komitetu Samoobrony Społecznej „KOR"; inne materiały nie potwierdzają, że był pod wpływem alkoholu

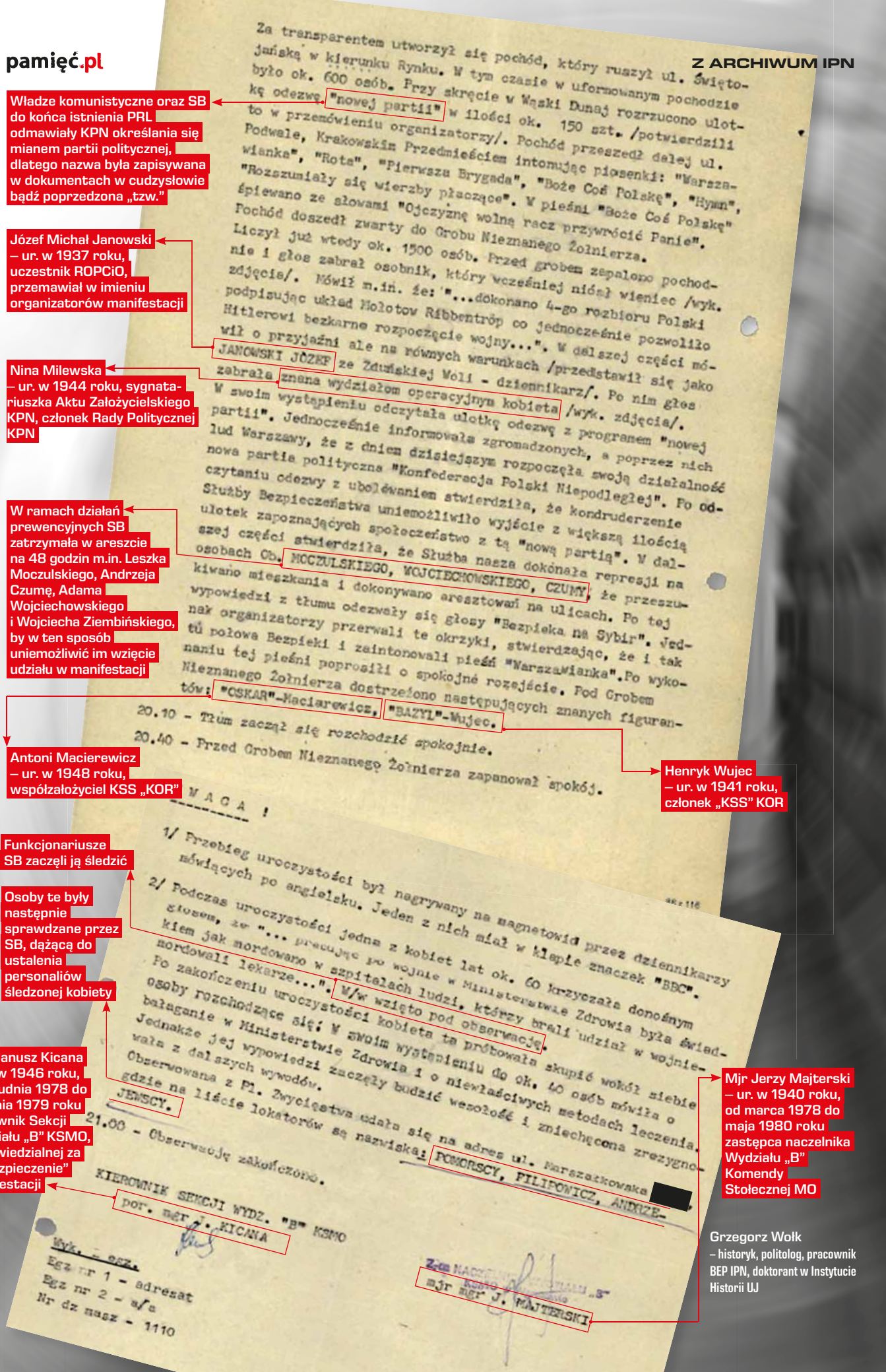
Nie udało się ustalić personaliów

Matylda Sobieska – ur. w 1959 roku, studentka, sygnatariuszka Aktu Założycielskiego KPN

Bohdan Tomaszewski – ur. w 1921 roku, dziennikarz sportowy, powstaniec warszawski

Teresa Bochwic – ur. w 1947 roku, współpracowniczka KSS „KOR" oraz Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela

Najprawdopodobniej mowa o Tomaszu Liese – ur. w 1950 roku, represjonowany w Marcu 1968, związany z KSS „KOR"



Za transparentem utworzył się pochód, który ruszył ul. Świętojańską w kierunku Rynku. W tym czasie w uformowanym pochodzie było ok. 600 osób. Przy skręcie w Wąski Dunaj rozrzucono ulotkę odezwę "nowej partii" w ilości ok. 150 szt. /potwierdzili to w przemówieniu organizatorzy/. Pochód przeszedł dalej ul. Podwale, Krakowskim Przedmieściem intonując piosenki: "Warszawianka", "Rota", "Pierwsza Brygada", "Boże Coś Polskę", "Hymn", "Rozszumiały się wierzby płaczące". W pieśni "Boże Coś Polskę" śpiewano ze słowami "Ojczyznę wolną racz przywrócić Panie". Pochód doszedł zwarty do Grobu Nieznanego Żołnierza. Liczył już wtedy ok. 1500 osób. Przed grobem zapalono pochodnie i głos zabrał osobnik, który wcześniej niósł wieniec /wyk. zdjęcia/. Mówił m.in. że: "...dokonano 4-go rozbioru Polski podpisując układ Mołotov Ribbentróp co jednocześnie pozwoliło Hitlerowi bezkarne rozpoczęcie wojny...". W dalszej części mówił o przyjaźni ale na równych warunkach /przedstawił się jako JANOWSKI JÓZEF ze Żuńskiej Woli - dziennikarz/. Po nim głos zabrała znana wydziałom operacyjnym kobieta /wyk. zdjęcia/. W swoim wystąpieniu odczytała ulotkę odezwę z programem "nowej partii". Jednocześnie informowała zgromadzonych, a poprzez nich lud Warszawy, że z dniem dzisiejszym rozpoczęła swoją działalność nowa partia polityczna "Konfederacja Polski Niepodległej". Po odczytaniu odezwy z ubolewaniem stwierdziła, że kondruderzenie Służby Bezpieczeństwa uniemożliwiło wyjście z większą ilością ulotek zapoznających społeczeństwo z tą "nową partią". W dalszej części stwierdziła, że Służba nasza dokonała represji na osobach Ob. MOCZULSKIEGO, WOJCIECHOWSKIEGO, CZUMY, że przeszukiwano mieszkania i dokonywano aresztowań na ulicach. Po tej wypowiedzi z tłumu odezwały się głosy "Bezpieka na Sybir". Jednak organizatorzy przerwali te okrzyki, stwierdzając, że i tak tu połowa Bezpieki i zaintonowali pieśń "Warszawianka". Po wykonaniu tej pieśni poprosili o spokojne rozejście. Pod Grobem Nieznanego Żołnierza dostrzeżono następujących znanych figurantów: "CSKAR"-Maciarewicz, "BAZYL"-Wujec.

20.10 - Tłum zaczął się rozchodzić spokojnie.

20.40 - Przed Grobem Nieznanego Żołnierza zapanował spokój.

W A G A !

1/ Przebieg uroczystości był nagrywany na magnetowid przez dziennikarzy mówiących po angielsku. Jeden z nich miał w klapie znaczek "BBC".

2/ Podczas uroczystości jedna z kobiet lat ok. 60 krzyczała donośnym głosem, że "... pracując po wojnie w Ministerstwie Zdrowia była świadkiem jak mordowano w szpitalach ludzi, którzy brali udział w wojnie- mordowali lekarze...". W/w wzięto pod obserwację.

Po zakończeniu uroczystości kobieta ta próbowała skupić wokół siebie osoby rozchodzące się. W swoim wystąpieniu do ok. 40 osób mówiła o bałaganie w Ministerstwie Zdrowia i o niewłaściwych metodach leczenia. Jednakże jej wypowiedzi zaczęły budzić wesołość i zniechęcona zrezygnowała z dalszych wywodów.

Obserwowana z Pl. Zwycięstwa udała się na adres ul. Marszałkowska [redacted] gdzie na liście lokatorów są nazwiska: POMORSCY, FILIPOWICZ, ANDRZEJEWSCY.

21.00 - Obserwację zakończono.

KIEROWNIK SEKCJI WYDZ. "B" KSMO
por. mgr J. KICANA

Wyk. - 4 egz.
Egz nr 1 - adresat
Egz nr 2 - a/a
Nr dz nasz - 1110

Z-ca NACZELNIKA WYDZIAŁU "B"
KSMO
mjr mgr J. MAJTERSKI

Władze komunistyczne oraz SB do końca istnienia PRL odmawiały KPN określania się mianem partii politycznej, dlatego nazwa była zapisywana w dokumentach w cudzysłowie bądź poprzedzona „tzw.”

Józef Michał Janowski – ur. w 1937 roku, uczestnik ROPCiO, przemawiał w imieniu organizatorów manifestacji

Nina Milewska – ur. w 1944 roku, sygnatariuszka Aktu Założycielskiego KPN, członek Rady Politycznej KPN

W ramach działań prewencyjnych SB zatrzymała w areszcie na 48 godzin m.in. Leszka Moczulskiego, Andrzeja Czumę, Adama Wojciechowskiego i Wojciecha Ziembińskiego, by w ten sposób uniemożliwić im wzięcie udziału w manifestacji

Antoni Macierewicz – ur. w 1948 roku, współzałożyciel KSS „KOR”

Henryk Wujec – ur. w 1941 roku, członek „KSS” KOR

Funkcjonariusze SB zaczęli ją śledzić

Osoby te były następnie sprawdzane przez SB, dążącą do ustalenia personaliów śledzonej kobiety

Por. Janusz Kicana – ur. w 1946 roku, od grudnia 1978 do grudnia 1979 roku kierownik Sekcji Wydziału „B” KSMO, odpowiedzialnej za „zabezpieczenie” manifestacji

Mjr Jerzy Majterski – ur. w 1940 roku, od marca 1978 do maja 1980 roku zastępca naczelnika Wydziału „B” Komendy Stołecznej MO

Grzegorz Wołk
– historyk, politolog, pracownik BEP IPN, doktorant w Instytucie Historii UJ

SS w Wolnym Mieście

Z Janem Danilukiem, autorem książki *SS w Gdańsku. Wybrane zagadnienia*, rozmawia Maciej Foks



Fot. M. Foks

Jan Daniluk (ur. 1984) historyk, pracownik OBEP IPN w Gdańsku. Zajmuje się głównie badaniem pruskiej i niemieckiej historii wojskowości Gdańska, dziejów Wolnego Miasta Gdańska w okresie międzywojennym, a także historią policji gdańskiej i tamtejszej SS.

W swojej książce skupia się Pan na Allgemeine SS, a nie na części zbrojnej tej formacji. Dlaczego?

Do tej pory – moim zdaniem – zbyt mało uwagi badacze poświęcali właśnie tej części SS. A przecież do wybuchu wojny właśnie Allgemeine SS stanowiła najliczniejszą część składową całej SS. Kiedy powstały pierwsze formacje wojskowe SS, pozostałą część organizacji zaczęto nazywać Powszechną SS (Allgemeine SS). Nie była ona, co należy podkreślić, formacją zbrojną, lecz partyjną organizacją paramilitarną. Jej członkowie nie byli skoszarowani, nie chodzili codziennie w mundurach i pod bronią. Spotykali się zazwyczaj kilka razy w tygodniu na szkoleniach i ćwiczeniach, uczestniczyli w wiecach i imprezach masowych organizowanych przez NSDAP.

Kiedy powstały pierwsze struktury SS w Wolnym Mieście Gdańsku?

W czerwcu 1926 roku, zaledwie rok po sformowaniu SS w Niemczech. Wbrew opiniom wielu historyków, gdańskie władze i policja nie od początku sprzyjały nazistom. Urzędnicy Wolnego Miasta pochodzili głównie z kadry szkolonej w czasach II Rzeszy i mieli dość konserwatywne poglądy. Policja gdańska była przede wszystkim antykomunistyczna, a w pewnym stopniu również antysocjalistyczna i miała szczególne baczenie na bojówki tych ugrupowań. W niektórych opracowaniach można przeczytać, że była również pronazistowska, co nie do końca jest zgodne z prawdą. Do 1933 roku dochodziło do starć także między SA i SS a policją gdańską. Po zwycięstwie w wyborach do gdańskiego Volkstagu w maju tegoż roku NSDAP zaczęła wprowadzać swoich ludzi m.in. do policji, która szybko stała się jednym z fundamentów nowej władzy.

Wolne Miasto Gdańsk oficjalnie było zdemilitaryzowane. Jak było w rzeczywistości?

Demilitaryzacja była pozorna. W Gdańsku żywe były tradycje garnizonu pruskiego. Przez cały wiek XIX i początek XX największe zakłady pracy miały charakter zbrojeniowy: potężne stocznie, fabryka artylerii i karabinów. Zdecydowana większość funkcjonariuszy nowej policji w Wolnym Mieście Gdańsku była wcześniej wojskowymi, jak chociażby jej wieloletni komendant, płk Friedrich von Heydebreck, weteran I wojny światowej. Policja od początku posiadała nielegalne – zresztą wbrew konstytucji Wolnego Miasta Gdańska – zakonspirowane składy broni. Ba, początkowo dysponowała również pododdziałami artyleryjskimi i saperów! Szkoła policji, założona wkrótce po powstaniu WMG, prowadziła szkolenia wojskowe. W mieście działały stowarzyszenia kombatanckie, liczne jednostki paramilitarne, które miały własne składy broni, wreszcie niemieckie organizacje wywiadowcze. Sytuacja zaczęła zmieniać się w 1933 roku, kiedy skoordynowano dotychczas rozproszony przemyt nielegalnego uzbrojenia na teren Wolnego Miasta. Coraz większą rolę w remilitaryzacji Gdańska zaczęły odgrywać bojówki NSDAP – głównie SA, ale też i SS. Powstała ponadto Landespolizei, choć nie sprecyzowano, w jakich warunkach ta *de facto* wojskowa jednostka miałaby być wykorzystywana. O wszystkim decydowali naziści zasiadający w senacie. W 1935 roku Landespolizei została wprawdzie zlikwidowana, niemniej przemyt – uzbrojenia i wyposażenia – a także system szkoleń wojskowych przybierały na sile, czego kulminacją było lato 1939 roku.

Niemiecki samochód pancerny SS-Totenkopf „Ostmark" przed budynkiem Poczty Polskiej w Gdańsku, wrzesień 1939 roku



Fot. AIPN



Fot. AIPN

Generał major Friedrich Eberhardt, dowódca niemieckich jednostek bojowych w Gdańsku, w rozmowie z żołnierzem SS-Heimwehr, wrzesień 1939 roku

Czy był to moment przełomowy w historii gdańskiej SS?

Waham się, czy za przełomową datę nie uznać 1 października 1933 roku, kiedy utworzono skoszarowaną policję krajową, wspomnianą już Landespolizei, do której należeli przede wszystkim gdańscy esesmani. Landespolizei była odpowiednikiem tzw. oddziałów dyspozycyjnych z Rzeszy. Członkowie SS nie tylko zaczęli piastować stanowiska kierownicze w policji, lecz także w administracji cywilnej. Mimo wszystko wydaje się, że tą godziną próby, którą z perspektywy niemieckiej SS zdała, jest lato 1939 roku. SS była wówczas zaangażowana w przygotowania do wybuchu wojny, włączenie Gdańska do Rzeszy, rozprawianie się z Polakami. Mam również na myśli to, co stało się jesienią, kiedy gdańscy esesmani tworzyli grupy operacyjne. Najpierw kierowali Selbstschutzem na terenach polskich, następnie tworzyli zręby administracji policyjnej i SS na terenach wcielonych do Rzeszy, nie tylko na Pomorzu czy Kujawach, lecz także w Wielkopolsce.

Kiedy zaczęły się przygotowania gdańskich struktur SS do wojny z Polską?

Przewrotnie można powiedzieć, że gdańska SS – podkreślając swoją rolę w Wolnym Mieście – była prawie od początku przygotowywana do konfrontacji m.in. z Polakami. Formowanie SS-Heimwehr, jednostki wojskowej złożonej z esesmanów, która wzięła udział w walkach na terenie Wolnego Miasta Gdańska, nieoficjalnie datuje się na koniec 1938 roku. W samym jednak mieście początku przygotowań do nadchodzącego konfliktu należy szukać w czerwcu 1939 roku.

Przypomnijmy zatem historię SS-Heimwehr.

Jednostkę utworzono ostatecznie latem 1939 roku w Gdańsku na bazie wydzielonej części 4. pułku SS-Totenkopf „Ostmark", do której dokooptowano około pięciuset ochotników z Gdańska. Został on potajemnie przetransportowany do miasta w czerwcu 1939 roku, następnie rozlokowany w wybranych miejscach (koszarach, szkołach) i dozbrojony. W chwili wybuchu wojny jednostka liczyła ok. 1500 żołnierzy. Razem z dwoma pułkami policji krajowej SS-Heimwehr tworzyła główną siłę tzw. Brygady Eberhardta, głównego związku taktycznego sił gdańskich. W dotychczasowej historiografii przyjęło się mówić tylko o tym, w jaki sposób SS-Heimwehr czy inne oddziały gdańskie atakowały placówki polskie, zapomina się natomiast, że pierwotnie miały pełnić przede wszystkim… funkcję defensywną.

Co zadecydowało o zmianie tej funkcji?

W związku z zaostrzającą się sytuacją w stosunkach między Berlinem i Gdańskiem a Warszawą 13 sierpnia Wojsko Polskie utworzyło specjalny Korpus Interwencyjny złożony z dwóch regularnych dywizji piechoty, który w razie potrzeby miał wkroczyć na terytorium Wolnego Miasta. Niemieckie władze wojskowe i gdańska policja zdawały sobie sprawę z tego, że istnieje możliwość prewencyjnego ataku ze strony Polaków, wobec których gdańskie oddziały były zdecydowanie słabsze. Miały one bronić terytorium do momentu przysłania posiłków z Prus Wschodnich (zakładano, że nastąpi to w ciągu trzech godzin od ataku Polaków). Początkowo siły gdańskie były więc rozlokowane przede wszystkim na pozycjach obronnych (SS-Heimwehr miała bronić południowego odcinka miasta) i nie planowano działań ofensywnych, a przynajmniej nie w takim zakresie, jak to ostatecznie miało miejsce 1 września. Sytuacja zmieniła się diametralnie, kiedy 30 sierpnia Korpus Interwencyjny w związku ze zmianą sytuacji politycznej został rozwiązany. Wydaje się, że dopiero wówczas zapadła ostateczna decyzja, że SS-Heimwehr weźmie udział przede wszystkim w ataku na Tczew, a także częściowo wesprze atak policjantów gdańskich na gmach Poczty Polskiej przy Heveliusplatz.

Inną jednostką sformowaną latem 1939 był SS-Wachsturmbann Eimann.

Była to jednostka o funkcjach policyjnych, formalnie mająca być wsparciem dla regularnej policji gdańskiej w takich kwestiach, jak służba wartownicza, konwojowanie więźniów czy ochrona ważnych obiektów na terenie miasta. Powstała 3 lipca 1939 roku i składała się wyłącznie z gdańskich esesmanów. Miała wziąć udział w akcji zajęcia polskich placówek na terenie Gdańska oraz aresztowaniach przedstawicieli Polonii gdańskiej. Także temu oddziałowi powierzono funkcję przygotowania pierwszych punktów zbiorczych i miejsc przetrzymywania Polaków, w tym obozu – późniejszego koncentracyjnego – Stutthof przy Mierzei Wiślanej.

Jaki był udział gdańskich struktur SS w zbrodniach na Polakach?

Ludzie z gdańskiej SS pełnili funkcje kierownicze nie tylko w jednostkach sformowanych z gdańskich esesmanów, lecz także w organizacji paramilitarnej Selbstschutz, która była odpowiedzialna za większość zbrodni na Polakach popełnionych jesienią 1939 i zimą 1940 roku. Za mało mówi się o tym, że prócz



Fot. AIPN

Gauleiter gdańskiej NSDAP Albert Forster (drugi od lewej) z grupą funkcjonariuszy NSDAP i SS ogląda gospodarstwo na Pomorzu, 1939 rok

Wehrmachtu i SS, to właśnie Selbstschutz Westpreußen przeprowadzał akcje eksterminacyjne. Do dziś, mimo że powstało kilka wartościowych prac, wciąż wiele faktów ze zbrodniczej historii Selbstschutzu wymaga dalszych badań. Jest to o tyle trudne, że zachowało się niewiele źródeł. Inna sprawa, że w związku ze specyficznym charakterem tej milicji złożonej z volksdeutschów, część dokumentów prawdopodobnie nie była wytwarzana na bieżąco… Gdańska SS prócz koordynowania działań Selbstschutzu, organizowania miejsc przetrzymywania więźniów czy obozu Stutthof, tworzyła aparat represji na terenie całego Reichsgau Danzig-Westpreußen (Okręgu Rzeszy Gdańsk-Prusy Zachodnie) w czasie wojny. Gwoli ścisłości należy dodać, że niemiecki aparat represji (policyjny) budowali również esesmani przysłani z Rzeszy, głównie z Prus Wschodnich i Brandenburgii.

SS utworzyła obóz w Maćkowach pod Gdańskiem, ale był to obiekt specyficzny, bo przeznaczony dla esesmanów...

Był to największy w Europie obóz karny prowadzony przez esesmanów dla esesmanów i funkcjonariuszy niemieckiej policji. Wśród osadzonych przeważali młodzi ludzie w wieku 21–22 lat, głównie członkowie jednostek policyjnych czy legionów SS z dawnych republik nadbałtyckich (Estonii, Łotwy i Litwy), którzy popełnili wykroczenia, często zresztą nie zdając sobie z tego sprawy (nie znali regulaminów i zasad obowiązujących w jednostkach SS). Sam obóz pierwotnie powstał jako koszary dla SS-Heimwehr. Po odesłaniu jednostki w głąb Rzeszy w październiku 1939 roku, na krótko zostały one przejęte przez Powszechną SS. Następnie przez kilka miesięcy kompleks baraków był użytkowany jako obóz przejściowy dla przesiedleńców (osadników) niemieckich z Litwy, którym miano przydzielić zarekwirowane Polakom gospodarstwa na terenie Okręgu Rzeszy Gdańsk-Prusy Zachodnie. Latem 1941 roku teren został jednak przejęty przez Główny Urząd Sądowniczy SS. Po okresie prac adaptacyjnych w styczniu 1942 roku trafili tam pierwsi skazani esesmani z Dachau. Obóz w pełni zaczął funkcjonować dwa miesiące później.

Za jakie przestępstwa można było tam trafić? Czy Niemcy karali esesmanów za zbrodnie wojenne?

Zbiór wykroczeń i przestępstw, za które esesman czy funkcjonariusz policji niemieckiej mógł trafić do obozu w Maćkowach, był stosunkowo szeroki. Obejmował on zarówno przestępstwa pospolite (kradzieże, fałszerstwa dokumentów czy zabójstwa), jak i dezercje, samookaleczenie czy niewykonanie rozkazu, a więc wykroczenia przeciwko regulaminowi służby wojskowej. Do obozu można było trafić, jeśli np. dopuszczono do ucieczki więźniów (taki los spotkał kilku strażników z KL Auschwitz), czy chociażby za zakazane kontakty seksualne z „nie-Aryjczykami" lub homoseksualizm. Nic mi nie wiadomo, by do obozu pod Gdańskiem czy do Dachau trafiali esesmani skazani za zbrodnie wojenne.

SS działała na Pomorzu niemalże do samego końca wojny.

Istnieją tutaj o wiele większe braki źródłowe niż w sprawach, o których rozmawialiśmy wcześniej. Aparat SS z SS-Gruppenführerem Friedrichem Katzmannem na czele, wyższym dowódcą SS i Policji w Okręgu Gdańsk-Prusy Zachodnie, odegrał kluczową rolę m.in. w przygotowaniu i realizacji tajnego planu ewakuacji „Ewa" (został on ostatecznie opracowany na początku września 1944 roku). Cała SS w Rzeszy zyskała zresztą na znaczeniu po nieudanym zamachu płk. Clausa von Stauffenberga na Hitlera w lipcu 1944 roku. SS przejęła m.in. administrację obozów jenieckich, dowództwo nad sprawami wewnętrznymi, armią zapasową, częściowo nad Volkssturmem. Aparat SS tworzył też zręby Werwolfu, rodzaju nazistowskiego podziemia zbrojnego, które miało prowadzić działalność dywersyjną na terenach niemieckich zajętych przez aliantów. Esesmani z pewnością działali w Gdańsku jeszcze w marcu 1945 roku, m.in. wspólnie z żandarmerią dokonywali sądów doraźnych na ludności cywilnej, pilnowali, by „nie rozsiewano defetyzmu".

Czy po wojnie na tych terenach pozostali byli esesmani?

Ponownie problemem jest brak źródeł. Istnieją dosłownie pojedyncze wzmianki, jakoby np. w maju 1945 roku milicja w Sopocie zidentyfikowała kilku wysokich funkcjonariuszy SS. Biorąc pod uwagę to, ilu esesmanów czy funkcjonariuszy policji trafiło po wojnie do zachodnich Niemiec i żyło tam, uniknąwszy kary, na podstawie wyrywkowych danych można uznać, że zdecydowana większość zbrodniarzy, jeżeli nie zginęła na froncie, zdołała uciec na zachód. Nawet ci, którzy zostali osądzeni w Polsce, jak np. Max Henze, dowódca policji w Bydgoszczy skazany na śmierć przez powieszenie, zostali uprzednio złapani przez Brytyjczyków i potem przekazani stronie polskiej.

Co stało się z Kurtem Eimannem, dowódcą niesławnego SS-Wachsturmbann Eimann?

Przez pierwsze lata nie był ścigany. Po 1960 roku był wielokrotnie przesłuchiwany, ale dopiero w 1968 roku postawiono mu konkretne zarzuty. Oskarżono go o współudział w morderstwie co najmniej 1200 osób. W tej liczbie uwzględniono chorych umysłowo, pacjentów niemieckich zakładów psychiatrycznych, których oddział przez niego dowodzony rozstrzelał w lasach Piaśnicy pod Wejherowem. Pominięto kwestię odpowiedzialności Eimanna za eksterminację Polaków, którzy zostali zabici w tym samym miejscu: głównie przedstawicieli inteligencji polskiej z Pomorza Gdańskiego, ale też np. pacjentów ze szpitali w Kocborowie i Świeciu (dziś liczbę ofiar Piaśnicy, zwanej Pomorskim Katyniem, szacuje się na 12–14 tys.). Ostatecznie sąd w Hanowerze skazał go na cztery lata więzienia, z czego odsiedział dwa… Do emerytury prowadził sklep. To tylko jeden z przykładów osób na eksponowanym stanowisku, które skończyły z tak niewiarygodnie niskim wyrokiem.

To nie był jedyny zbrodniarz SS z Gdańska.

W aktach spraw prowadzonych kiedyś przez Główną Komisję Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce nazwisk jest sporo, ale w większości wypadków ślad się urywa. To jest temat, którym chciałbym się zająć w najbliższej przyszłości. Przykładem jest chociażby Johannes Gniot, esesman o polskich korzeniach. Był on szefem jednej z kompanii SS-Wachsturmbann Eimann, przed wojną pełnił funkcję kierowniczą w jednym z batalionów 36. chorągwi SS w Gdańsku, później pracował w sztabie nowego Nadokręgu SS „Wisła". Pełnił również funkcje kierownicze w Selbstschutz Westpreußen w powiecie kościerskim, gdzie podlegli mu volksdeutsche i esesmani przeprowadzili egzekucje na Polakach. Znika mi z oczu w 1943 roku. Nie mam pojęcia, czy przeżył wojnę, a jeśli tak, to jakie były jego późniejsze losy.

Kilka lat temu do służby w Waffen-SS przyznał się słynny gdańszczanin Günter Grass...

Wiedziałem, że zada pan to pytanie. Nie badałem jego sprawy, ale go nie potępiam. Kiedy w 2006 roku wybuchła sprawa przynależności młodego Grassa do Waffen-SS, zastanowiło mnie raczej, dlaczego dopiero teraz się do tego przyznał. Podczas prac nad książką nie skupiałem się na pisarzu, gdyż był jedną z szeregowych postaci tamtego okresu. Niemniej jego wersję uprawdopodabniają dane, do których dotarłem. Rywalizacja między Wehrmachtem i SS rozgrywała się, zasadniczo rzec ujmując, na trzech płaszczyznach – walki o rekrutów, uzbrojenie i posiadłości. Po zamachu na Hitlera 20 lipca 1944 roku SS miała większą możliwość pozyskiwania rekrutów do własnych jednostek. We wrześniu i październiku 1944 roku odnotowano dość znaczny skok poboru do Waffen-SS z terenu Gdańska. Według Grassa, dostał on wówczas powołanie do służby, nawet nie wiedząc, że trafi do Waffen-SS. Podsumowując – Grass był formalnie rzecz biorąc członkiem zbrodniczej formacji wojskowej, natomiast powstrzymywałbym się od osądu, czy był zbrodniarzem.

Popularny w ostatnich latach ruch rekonstrukcyjny zajmuje się także odtwarzaniem formacji SS. Niektórzy widzą w tym niezdrową fascynację złem...

Mam w ogóle sceptyczny stosunek do rekonstrukcji historycznej. Może pan się ze mną nie zgodzić, ale odnoszę wrażenie, że ostatnio rekonstrukcje coraz częściej są atrakcją samą w sobie, a coraz rzadziej służą już jako pomoc w edukacji. Formalnie rekonstruktorzy uzasadniają przebieranie się w mundury zbrodniarzy tym, że na potrzeby filmów czy widowisk ktoś musi odegrać rolę tych złych. Z jednej strony rozumiem ten argument. Z drugiej jednak bardzo łatwo przekroczyć tutaj pewną granicę. To kwestia wyczucia, wrażliwości na pamięć o ofiarach, wreszcie, a może przede wszystkim, sprawa dogłębnej wiedzy o SS. A tę ostatnio można czerpać z wielu wydawnictw, problem w tym, że zdecydowana większość z nich w nieproporcjonalnie większym stopniu poświęcona jest np. uzbrojeniu, mundurom czy taktyce Waffen-SS. Umyka tym samym prawdziwy kontekst dziejów całej SS. Oczywiście, należy pisać o wymienionych powyżej aspektach działalności SS, ale bez przytoczenia kontekstu łatwo wyrobić sobie zupełnie fałszywy obraz tej formacji.

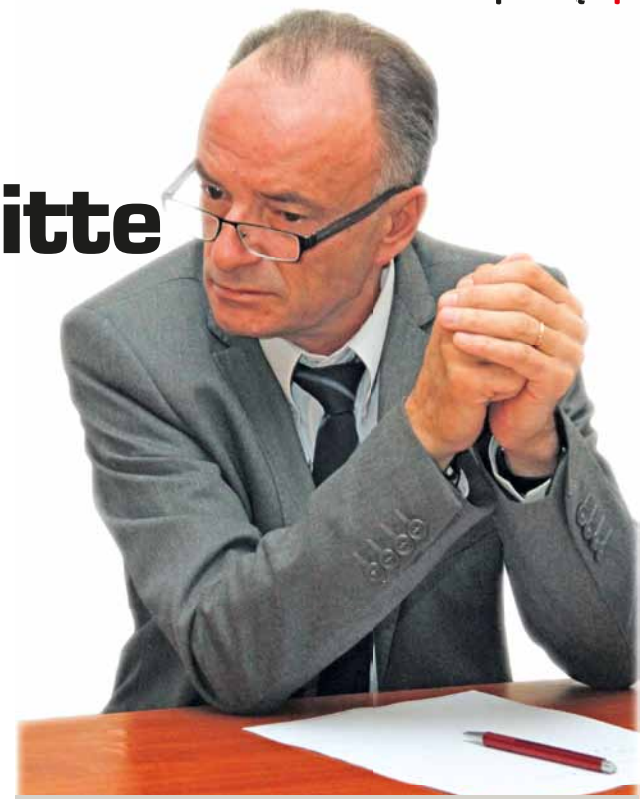


Fot. AIPN

› Szeregowiec z gdańskich jednostek SS-Heimwehr, 1939 rok

Z Krakowa do Maisons-Laffitte

Z Wojciechem Sikorą, dyrektorem Instytutu Literackiego w Paryżu, rozmawia Magdalena Semczyszyn



Fot. M. Ozga

Wojciech Sikora – publicysta, działacz opozycji demokratycznej w PRL, członek krakowskiego SKS, następnie NZS; od 1981 roku mieszka we Francji; współpracownik Jerzego Giedroycia, działacz polskich organizacji emigracyjnych (m.in. paryskiego Komitetu NSZZ „Solidarność"); w latach osiemdziesiątych organizował pomoc dla polskiej kultury i podziemnych struktur opozycji w kraju, był też przedstawicielem i członkiem redakcji podziemnego pisma krakowskiego „Arka"; od 2010 roku kierownik Instytutu Literackiego w Maisons-Laffitte

W latach siedemdziesiątych w Krakowie angażował się Pan w działalność opozycyjną. Jak to się zaczęło?
W działalność opozycyjną jeszcze w liceum wciągnął mnie mój przyjaciel, Tomasz Schoen – figura krakowskiej opozycji. Pod koniec 1975 roku zbieraliśmy podpisy pod listem protestacyjnym w sprawie projektowanych zmian konstytucji PRL. Rok później też zbieraliśmy podpisy, tym razem pod protestem w sprawie robotników pobitych i uwięzionych w Radomiu. Wtedy już studiowałem filozofię na Uniwersytecie Jagiellońskim i uczestniczyłem w spotkaniach środowiska zbliżonego do KOR. Niewątpliwy przełom stanowił maj 1977 roku i śmierć Staszka Pyjasa. Brałem udział w bojkocie Juwenaliów, następnie zaangażowałem się w działalność Studenckiego Komitetu Solidarności i byłem jednym z redaktorów wydawanego przez komitet „Sygnału".

Daleki jest Pan od mówienia o sobie i swoich dokonaniach w martyrologicznym tonie, nie da się jednak ukryć, że ówczesne działania młodych ludzi wiązały się z dużym niebezpieczeństwem. Zarówno Pan, jak i Pana koledzy wielokrotnie trafiali do aresztu i byli prześladowani przez bezpiekę...
Palmę pierwszeństwa w tym zakresie dzierżył niewątpliwie Bronisław Wildstein, następnie Krzysztof Bzdyl z KPN i Andrzej Mietkowski – stali mieszkańcy aresztów krakowskich. Ja byłem w pierwszej piątce. W latach 1978–1980 byłem zatrzymywany około dwudziestu razy. Pierwszy raz wpadłem, gdy wraz ze śp. Łukaszem Świerzem i Bronisławem Wildsteinem kolportowaliśmy „Robotnika" pod Hutą Lenina. Ostatnie poważniejsze zatrzymanie miało miejsce tuż przed podpisaniem porozumień sierpniowych. Razem z Mietkowskim i Wildsteinem dostaliśmy sankcję prokuratorską, a wcześniej trzy tygodnie spędziliśmy w areszcie domowym. Powód: „uczestniczenie w związku mającym na celu obalenie ustroju PRL". Dzień przed podpisaniem porozumień spotkaliśmy się u prokuratora, a dzień później zwolniono nas z aresztu przy Montelupich.

Pamięta Pan pierwsze przesłuchanie?
Pamiętam. Trwało 48 godzin. Przesłuchiwał mnie funkcjonariusz Wydziału III KWMO w Krakowie, Ryszard Gancarczyk – wyjątkowa kreatura. Nie twierdzę, że byłem mocny, po prostu już wówczas krążyła między nami podziemna broszura, w której opisano, jak się zachowywać podczas przesłuchania i na jakie metody SB uważać. Moją najprostszą obroną była zasada – nie odpowiadać na żadne pytania. Mówiłem: odmawiam odpowiedzi.

Stosowano jakieś szczególne metody?
Poszukiwano pięty achillesowej. Nie było bicia, ale znęcano się psychicznie. Gancarczyk i inni funkcjonariusze mówili, co ze mną zrobią, jeśli będę oporny, co zrobią mojej rodzinie. To było dla mnie bardzo trudne. Mój tato wówczas chorował. Był radcą prawnym w Najwyższej Izbie Kontroli. Bałem się, że go wyrzucą z pracy, a ja okażę w tym momencie strach. Zresztą dziś myślę, że to, że ojciec zmarł stosunkowo młodo, w wieku 63 lat (w 1985 roku), to w jakiś sposób było spowodowane działaniami krakowskiej bezpieki. Kilkakrotnie ostentacyjnie nachodzono go w pracy i zabierano na rozmowy w mojej sprawie. Moja działalność, a także m.in. fakt, że nie należał do partii, spowodowały, że w pewnym momencie odstawiono go na boczny tor w pracy zawodowej. Przestał być głównym radcą prawnym instytucji, a dla niego, po wielu latach pracy, był to dramat.

Ojciec sprzeciwiał się Pana działalności?
Nie, absolutnie nigdy tego nie powiedział. Nie obwiniał mnie też o własne kłopoty. Zapewne jako rodzic bał się o moją przyszłość. Dość pesymistycznie podchodził także do naszych działań, uważał, że w tym kraju nie da się nic zmienić, a walka ze Związkiem Sowieckim jest skazana na porażkę.

A jak Pan wyobrażał sobie zmiany, które postulowaliście jako młodzi opozycjoniści?
Każdy z nas był inny. Starsi koledzy, np. Bogusław Sonik czy Bronisław Wildstein, mieli wyraźnie wykrystalizowane poglądy polityczne. U nas, młodszych, była to raczej kwestia pewnego rodzaju odruchu, niezgody moralnej na to, co się stało. Wiedzieliśmy, że wobec śmierci Staszka Pyjasa nie można przejść obojętnie i trzeba coś robić. Oczywiście, mogę się wypowiadać tylko w swoim imieniu, ale myślę, że to był po prostu imperatyw robienia czegokolwiek, obowiązek dania świadectwa. W tym początkowym odruchu nikt nie liczył na to, że ten system można obalić.

Po SKS przyszedł czas na Niezależne Zrzeszenie Studentów.
Z Andrzejem i Anną Mietkowskimi skleciliśmy w ich mieszkaniu odezwę założycielską krakowskiego NZS. Na wiecu przemawiał też Jarosław Zadęcki. W tym czasie na Uniwersytecie Jagiellońskim pojawili się młodzi fantastyczni ludzie: Jan Rokita, Jarosław Guzy, Artur Wolski, Krzysztof Krzysztofiak, Bartłomiej Sienkiewicz, Aleksander Nelicki, Marek Lasota, Wojciech Modelski, Bogdan Klich (ci dwaj ostatni byli jeszcze w SKS), śp. Konstanty Miodowicz i inni. Znalazłem się w Zarządzie NZS na Uniwersytecie Jagiellońskim. Jednocześnie uczestniczyliśmy w zakładaniu Solidarności na uczelni. Byłem odpowiedzialny za kontakty Solidarności z pracownikami naukowymi UJ, którym na tym polu przewodził Robert Kaczmarek.

Był Pan także jednym z działaczy NZS, którzy nawiązali współpracę z organizacjami studenckimi w Niemczech, Szwecji i we Francji.
Był to jeden głównych powodów naszych europejskich podróży. Nie ukrywam, że chcieliśmy zobaczyć przy okazji trochę świata. Na Zachód wyjechaliśmy wraz grupą przyjaciół: Bronisław i Iwona Wildsteinowie, Andrzej i Anna Mietkowscy, Anna Krajewska, Grzegorz Małkiewicz, Beata Surówka – każdy osobno. Spotkaliśmy się w czerwcu 1981 roku w Paryżu. Mieliśmy pełnomocnictwa krajowego NZS (podpisane przez Jarosława Guzego) i krakowskiego NZS (podpisane przez Jana Rokitę). Reprezentowaliśmy zrzeszenie na Światowym Zjeździe Studentów organizowanym przez Union Nationale des Étudiants de France. Przyjechała mocna delegacja z Polski. Także w Niemczech i Szwecji uczestniczyliśmy w rozmowach, spotkaniach studenckich. Zainteresowanie Solidarnością na Zachodzie było wówczas olbrzymie.



Maisons-Laffitte – siedziba paryskiej „Kultury”

W Paryżu poznał Pan Jerzego Giedroycia...
To było dokładnie 4 czerwca 1981 roku. Wiem, bo Jerzy Giedroyc prowadził bardzo skrupulatne notatki w swoich kalendarzykach. Razem z Andrzejem Mietkowskim zostaliśmy zatrudnieni w Maisons-Laffitte. Redaktor wiedział, że chcemy zarobić pieniądze na zakup samochodu i wrócić do Polski przez południową Europę. Jednak mój pobyt się przedłużył. Pracowałem w Maisons-Laffitte prawie rok, porządkując bibliotekę. W 1981 roku do Paryża przyjeżdżało mnóstwo Polaków, m.in. szefowie wydawnictwa NOWa, którzy podpisali z Giedroyciem porozumienie w sprawie wydawania książek „Kultury”. Wspominam ten okres bardzo miło. Nastroje były solidarnościowe, euforyczne. Pojawił się nawet pomysł zrobienia happeningowego balu z okazji rewolucji październikowej w Domu Kombatanta przy rue Legendre. Na tym balu zresztą poznałem moją przyszłą żonę, Agatę.

Jednak euforia zgasła 13 grudnia 1981 roku. Po wprowadzeniu stanu wojennego pozostał Pan w Paryżu.
Podobnie jak w przypadku śmierci Staszka Pyjasa, tak również wówczas pojawiło się poczucie, że musimy coś zrobić, tym bardziej że mieliśmy nadal pełnomocnictwa NZS. Już 14 grudnia 1981 roku założyliśmy Grupę Koordynacyjną NZS.

Fot. M. Ptasińska

Od studentów francuskich otrzymaliśmy lokal na uniwersytecie. W ścisłej współpracy z Komitetem Solidarności, którego pierwszym szefem był Seweryn Blumsztajn, zajmowaliśmy się środowiskiem studenckim. Przez kilka miesięcy odbywały się spotkania ze studentami i pracownikami naukowymi. Oczywiste było, że powrót do kraju z naszą opozycyjną kartą byłby niedorzecznością. Jak się później okazało, byliśmy na liście przeznaczonych do internowania.

Jednocześnie włączył się Pan w pomoc dla podziemnej Solidarności w kraju. Na czym ona polegała?

Odpowiadałem za przerzut literatury i kontakty paryskiej agendy Solidarności (podporządkowanej centrali w Brukseli) z Regionem Małopolska. Przekazywaliśmy pieniądze zbierane na Zachodzie na rzecz Solidarności. W tej sprawie kontaktowałem się z Tadeuszem Syryjczykiem, szefem Regionu Małopolska. We Francji związki zawodowe podzieliły się między sobą opieką nad poszczególnymi regionami. Małopolska przypadła katolickiemu związkowi CFTC (Chrześcijańska Konfederacja Francuskich Pracowników). Mediowałem z jego przedstawicielami w sprawie przeróżnej pomocy: finansowej, przyjmowania dzieci działaczy Solidarności na wakacje we Francji, pomocy dla podziemnych pism. Byłem wówczas w redakcji krakowskiego czasopisma „Arka" (pod redakcją Jana Polkowskiego). Jako jej przedstawiciel organizowałem pomoc finansową. I tu mało znany fakt − Zbigniew Brzeziński przekazał nam wówczas ok. 30 tys. dolarów na ten cel. Część z tych pieniędzy przeznaczono na wydanie trzech tomów wybranej publicystyki z „Arki" i wybór esejów Ryszarda Legutki. Pomagałem także innym pismom, takim jak „Promieniści", „Hutnik" czy „Bez Dekretu". W tym okresie wszedłem też do redakcji emigracyjnego „Kontaktu" i współpracowałem z Radio France Internationale oraz z Radiem Wolna Europa.

A Maisons-Laffitte?

W marcu 1982 roku musiałem zrezygnować z pracy w Maisons-Laffitte, ponieważ nie starczało mi czasu na sprawy związane z kontaktami krajowymi. Po prostu porządkowanie biblioteki „Kultury" było fantastyczną fuchą na czas pokoju, ale na czas wojny już nie. Giedroyc to wszystko rozumiał i pozostaliśmy w ścisłych kontaktach. Doradzałem mu wówczas m.in. w sprawie kontaktów z opozycją krakowską. Przyprowadzałem do niego postaci związane z tymi kręgami, niestety nawet Lesława Maleszkę, jak się później okazało słynnego agenta SB ps. „Ketman".

Pana współpraca z Jerzym Giedroyciem koncentrowała się także na pomocy dla polskiej kultury.

W latach osiemdziesiątych byłem sekretarzem Funduszu Pomocy Niezależnej Literaturze i Nauce Polskiej, którego prezesem był Czesław Miłosz, a jednym z członków Jerzy Giedroyc. W ramach tej organizacji ufundowaliśmy ponad sześćset stypendiów dla ludzi z Polski na pobyty na Zachodzie. Część stypendiów była przeznaczona dla Ukraińców, Litwinów, Rosjan i Białorusinów. Brałem też udział w pracach australijskiej fundacji „Polcul" − Niezależnej Fundacji Popierania Kultury Polskiej, założonej przez Jerzego Bonieckiego, która przyznawała jednorazowe nagrody finansowe dla działaczy i twórców podziemia w kraju. Jerzy Giedroyc był członkiem jury tej fundacji. W tym okresie nagrody „Polcul" otrzymało ponad tysiąc osób.

Jak Francuzi reagowali na waszą działalność?

Poparcie dla Solidarności − zwłaszcza w pierwszym okresie – było olbrzymie. Wiele osób wspierało polską opozycję finansowo. Ale nie tylko. Niektórzy czynnie włączyli się w pomoc dla podziemnych struktur w kraju. Przykładem może być Jacky Challot, który jako kierowca ciężarówki zaangażował się w przemyt literatury przez granicę. Na marginesie można dodać, że zarówno zakup jak i przebudowę ciężarówki-chłodni, w której ścianach Jacky przewoził książki i powielacze do Polski, sfinansował Jerzy Giedroyc.

Redaktor chętnie angażował się w tę mniej znaną, praktyczną działalność na rzecz opozycji?

Tak, jego pomoc była przecież olbrzymia. Trudno streścić ją w kilku słowach: stypendia, paczki dla ludzi z opozycji oraz osób marginalizowanych przez system, wspieranie podziemnej literatury, pomoc finansowa. Wszystko to było możliwe dzięki temu, że Giedroyc stworzył wówczas świetnie prosperującą, przynoszącą dochody firmę. Istotne, że środowisko skupione wokół Maisons-Laffitte dawało także wielki impuls dla opozycji w bloku wschodnim, nie tylko w Polsce. Współpracowało przecież z dysydentami w ZSRR.

„Trudno wskazać na świecie inny miesięcznik, który dysponując tak nikłymi środkami, odegrałby tak wielką rolę" – pisał o paryskiej „Kulturze" Krzysztof Pomian. Co Pana zdaniem było największą siłą tego czasopisma?

Przede wszystkim niezwykłe talenty redaktorskie i polityczne Jerzego Giedroycia. Był według mnie mężem stanu. Druga rzecz to ludzie. Redaktor skupił wokół siebie krąg wspaniałych osób. I wreszcie oddziaływanie – budowane przez lata środowisko wokół pisma, w kraju i na Zachodzie. Bez „Kultury" i redaktora Giedroycia nasza rzeczywistość wyglądałaby dzisiaj inaczej.

Po raz pierwszy przyjechał Pan do wolnej Polski w 1991 roku. Jerzy Giedroyc krytycznie oceniał nową władzę i jej niekompetencję. Czy Pan również odczuł zawód? Jako człowiek związany z opozycją inaczej wyobrażał sobie Pan przemiany w wolnym kraju?

Najważniejsze, że Polska odzyskała niepodległość. To jest bezsprzeczna wartość, do której walnie przyczyniła się „Kultura". Niestety, gorzej jest z konsumowaniem tej wolności, brakiem autorytetów, dużo lat i szans zostało zmarnowanych, o czym

w swoich „Notatkach” i „Obserwatoriach” tak często mówił Jerzy Giedroyc.

Jakie działania prowadzi dziś Instytut Literacki? Co jest wśród nich priorytetem?

Przede wszystkim porządkujemy, inwentaryzujemy wspaniałe archiwum stworzone przez Jerzego Giedroycia i jego bliskich. Ta kolekcja została przed kilkoma laty wpisana na Listę Pamięci Świata UNESCO ze względu na swoją wyjątkową i uniwersalną wartość. Samych listów do redaktora Giedroycia i od niego jest blisko dwieście tysięcy, co prawdopodobnie jest XX-wiecznym rekordem świata w dziedzinie epistolografii. Przed czterema laty podpisaliśmy z Biblioteką Narodową i Naczelną Dyrekcją Archiwów Państwowych porozumienie o utworzeniu całkowitego inwentarza lafickich zbiorów. W lipcu, w obecności ministra kultury Bogdana Zdrojewskiego (ministerstwo te prace finansuje) przedłużyliśmy o kolejne lata umowę, która obejmuje teraz i bibliotekę, i digitalizację naszych zbiorów. Pracujemy też nad portalem. Jego „okrętem flagowym” będzie całość – 637 numerów zdigitalizowanej „Kultury”, 171 numerów „Zeszytów Historycznych”, a także przygotowywana przez archiwistów z Polski baza danych. Spośród planów niezrealizowanych, które jednak mamy nadzieję niebawem sfinalizować, wymienię dokończenie zaplanowanej jeszcze przez Jerzego Giedroycia wydawanej w Polsce serii korespondencji z rozmaitymi osobami. Kuratorem tej serii jest Piotr Kłoczowski. Ma się jeszcze ukazać korespondencja Redaktora z Teodorem Parnickim, Wiktorem Weintraubem, Juliuszem Mieroszewskim, Witoldem Jedlickim, Leszkiem Kołakowskim. Mamy też inne plany wydawnicze, wspomnę tylko o tomie korespondencji Herberta z ludźmi z kręgu „Kultury”: Zygmuntem Hertzem, Jerzym Giedroyciem, Gustawem Herlingiem-Grudzińskim i Konstantym Jeleńskim. Pracujemy również nad wyborem tekstów Zbigniewa Brzezińskiego, publikowanych przez lata w „Kulturze”, a także nad olbrzymią korespondencją Gustawa Herlinga-Grudzińskiego z Jerzym Giedroyciem.

Funkcję dyrektora Instytutu Literackiego objął Pan w roku 2010 po śmierci młodszego brata Jerzego Giedroycia, Henryka. Kim są Pana najbliżsi współpracownicy?

To przede wszystkim Anna Bernhardt, wiceprezes Stowarzyszenia Instytut Literacki Kultura, jej mąż Andrzej Bernhardt, a także nieoceniony Leszek Czarnecki, najstarszy dzisiaj pracownik „Kultury” – trzydzieści lat stażu pracy. A w Polsce Małgorzata Ptasińska z IPN, znakomita publicystka i znawca „Kultury” (m.in. autorka referencyjnej książki o wydawnictwach Instytutu); Stanisław Mancewicz, świetny publicysta z Krakowa, który redaguje naszą stronę na Facebooku (pod nazwą Stowarzyszenie Instytut Literacki Kultura), i który będzie redagował portal „Kultury”. I wreszcie Marek Żebrowski, autor rewelacyjnej biografii redaktora Giedroycia (*Jerzy Giedroyc. Życie przed „Kulturą”*, Wydawnictwo Literackie, 2012).



Fot. AIPN

„Do ostatniej kobiety! Do ostatniego mężczyzny!”

Marek Gałęzowski

Znakomity oficer z czasów wojny z bolszewikami i Naczelny Wódz, który w 1939 roku opuścił pole bitwy. Na ocenie dokonań Edwarda Śmigłego-Rydza mocniej zaważyło to drugie.

„Miałeś bronić ojczyzny. Miałeś bronić Warszawy – Generale! / Już twe kukułcze portrety w jutrzejszej jaśniały chwale / Chrypło radio od twej przyszłej sławy / Jak koguty piały ci gazety / Że do ostatniej kobiety! / Do ostatniego mężczyzny!!” – pisał, a raczej oskarżał w marcu 1940 roku Marian Hemar. Adresatem tego pełnego goryczy wyrzutu był marszałek Edward Śmigły-Rydz, we wrześniu 1939 roku Naczelny Wódz Wojska Polskiego i *de facto* najważniejsza osoba w państwie. Nazwanie go generałem nie było niedopatrzeniem poety, lecz czytelną aluzją do oficera, który otrzymał buławę marszałkowską, mimo że w odróżnieniu od swojego poprzednika, pierwszego marszałka Polski Józefa Piłsudskiego, nie zwyciężył w żadnej wojnie. Jednak to nie przegrana z potężnymi najeźdźcami we wrześniowym boju spowodowała wyrzut poety, lecz postawa dowódcy polskiej armii, wykreowanego wcześniej na politycznego przywódcę Rzeczypospolitej.

Żołnierz, który miał być artystą

Naczelny Wódz pochodził z kresowych Brzeżan. Ukończył z odznaczeniem gimnazjum, a następnie studiował malarstwo na prestiżowej Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Kształcił się pod okiem prawdziwego mistrza – Józefa Pankiewicza, a specjalizował w malarstwie pejzażowym i portretowym. Chociaż później Edward Rydz rzadko malował, zamiłowania artystyczne nie opuściły go nigdy, czego świadectwem jest fotografia przy sztalugach z ostatniego roku jego życia. Pasję malarską wyparła inna – walka o niepodległość Polski. To jej Rydz oddał wszystkie swoje siły i talenty.

Wstąpił do tajnego Związku Walki Czynnej. Po odbyciu służby w armii austriackiej, gdzie zdobył fachową wiedzę wojskową, jako obywatel Śmigły (pseudonim ten z czasem stał się częścią jego nazwiska) szkolił młodzież w organizacjach strzeleckich, powstałych z inspiracji Józefa Piłsudskiego. Po wybuchu I wojny światowej bił się w Legionach Polskich do końca ich istnienia. Dowodził 1. pułkiem piechoty I Brygady Piłsudskiego, należał do najdzielniejszych oficerów (w 1916 roku został mianowany pułkownikiem), walczył zawsze w pierwszej linii, podczas walk pozycyjnych przebywał na najbardziej zagrożonych odcinkach. Wielokrotnie uzyskiwał pochwały Komendanta.

Po kryzysie przysięgowym i rozwiązaniu Legionów Rydz uniknął internowania i zgodnie z poleceniem Piłsudskiego objął stanowisko komendanta tajnej Polskiej Organizacji Wojskowej. W chwili klęski wojennej Niemiec i Austro-Węgier POW upomniała się o polskie prawo do niepodległości. W pierwszych dniach listopada 1918 roku Śmigły

› Dumny marszałek spogląda na swoje wojsko; Edward Śmigły-Rydz na trybunie honorowej podczas defilady kończącej manewry; Bydgoszcz, wrzesień 1937 roku

Fot. Witold Pikiel/NAC

zlikwidował okupację austriacką w części dawnego Królestwa Polskiego, co umożliwiło powstanie w nocy z 6 na 7 listopada Tymczasowego Rządu Ludowego Republiki Polskiej z Ignacym Daszyńskim na czele. Rydz objął w tym gabinecie, w zastępstwie Piłsudskiego więzionego przez Niemców, tekę ministra wojny. Kilka dni później, po przybyciu Komendanta do Warszawy, rząd Daszyńskiego podporządkował się Piłsudskiemu.

Naczelnik Państwa nie był zadowolony z flirtu obywatela Śmigłego z polityką i polecił mu zająć się wyłącznie sprawami wojskowymi. Intuicja nie zawiodła Piłsudskiego. Rydz okazał się znakomitym dowódcą i odegrał niebagatelną rolę w walce o granice Rzeczypospolitej. Zimą 1919 roku bił się z sukcesem z Ukraińcami. W kwietniu tegoż roku, wykonując manewr perfekcyjnie zaplanowany przez Piłsudskiego, odebrał z rąk bolszewików Wilno. W pierwszych dniach 1920 roku podległe Rydzowi oddziały rozpoczęły operację nad Dźwiną przeciw Armii Czerwonej. Akcja doprowadziła do opanowania Dyneburga i przyczyniła się do obronienia niepodległości Łotwy. Za dowodzenie podczas tych walk jeszcze w tym samym miesiącu został udekorowany przez Piłsudskiego Krzyżem Orderu Virtuti Militari. Otrzymał także najwyższe wojskowe odznaczenie łotewskie – Lāčplēša Kara ordenis (Pogromca Niedźwiedzia). Niewątpliwie jego nazwa była adekwatna do sukcesu militarnego polskiego dowódcy.

Szczęśliwa passa Śmigłego trwała. To żołnierze dowodzonej przez niego 3. Armii w pogoni za bolszewikami pierwsi w maju 1920 roku wkroczyli do Kijowa. Kiedy miesiąc później, wskutek niekorzystnej sytuacji na froncie północnym, Rydz rozpoczął odwrót, przeprowadził go z największym profesjonalizmem. „Potrafił on podległe sobie oddziały wyprowadzić z groźnej sytuacji bez większych strat, z zachowaniem całkowitego ładu i porządku" – pisał jego biograf Ryszard Mirowicz. Z kolei w przededniu bitwy warszawskiej umiejętnie przerzucił nad Wieprz dwie dywizje, wykorzystane następnie w kontrofensywie polskiej. Marszałek Piłsudski uznał ten manewr Śmigłego za „jedną z najchlubniejszych kart, jaką armia polska posiada". Wreszcie, w końcu września Rydz – mianowany tymczasem generałem – zajął Lidę. Przyczynił się tym samym się do zwycięstwa w bitwie nad Niemnem, która rozstrzygnęła o sukcesie Polski w wojnie z bolszewikami.

Żołnierz, który został politykiem

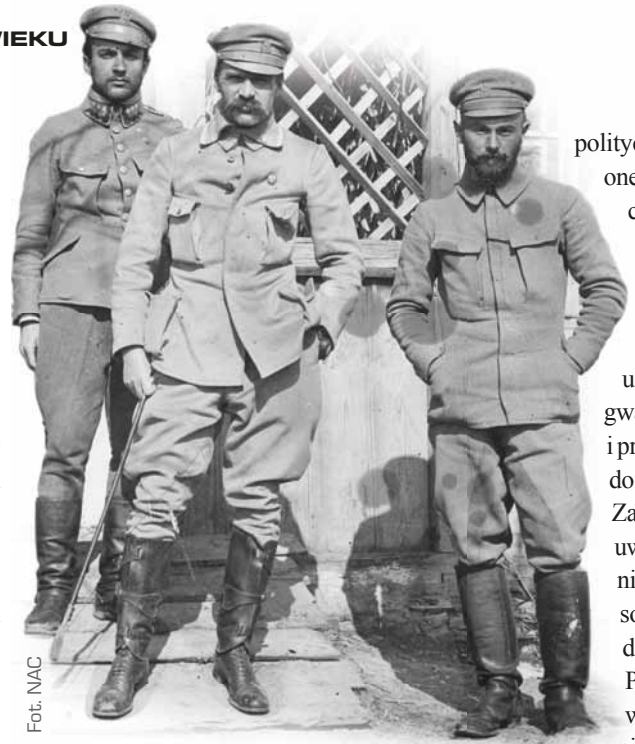
Po zakończeniu wojny gen. Rydz pozostał na stanowiskach dowódczych w Wojsku Polskim. Jesienią 1926 roku objął funkcję inspektora armii w Generalnym Inspektoracie Sił Zbrojnych w Warszawie. W charakterystyce sporządzonej przez Piłsudskiego, dotyczącej generałów WP, otrzymał najlepszą ocenę. Nie była to opinia odosobniona, dlatego Śmigły-Rydz był przez niektórych wojskowych typowany na następcę Marszałka na stanowisku szefa GISZ. Został nim po jego śmierci 12 maja 1935 roku na podstawie decyzji prezydenta Ignacego Mościckiego. Wbrew opinii, która utrwaliła się w polskiej historiografii, niemającej jednak żadnego potwierdzenia źródłowego, Śmigły-Rydz nie objął tego stanowiska z woli Piłsudskiego. Marszałek nie wskazał bowiem następcy przed swoją śmiercią, choć – jak przekonująco uzasadnił to historyk Jerzy Kirszak – widział go w gen. Kazimierzu Sosnkowskim. Ten jednak, przerastając inteligencją i talentami wszystkich z grupy rządzącej razem wziętych, był przez nią traktowany z niekłamaną niechęcią. Nie tylko nie otrzymał szefostwa GISZ, ale w ogóle został odsunięty od jakiegokolwiek wpływu na sprawy państwowe. Podobny los stał się zresztą udziałem wielu innych piłsudczyków. Na nieszczęście dla kraju – najwybitniejszych, takich jak Walery Sławek, Ignacy Matuszewski czy Kazimierz Świtalski.

Wkrótce po objęciu najwyższego stanowiska wojskowego w państwie Śmigły-Rydz zaczął zwiększać swoją aktywność polityczną, co było niezgodne z zaleceniami, które otrzymał od Piłsudskiego. Równocześnie prasa zaczęła szerzyć kult generała. Zamieszczano biografie i fotografie Śmigłego, podkreślano jego zasługi z okresu walki o niepodległość, informowano o udziale w każdej, nawet najmniejszej uroczystości czy też przyjmowaniu licznych delegacji, reprezentujących rozmaite organizacje i stowarzyszenia. Zaczęto obchodzić oficjalnie imieniny Śmigłego, ukazało się wiele publikacji panegirycznych, a także znaczek pocztowy z jego podobizną. Typowy dla rodzącego się kultu był artykuł Juliusza Kadena-Bandrowskiego *Wtedy Śmigły*. Według pisarza, legioniści rzekomo już podczas I wojny światowej byli zdania, że kiedy zabraknie Piłsudskiego, „wtedy Śmigły" obejmie nad nimi komendę. Tymczasem w książce Kadena-Bandrowskiego *Piłsudczycy*, wydanej w 1915 roku, Śmigły-Rydz nie występował w gronie najbliższych współpracowników Piłsudskiego, pojawiał się jedynie incydentalnie (rozdział *Major Śmigły* został dopisany dopiero w wydaniu z 1932 roku!).

Politycznym sojusznikiem w działaniach „promujących" gen. Śmigłego na następcę Józefa Piłsudskiego stał się, oprócz prezydenta, premier Sławoj Składkowski. W swoim *exposé* stwierdził, że Polska ma wodza, którego sam Piłsudski wyznaczył na „strażnika granic Rzeczypospolitej", domagając się, by oddać mu wszystkie siły, jak niegdyś Komendantowi. W lipcu 1936 roku premier na polecenie prezydenta Mościckiego wydał okólnik, w którym Śmigły-Rydz został uznany za „pierwszą osobę po prezydencie Rzeczypospolitej", a „wszyscy funkcjonariusze państwowi z prezesem rady ministrów na czele okazywać [mu] winni objawy honoru i posłuszeństwa". Wreszcie, 10 listopada tego roku, Śmigłego-Rydza awansowano do stopnia generała broni i marszałka Polski. Następnego dnia Mościcki wręczył mu na Zamku Królewskim w Warszawie buławę marszałkowską. Wszystko to stwarzało podatny grunt do powołania nowego ugrupowania politycznego piłsudczyków – Obozu Zjednoczenia Narodowego. Głównym hasłem programowym OZN stał się wysunięty przez nowo mianowanego marszałka postulat konsolidacji narodowej wokół władz

państwowych w celu obrony Polski.

Wielu piłsudczyków uznawało wspomniane działania za sprzeczne z konstytucją i niezgodne z obyczajami panującymi dotychczas w ich obozie. Wacław Lipiński, chociaż cenił Śmigłego, nadanie mu godności marszałka uznał za „fałszywy i zbędny krok", co uzasadniał: „Tytuł ten został nierozerwalnie z imieniem Piłsudskiego związany, wokół tego słowa wytworzyła się legenda, serce Polaków inaczej poczynało bić, kiedy padało to słowo. Choroba i zgon Komendanta były tak potężnym wstrząsem [...], że uczuciowo każdy się nieomal buntował przeciwko temu, aby w półtora roku po zgonie Marszałka [...] na jego miejsce stawiać nowego Marszałka, z tytułem tym wiązać inne imię i nazwisko".



Fot. NAC

Legiony dały Rzeczypospolitej dwóch marszałków: Józef Piłsudski (w środku) w towarzystwie Edwarda Rydza (pierwszy z prawej), pierwszy z lewej stoi Tadeusz Kasprzycki; 1915 rok

Żołnierz, który opuścił pole bitwy

Tak intensywny udział w życiu politycznym rzeczywiście stawiał pod znakiem zapytania priorytet, którym miało być dla Śmigłego-Rydza zajmowanie się wyłącznie przygotowaniem Polski do spodziewanej wojny. Niemniej, jak oceniał historyk wojskowości Piotr Stawecki, „rozpoczął wraz ze Sztabem Głównym WP prace nad sześcioletnim planem unowocześnienia sił zbrojnych oraz budową przyszłej polskiej doktryny wojennej. Pod jego kierownictwem uczyniono duży wysiłek, aby przygotować się do obrony i zmniejszyć zacofanie organizacyjne i techniczne WP oraz podnieść poziom kształcenia wyższej kadry dowódczej. Postanowiono rozwijać w znacznie większym stopniu obronę przeciwpancerną i przeciwlotniczą niż formacje pancerne i lotnicze". Śmigły-Rydz zdawał sobie zresztą sprawę z ogromnej dysproporcji sił między Polską a Niemcami. W końcu 1938 roku mówił o tym swoim sztabowcom. Jak wspominał szef Sztabu Głównego WP gen. Wacław Stachiewicz, przemówienie to było dla słuchaczy szokujące. Inny z oficerów skomentował, że „był to powiew prawdziwej polskiej doktryny wojennej – doktryny ubóstwa". Mimo tej oceny Śmigły-Rydz udzielił poparcia polityce ministra spraw zagranicznych Józefa Becka, który odrzucił niemieckie propozycje współpracy politycznej, uważając, że zagrażają one suwerenności Polski. W końcu lutego 1939 roku marszałek przedstawił założenia planu obrony kraju na wypadek agresji III Rzeszy. Zakładał, że Francja i Wielka Brytania udzielą Polsce pomocy, co zagwarantowały wiosną 1939 roku, i przewidywał prowadzenie walki do czasu ofensywy ich wojsk na Zachodzie. Nie wziął jednak pod uwagę możliwości niedotrzymania tych obietnic, nie uzyskał od sojuszników nawet większych dotacji na dozbrojenie Wojska Polskiego i na dostawy sprzętu wojskowego. Wraz z Beckiem nie uwzględnił też możliwości wystąpienia zbrojnego ZSRS po stronie Niemiec, mylnie zakładając, że jest to niemożliwe z powodu różnic ideologicznych między tymi państwami.

Układem Ribbentrop–Mołotow władze polskie były więc całkowicie zaskoczone. Mimo że wybuch wojny był przesądzony, a układ zawierały państwa, które nie graniczyły ze sobą, to Śmigły-Rydz popełnił fatalny w skutkach błąd, przesuwając termin mobilizacji powszechnej z 29 na 30 sierpnia. Zrobił to pod naciskiem ambasadorów zachodnich w Polsce, starających się za wszelką cenę zapobiec wojnie. Nie powstrzymało to oczywiście Niemców. Zakończenie mobilizacji armii polskiej – znacznie słabszej niż niemiecka – odbyło się już pod bombami Luftwaffe.

Natychmiast po wybuchu wojny Śmigły-Rydz objął stanowisko Naczelnego Wodza, a prezydent Mościcki mianował go swoim następcą. Wobec przegrania bitwy granicznej i odwrotu wojsk polskich na całym froncie, marszałek rozkazał tworzyć linię obronną na Narwi, Wiśle i Sanie. Sam przeniósł stanowisko dowodzenia z Warszawy do Brześcia nad Bugiem, a następnie do Włodzimierza Wołyńskiego. Skuteczność dowodzenia stamtąd poszczególnymi armiami WP okazała się, wobec szybkości działań niemieckich i złego systemu łączności, iluzoryczna. Przekraczała zresztą możliwości jednego człowieka. Naczelny Wódz



Fot. NAC

Naczelnik Państwa Józef Piłsudski w rozmowie z gen. „Śmigłym" na froncie wojny z bolszewikami, 1920 rok

„nie stanął na wysokości zadania. Niektóre rozkazy były spóźnione, brak im było zdecydowania i spójności [...]. Nie miał strategicznej myśli przewodniej, gubił się w szczegółach" – podsumował Stawecki.

Wobec rysującej się klęski Śmigły-Rydz zdecydował o wycofaniu nierozbitych jeszcze oddziałów WP na linię rzek Stryj i Dniestr, czyli tzw. przedmoście rumuńskie. Zamierzał tam jak najdłużej prowadzić walkę i doczekać spodziewanej ofensywy na Zachodzie. Nie wiedział, że sprzymierzeńcy właśnie zdecydowali o niepodejmowaniu działań zaczepnych, które wspomogłyby broniących się heroicznie Polaków. Koncepcja Śmigłego-Rydza nie miała i tak szans na realizację, ponieważ wojska niemieckie odcięły możliwość marszu na południe wszystkim większym jednostkom WP, 17 września zaś Polskę zaatakowała niespodziewanie Armia Czerwona. W tej sytuacji Naczelny Wódz wydał rozkaz kontynuowania walk z Niemcami, przebijania się do Rumunii i na Węgry tych oddziałów, które otrzymały uprzednio rozkaz wycofania się na przedmoście rumuńskie, oraz unikania starć z Armią Czerwoną. Wydany w pośpiechu, mało precyzyjny rozkaz, zakazywał *de facto* oporu wobec agresji sowieckiej. Wprowadził jednak w ten sposób jeszcze większą dezorientację zaskoczonych najazdem oddziałów WP we wschodniej części Polski. Wszystko było więc w rękach poszczególnych dowódców. Ci, którzy starali się uniknąć niewoli, zyskiwali szansę przeżycia. Ci, którzy się poddali, znaleźli się w katyńskich dołach śmierci. Sam Naczelny Wódz nie podjął żadnej próby oporu przeciw agresji sowieckiej i 18 września 1939 roku był już na terytorium Rumunii.

„Co miał ratować przez swą ucieczkę ten hetman?"

Sposób dowodzenia marsz. Śmigłego-Rydza w czasie wojny i decyzja porzucenia walczących wojsk spotkały się z gwałtowną krytyką. Był to jeden z przejawów przekonania, powszechnego w społeczeństwie polskim, o wyłącznej winie rządzącego Polską obozu piłsudczykowskiego za klęskę wojenną 1939 roku. Nietrudno to wytłumaczyć. Samodzielne rządy oznaczały bowiem wzięcie przez piłsudczyków całkowitej odpowiedzialności za kraj. Tym bardziej że konsekwentnie odrzucali oni, ze Śmigłym-Rydzem na czele, możliwość stworzenia w obliczu wojny rządu koalicyjnego. Jednak odium spadło przede wszystkim na Naczelnego Wodza, co trafnie dostrzegł historyk Andrzej Krzysztof Kunert: „W osobie Śmigłego mieliśmy do czynienia z bezprecedensowym w naszej historii w takiej skali spersonifikowaniem przegranej we Wrześniu wojny". On bowiem sformułował hasło obrony Polski, które stało się podstawową treścią programową jego obozu politycznego, on domagał się od społeczeństwa wyrzeczeń na rzecz realizacji tego celu i on – wykreowany na wodza narodu – miał być wzorem postępowania dla innych. Jak bowiem pisał piłsudczyk Stefan Mękarski, „pozycja Śmigłego w Polsce była czymś istotnie różnym i nieproporcjonalnie gatunkowo wyższym, aniżeli pozycja naczelnego wodza czy nawet głowy państwa w jakiejś Norwegii, Holandii, Jugosławii, Grecji lub nawet Francji. Nie należy tego owijać w bawełnę. Śmigłemu świadomie i celowo nadawano w Polsce cechy – *sui generis* – charyzmatyczne, czyniono z niego Wodza Narodu i społeczeństwo zaczynało się już z taką rolą oswajać i w nią wierzyć. Zatem i misja, i odpowiedzialność Śmigłego była gatunkowo całkiem innego rzędu i waloru, aniżeli rola jakiegoś generała czy nawet


Fot. NAC

Prezydent Ignacy Mościcki wręcza Edwardowi Śmigłemu-Rydzowi buławę marszałka; Warszawa, 10 listopada 1936 roku

Hetman II Rzeczypospolitej


Fot. NAC

króla skandynawskiego. Zresztą Wódz Naczelny w Polsce, »hetman wielki koronny« – to sprawa i ranga moralna zupełnie swoista, to tradycja i kultura rycerska wieków. Niestety – podejmowanie obrony Śmigłego to trud nie tylko niewdzięczny, to wysiłek daremny".

Już po internowaniu w Rumunii Śmigły-Rydz tłumaczył przyczyny opuszczenia kraju zamiarem udania się do Francji i kontynuowania walki. Jego obrońcy twierdzili, że „tęsknotę za romantyczną śmiercią na polu chwały pokonało poczucie odpowiedzialności Naczelnego Wodza, którego rola nie kończyła się na tragicznym zakończeniu kampanii wrześniowej w Polsce" (gen. Józef Jaklicz). Sam Śmigły-Rydz, według gen. Wacława Stachiewicza, mówił: „Gdy pomyślałem, kto będzie tę wojnę polską prowadził i sprawy polskiej bronił, nie tylko wobec nieprzyjaciela, lecz i wobec sprzymierzonych, postanowiłem nie ulec sentymentom osobistym, łatwym do wykonania, i prowadzić walkę dalej".

Tego trącącego megalomanią poglądu nie zmienił. Wacław Lipiński zapisywał na początku 1941 roku: „Rozmowa o przejściu do Rumunii – zmienia się, gdy o tym mówi. Podniecenie całkowite. Ciężko mu mówić. Dał dowody odwagi w poprzednich wojnach, teraz musiał myśleć o przyszłości kraju. Wojna w Polsce to tylko bitwa. Wiedział, że przegra [...]. Pójście z batalionem w pole byłby to akt rozpaczy przed Polakami zakończony jego śmiercią bądź niewolą u Niemców. Jego rola we Francji byłaby zupełnie inna". Był to jednak scenariusz niemający żadnych cech prawdopodobieństwa, nie może więc stanowić uzasadnienia opuszczenia kraju. „Co miał [...] ratować przez swą ucieczkę ten hetman?" – pytał retorycznie pisarz i pułkownik Apoloniusz Zawilski.

W grudniu 1940 roku marsz. Śmigły-Rydz zbiegł z Rumunii na Węgry, a następnie w końcu października 1941 roku przedostał się do okupowanego kraju. Ze swoich ambicji przywódczych nie zrezygnował, jednak rychła śmierć w Warszawie spowodowana dolegliwością serca (*angina pectoris*) zniweczyła złudzenia dotyczące powrotu na scenę polityczną.

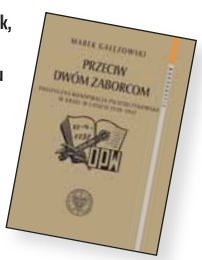
Wbrew późniejszej legendzie, Naczelny Wódz marzył o ponownym przejęciu roli przywódczej, a nie o rehabilitacji za poniesioną klęskę. „Widać, że Adam [pseudonim Śmigłego – M.G.] ma rozwinięte ambicje polityczne, które są jak alkohol dla słabego człowieka, robią go słabym, nieudolnym. »Póki tchu starczy i siły – nie ustąpię i nie zrezygnuję z walki o Polskę taką, jaką rozumiem«" – pisał Lipiński. Można tę historię w tym miejscu zakończyć, nie byłoby to jednak sprawiedliwe. Przekonanie o nieomylności nie było bowiem typowe wyłącznie dla polityków rządzących Polską w 1939 roku. Ich zawzięci przeciwnicy polityczni, którzy w czasie wojny objęli rządy na uchodźstwie i w konspiracji, niewiele się od nich różnili, dając podobne dowody pychy i wiary w swoją nieomylność.

Tak jak Polacy ufali w przededniu wybuchu wojny marsz. Rydzowi „Śmigłemu", tak ufali Stanisławowi Mikołajczykowi, gdy wracał do kraju w 1945 roku. Nie poderwały tego zaufania ani intrygi przeciw Naczelnemu Wodzowi, gen. Kazimierzowi Sosnkowskiemu, które doprowadziły do dymisji tego ostatniego, ani pogodzenie się z rozbiorem Polski dokonanym w Jałcie. Nie minęły dwa lata, gdy po klęsce swoich rojeń o partnerskich współrządach z komunistami, były premier zawiódł to zaufanie i uciekł z Polski, nie uprzedziwszy o swym zamiarze nawet najbliższych współpracowników. Ratował siebie, pozostawiał tych, którzy byli najbardziej narażeni na represje komunistów. Początkowo „kawaler jałtański" miał opuścić kraj w trumnie, na co się ostatecznie nie zgodził. Trudno i w tym wypadku nie zastanowić się nad słowami Mariana Hemara: „O Polska tragedio plew, które ziarnami łudzą / Jak łatwo powiedzieć »krew«, gdy chodzi o cudzą".



„Nikt nam nie ruszy nic, nikt nam nie zrobi nic/ Bo z nami Śmigły, Śmigły, Śmigły-Rydz!" – śpiewano na cześć marszałka; propaganda II RP stworzyła obraz Śmigłego-Rydza jako męża stanu zdolnego obronić Polskę – wrzesień 1939 roku boleśnie to zweryfikował; plakat propagandowy z 1939 roku

dr Marek Gałęzowski – historyk, pracownik Biura Edukacji Publicznej IPN, koordynator Centralnego Projektu Badawczego BEP „Ziemie polskie pod okupacją 1939–1945", autor książek poświęconych najnowszej historii Polski; ostatnio opublikował monografię *Przeciw dwóm zaborcom. Konspiracja piłsudczykowska w kraju w latach 1939–1947* (2013)



Płonąca granica

Elżbieta Szumiec-Zielińska

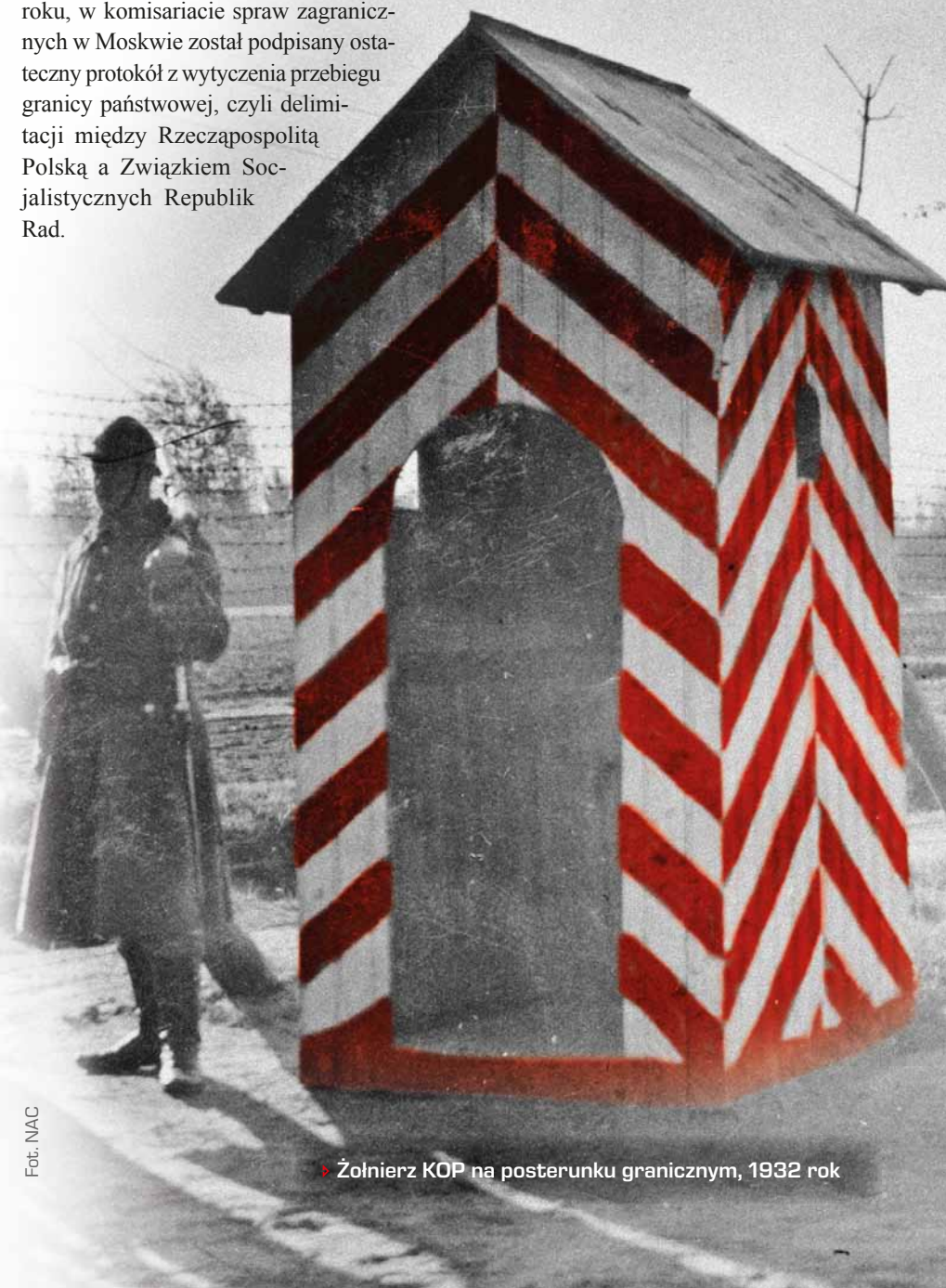
W pierwszych latach II RP mnożyły się krwawe sowieckie napady we wschodniej strefie przygranicznej. Sytuację poprawiło dopiero utworzenie Korpusu Ochrony Pogranicza.

Przegranie przez Sowietów wojny z „pańską Polską" przekreśliło ich nadzieje na eksport rewolucji bolszewickiej do Europy. Jedną z konsekwencji klęski była zgoda na nowy kształt granic. Określał je traktat pokojowy podpisany w Rydze 18 marca 1921 roku, a składający się z 26 punktów. Na mocy ustaleń przy Polsce pozostała Galicja Wschodnia, zachodnia część byłej guberni wołyńskiej oraz była gubernia wileńska – bez jej zachodniej części, która należała do Litwy.

Rosjanie wielokrotnie podkreślali, że taki przebieg granicy jest dla nich nie do przyjęcia. W ich planach ta granica miała pozostać płonącą granicą, a świat miał zobaczyć, jak bardzo jest ona niesprawiedliwa. Władze na Kremlu organizowały i inspirowały działania grup dywersyjnych przenikających do Polski. Przy tak długiej granicy, która często przebiegała przez błota i bagna, polskie formacje graniczne nie mogły zagwarantować jej bezpieczeństwa. Szerzyły się bandytyzm i przemyt. Grupy organizowane przez sowiecką policję polityczną (GPU/OGPU) przechodziły przez granicę, napadały, rabowały i rozrzucały ulotki propagandowe. Szacuje się, że w latach 1921–1924 rozpoznano ok. 260 przypadków przekroczenia granicy przez różnego rodzaju oddziały, które dokonywały rabunków. Ubrane po cywilnemu grupy miały zasymilować się ze społeczeństwem i pokazać, że ludność miejscowa ma już dość polskiej administracji. Napady szczególnie nasiliły się latem 1924 roku. W nocy z 18 na 19 lipca licząca około trzydziestu ludzi banda napadła na leżące 70 km od granicy miasteczko Wiszniew w powiecie wołożyńskim. Napad trwał kilka godzin. Sprawcy wywieźli łupy na pięciu wozach. W starciu zginął komisarz Włodzimierz Łopaciński, komendant powiatowy Policji Państwowej. Został trafiony czterema kulami z karabinu maszynowego. Wkrótce, 31 lipca 1924 roku, w komisariacie spraw zagranicznych w Moskwie został podpisany ostateczny protokół z wytyczenia przebiegu granicy państwowej, czyli delimitacji między Rzecząpospolitą Polską a Związkiem Socjalistycznych Republik Rad.

Napad na Stołpce

Jednak już kilka dni po podpisaniu porozumienia, w nocy z 3 na 4 sierpnia 1924 roku, liczący około stu osób oddział dywersyjny zaatakował miasteczko Stołpce w woj. nowogródzkim. Według sprawozdania przesłanego do Ministerstwa Spraw Wojskowych, napastnicy – po przecięciu drutu telefonicznego i telegraficznego – ostrzelali z broni maszynowej i obrzucili granatami starostwo, komendę powiatową policji, posterunek policji miejskiej, stację kolejową, urząd pocztowy, kasę skarbową, areszt miejski i prywatne mieszkania. Starostwo,



Fot. NAC

Żołnierz KOP na posterunku granicznym, 1932 rok



Fot. NAC

Dowódca KOP gen. Henryk Minkiewicz-Odrowąż

kasę skarbową i posterunek policji udało się obronić urzędnikom i policjantom. Podczas walk zginęli urzędnik starostwa i siedmiu policjantów: Bernard Foss, Ignacy Korziuk, Kazimierz Kwaśniewski, Paweł Lisiewicz, Ryszard Matyjaszkiewicz, Lucjan Rostek i Stanisław Wojdera. Ranni zostali telegrafista na stacji i kilku policjantów. Dopiero po godzinie udało się zaalarmować Urząd Wojewódzki w Nowogródku i wojsko. Wjeżdżających do miasta ułanów ostrzelali dywersanci. Piętnastu napastników przekroczyło granicę pod Kołosowem. Do ścigających ich żołnierzy strona radziecka strzelała z broni maszynowej. Prasa szczegółowo relacjonowała te wydarzenia.

5 sierpnia 1924 roku minister spraw wojskowych, gen. dyw. Władysław Sikorski, w piśmie do prezesa Rady Ministrów Władysława Grabskiego informował: „Stosunki na naszym pograniczu wschodnim muszą być poddane radykalnej i natychmiastowej rewizji. Z faktu, że bolszewicy prowadzą tam z nami zaciekłą, podjazdową wojnę, musimy wyciągnąć odpowiednie wnioski. Słaba, względnie zła administracja, zdemoralizowana policja, której członkowie zawodowo piją i z rodzinami przechodzą do Rosji Sowieckiej, kompletny brak autorytetu Państwa wśród ludności miejscowej, tolerowanie jawnych podżegań do zamieszek – wszystko to przygotowuje doskonale grunt pod napady bolszewickie na kresach wschodnich”. Minister spraw zagranicznych Aleksander Skrzyński polecił polskiemu chargé d’affaires w Moskwie Kazimierzowi Wyszyńskiemu przedstawienie polskiego stanowiska w sprawie napaści. Jednocześnie 6 sierpnia w poselstwie radzieckim w Warszawie złożono notę dyplomatyczną. Minister Skrzyński pisał w niej m.in.: „Ujęci bandyci zeznali, że przygotowanie wojskowe do dokonania napadu na Stołpce otrzymali w ciągu ostatnich 6 miesięcy w Mińsku, w specjalnej organizacji przeznaczonej do prowadzenia akcji bandyckiej w Polsce. Kierownictwo powyższej organizacji, mającej charakter wojskowy, znajduje się w Mińsku przy ul. Podgórze; szkolenie bandytów odbywa się w Mińsku przy ul. Niemieckiej; podzieleni są oni na grupy, na czele których znajdują się specjalni instruktorzy wojskowi”. Jak podkreślał minister, napad na Stołpce był z góry starannie zaplanowany: „Bandyci zeznali, że 29 lipca br. wszystkie trzy bandy zostały wywiezione samochodami ciężarowymi z Mińska do rejonu Kojdanowa, skąd udały się ku granicy polskiej, którą przekroczyły w nocy z dnia 3 na 4 sierpnia”. Zatrzymani zeznali, że przed przekroczeniem granicy otrzymali 130 naboi karabinowych i po dziesięć naboi do rewolweru.

„Kurier Poranny” donosił 5 sierpnia 1924 roku: „Los Stołpców nie może być dla naszego Rządu przedmiotem melancholijnych tylko i filozoficznych rozważań. Pierwszym zadaniem każdego rządu jest czuwać nad stanem bezpieczeństwa na zewnątrz i na wewnątrz państwa. […] Konieczność utworzenia dookoła naszych granic wschodnich w rejonie, do którego sięgać mogą rajdy socjalban-

Na granicy: żołnierze KOP podczas spotkania z patrolem sowieckim



Fot. NAC

dyckie, pogranicza wojskowego, na którem wszelka władza przeszłaby w ręce fachowców, przygotowanych do sprawnego, szybkiego i radykalnego zapobiegania militarno-zaczepnym ofensywom – jest uzasadniona nie tylko względami na bezpieczeństwo, ale także względami na potrzebę utrzymania pokoju zewnętrznego". 7 sierpnia odbył się pogrzeb ofiar napadu na Stołpce.

Pięć dni później ludowy komisarz spraw zagranicznych ZSRR, Gieorgij Cziczerin, przesłał chargé d'affaires Rzeczypospolitej Polskiej w Moskwie Kazimierzowi Wyszyńskiemu notę potwierdzającą odbiór noty rządu polskiego z 6 sierpnia. Sowieci zakomunikowali, że władze ZSRR przeprowadzą stosowne śledztwo i o jego wynikach powiadomią rząd polski.

Kilka dni przed napadem na Stołpce, 30 lipca 1924 roku, posterunkowy Policji Państwowej Józef Góra, który pełnił służbę w okolicy, gdzie napastnicy przekroczyli granicę, został porwany przez sześciu konnych i trzech pieszych żołnierzy Armii Czerwonej. Kilkanaście dni po napadzie na Stołpce doszło do kolejnego incydentu. 20 sierpnia o godz. 1.00 w nocy koło osady Turkowszczyzna w pobliżu stacji Radoszkowicze posterunki sowieckie ostrzelały polskie posterunki graniczne. Funkcjonariuszom Policji Państwowej udało się zatrzymać ośmiu napastników. Jeden z nich był ranny.

25 sierpnia 1924 roku rozpoczął się w Nowogródku doraźny sąd nad trzema uczestnikami napadu na Stołpce. Jego przebieg uważnie śledziła prasa. Na ławie oskarżonych zasiedli Piotr Joda, Mikołaj Goraczko i Edward Sapiński. Ten ostatni nie przyznawał się do winy. Joda i Goraczko złożyli szczegółowe zeznania. Stwierdzili, że napad na Stołpce był aktem dywersyjnym. Oficerowie bolszewiccy, którzy prowadzili ich w stronę granicy i kierowali napadem, wydali im rozkaz, aby przede wszystkim zabierali dokumenty rządowe i niszczyli obiekty państwowe. Sąd uznał trzech zatrzymanych za winnych i skazał ich na karę śmierci przez rozstrzelanie. Prezydent RP Stanisław Wojciechowski ułaskawił Piotra Jodę. Zatwierdził zaś wyrok na Goraczkę i Sapińskiego. Wyrok wykonano w środę 27 sierpnia o 5.00 rano.

Przełomowa decyzja

Wcześniej, 21 i 22 sierpnia 1924 roku w Spale, na posiedzeniu Politycznego Komitetu Rady Ministrów pod przewodnictwem prezydenta RP Stanisława Wojciechowskiego podjęto decyzję o stworzeniu specjalnej formacji wojskowej pod nazwą Korpusu Ochrony Pogranicza. „Rzeczpospolita" w numerze z 26 sierpnia 1924 roku pisała: „Wytworzona w pasie przygranicznym sytuacja wymaga mocnych, ale zarazem spokojnych i rozważnych zarządzeń. Ostatnią decyzję Rządu, przyspieszoną przez napad na Stołpce, który wiele niedomagań naszej administracji i policji granicznej odsłonił, przede wszystkim w sprawie stworzenia Korpusu Ochrony Pogranicza powitać należy z uznaniem". Na początku września informowano, że rząd przygotowuje projekt ustawy o organizacji Korpusu Ochrony Pogranicza. 12 września Ministerstwo Spraw Wojskowych wydało rozkaz w sprawie utworzenia formacji. Kilka dni później uzupełniła go instrukcja określająca jej strukturę. Dowódcą Korpusu Ochrony Pogranicza został gen. brygady (a wkrótce dywizji) Henryk Minkiewicz-Odrowąż. Siedziba dowództwa nowej formacji znajdowała się w Warszawie, w budynku należącym do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, przy ul. Nowy Świat. Później została przeniesiona na ulicę Chałubińskiego. Korpus podporządkowano dwóm resortom. Pod względem personalnym, operacyjnym, organizacyjnym i wyszkolenia podlegał Ministerstwu Spraw Wojskowych, a pod względem ochrony granicy, bezpieczeństwa w pasie granicznym i budżetu – Ministerstwu Spraw Wewnętrznych.

Pod koniec września, kiedy trwały intensywne prace nad sformowaniem Korpusu Ochrony Pogranicza, doszło do kolejnego incydentu granicznego. Tym razem 67 bandytów napadło pod miejscowością Łowcza na pociąg relacji Pińsk–Łuniniec. Podróżowali nim wojewoda poleski Stanisław Downarowicz, bp Zygmunt Łoziński, senator Bolesław Wysłouch, komendant okręgowy Policji Państwowej Józef Mięsowicz i kilkunastu niższych rangą policjantów.



Fot. NAC

Łączność pomiędzy poszczególnymi posterunkami KOP zapewniały gołębie pocztowe

Downarowicz i Mięsowicz zostali wychłostani przez bandytów i pozostawieni bez ubrania. Tylko trzech pasażerów stawiło opór napastnikom. Jednym z nich był żydowski kupiec Lejzer. Zginął podczas napadu. Broniący się senator Bolesław Wysłouch i posterunkowy Wincenty Dmowski odnieśli rany. Oporu nie stawili natomiast podróżujący pociągiem uzbrojeni oficerowie Wojska Polskiego (ich zachowanie spotkało się potem z ostrą krytyką w prasie). Dowódca bandy wręczył maszyniście pokwitowanie z podpisem „Ataman Trofim Kalinienko, kwatera Główna, Timkowicze, dnia 24 IX 1924 roku". Większość bandytów przedarła się za granicę, pozostali rozproszyli się na Polesiu.

27 października 1924 roku rozpoczęto przegrupowywanie jednostek KOP z miejsc formowania do miejsc stacjonowania. W kolejnych latach pojawili się jeszcze na granicy z Litwą i Łotwą (1926), ochraniali występ suwalski (1927) oraz granicę z Rumunią (1927) i Węgrami (1939). Korpus składał się z oddziałów pieszych i konnych. Podstawowymi jednostkami taktycznymi były bataliony piechoty i szwadrony kawalerii. One, w połączeniu z jednostkami pomocniczymi, tworzyły brygady. Pogranicze zostało podzielone na pasy ochronne brygad KOP. Odpowiadały one mniej więcej granicom administracyjnym województw wschodnich. Szerokość pasa ochronnego, w którym poruszali się pogranicznicy, wynosiła około 30 km w głąb kraju. Zasadniczą jednostką pełniącą służbę ochronną były strażnice ustawione w niewielkiej odległości jedna od drugiej. W czasach pokoju były z reguły obsadzone siłami półkompanii (kompania graniczna liczyła 54 szeregowych i dowódcę – oficera). To one w przyszłości pierwsze wezmą na siebie ciężar uderzenia Armii Czerwonej 17 września 1939 roku.



Patrol KOP w czasie zasadzki na granicy ze Związkiem Radzieckim

Fot. NAC

Bardzo szybko okazało się, że KOP dobrze wypełnia swoje zadania. Z pewnością wpływ na to miał dobór ludzi. Do tej służby kierowano starannie wybranych żołnierzy i oficerów. Rekrutowali się oni przeważnie z województw zachodnich II RP. W wydanym 23 października 1924 roku „Rozkazie dziennym nr 1" dowódca KOP gen. bryg. Henryk Minkiewicz-Odrowąż stwierdzał: „Powołani zostaliście do szeregów Korpusu, aby pełnić ciężką i odpowiedzialną służbę ochrony wschodniej granicy Rzeczypospolitej. Czeka Was zadanie trudne, wymagające żołnierskiego poświęcenia, hartu woli i siły charakteru. […] Nigdy przed zbrojną bandą żołnierz Korpusu nie ustąpi, nigdy się nie cofnie. Żołnierze, znamionować Was musi odwaga i bitność, męstwo i pogarda śmierci. Zawsze naprzód! Atakować i ścigać do upadłego. Żołnierze! Spełnijcie – mimo trudnych warunków służby – swój żołnierski obowiązek, zaskarbicie sobie dobrą pamięć Ojczyzny".

W 1924 roku na wschodnim pograniczu odnotowano 189 napadów rabunkowych i dywersyjnych oraz 28 akcji sabotażowych. Zostały one przeprowadzone przez blisko tysiąc dywersantów. Od 1 listopada 1924 roku do 1 października roku następnego poległo siedmiu żołnierzy KOP. Kilkunastu odniosło rany. Jednak sytuacja była lepsza aniżeli

przed pojawieniem się żołnierzy. Poprawa sytuacji była też skutkiem zmiany polityki ZSRR i likwidacji band po drugiej stronie kordonu. Istotne okazało się również podpisanie 25 sierpnia 1925 roku umowy jampolskiej. Pozwalała ona wiele lokalnych konfliktów i nieporozumień granicznych załatwiać na miejscu przez komisje złożone z przedstawicieli obu stron. W jednym z punktów Sowieci zobowiązali się do natychmiastowego wydania władzom polskim por. Stefana Rondomańskiego i ppor. Tadeusza Mączyńskiego. Miało do niego nie dojść, gdyby oficerowie oświadczyli, że przekroczyli granicę dobrowolnie. Rondomański został porwany 3 lipca 1925 roku w chwili, gdy na granicy rozmawiał z oficerem sowieckim. Wciągnięto go w zasadzkę i ogłuszono rewolwerem. Kiedy odzyskał przytomność, usiłował użyć broni, której napastnicy nie znaleźli w kieszeni jego spodni. Został pobity i dokładnie zrewidowany. Przewieziono go do więzienia GPU w Mińsku. Także i tu został pobity. Rondomański rozpoczął strajk głodowy. Sowieci, obawiając się, że może popełnić samobójstwo, zabrali z jego celi wszystkie niebezpieczne przedmioty. Oderwali nawet rękawy z jego koszuli, żeby nie mógł się na nich powiesić. Proponowano mu przejście na stronę radziecką. Ostatecznie Sowieci oskarżyli Rondomańskiego o szpiegostwo i przewieźli na Łubiankę w Moskwie. Stamtąd trafił do Jampola – od kilku dni toczyły się tu rozmowy polsko-sowieckie. Jedną z osób, które były w polskiej delegacji i rozmawiały ze stroną sowiecką, był ppłk Stanisław Maczek – szef lwowskiej Ekspozytury nr 5 Oddziału II Sztabu Generalnego WP. To właśnie przed nim por. Rondomański składał wyjaśnienia. Wcześniej nie chciał odpowiadać na pytania oficera sowieckiego. 2 września prasa donosiła o powrocie por. Rondomańskiego do Polski. Oficer został przekazany stronie polskiej na strażnicy Michałówka koło Łanowca. Podporucznik Tadeusz Mączyński oświadczył, że pragnie pozostać po stronie sowieckiej. Prasa apelowała, aby zbyt pochopnie nie oceniać czynu oficera. Znane bowiem były brutalne metody, którymi śledczy z ZSRR zmuszali do składania zeznań.

KOP w wojnie obronnej

1 września 1939 roku w Korpusie Ochrony Pogranicza służyło około 19 tys. żołnierzy. Znaczna ich część w obliczu zagrożenia wojennego została zabrana ze wschodniej granicy i skierowana do walki z Niemcami. Niemal wszystkie wielkie jednostki Wojska Polskiego zostały uzupełnione przez KOP, niektóre wręcz sformowano z jego żołnierzy. Ci, którzy zostali na wschodzie, zmierzyli się z agresją sowiecką. Tu pojawia się pytanie, dlaczego pododdziały KOP, mimo że zaobserwowały ruch po drugiej stronie granicy, nie podjęły przygotowań na wypadek ataku Sowietów. Otóż ruch po stronie radzieckiej był traktowany jako element ćwiczeń.

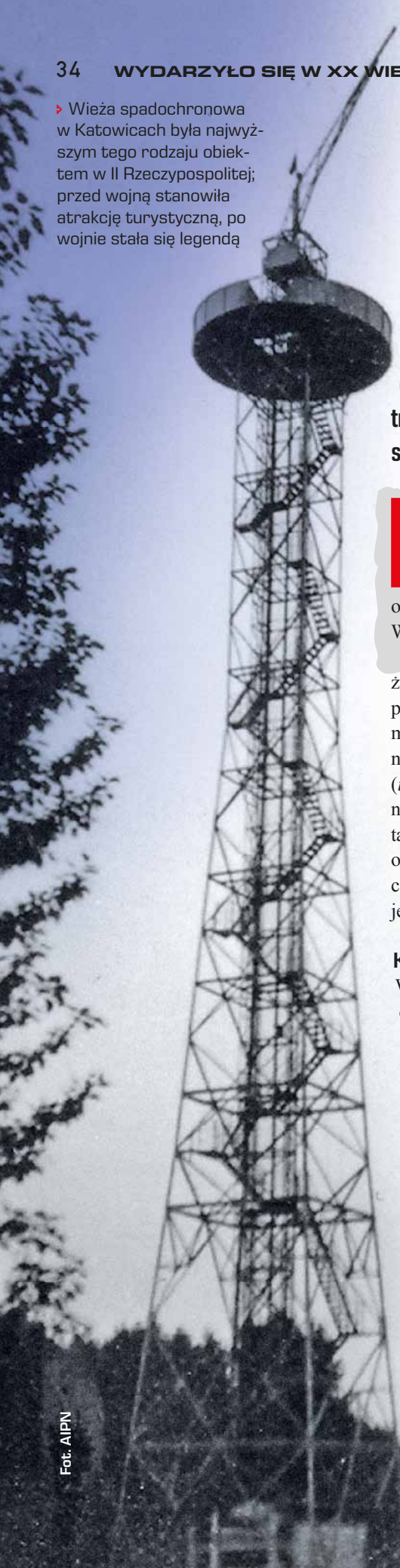
Po wkroczeniu do Polski sowiecki NKWD poszukiwał żołnierzy Korpusu Ochrony Pogranicza. Pojmanych umieszczano w obozach. Na ich niekorzyść – oprócz tego, że pełnili służbę na granicy – przemawiało także to, że wielu z nich walczyło w wojnie polsko-sowieckiej. W 1940 roku zostali rozstrzelani m.in. w Twerze i Miednoje. Pierwszy dowódca KOP, gen. dyw. Henryk Minkiewicz-Odrowąż, w 1934 roku przeszedł w stan spoczynku. Gospodarował w Jamnie, w powiecie Brześć nad Bugiem. Zginął z rąk sowieckich w Katyniu.

Elżbieta Szumiec-Zielińska – dziennikarka telewizyjna, reżyserka filmów dokumentalnych i programów TV



Żołnierze KOP przedzierają się przez bagna Polesia; lipiec 1928 roku

Fot. NAC



Wieża spadochronowa w Katowicach była najwyższym tego rodzaju obiektem w II Rzeczypospolitej; przed wojną stanowiła atrakcję turystyczną, po wojnie stała się legendą

Fot. AIPN

Legenda katowickiej wieży

Grzegorz Bębnik

Katowicka wieża spadochronowa jest dziś niezaprzeczalnym symbolem tragicznych dziejów miasta w pierwszych dniach II wojny światowej.

Rankiem 4 września 1939 roku do rogatek Katowic zbliżyła się od południa niemiecka 239. Dywizja Piechoty. Miała rozkaz zajęcia miasta opuszczonego już przez regularne oddziały Wojska Polskiego i polską administrację.

Katowice, które śląski wojewoda Michał Grażyński intensywnie rozbudowywał i poszerzał przez przyłączanie kolejnych, sąsiadujących miejscowości, liczyły w dniu wybuchu wojny 134 tys. mieszkańców. Stosowana często (*in spe* raczej) dumna nazwa Wielkie Katowice nie powinna jednak wprowadzać w błąd. Zwarta, miejska zabudowa kończyła się w promieniu około kilometra, dwóch od rynku. Dalej rozciągały się już podmiejskie osiedla, stopniowo jednak rozbudowywane.

Katowice: miasto symbol

W II RP Katowice były najszybciej rozwijającym się miejskim ośrodkiem, zwłaszcza wobec stopniowego ustępowania po 1935 roku symptomów kryzysu gospodarczego. W mieście podziw wzbudzały nowe, awangardowe często budynki: gmach Urzędu Wojewódzkiego, Muzeum Śląskie, „drapacz chmur" przy ul. Żwirki i Wigury, dzielnice mieszkaniowe na południe od linii kolejowej, wreszcie szybko rosnąca w górę katedra. W skwarne lato 1939 roku ogromną popularnością cieszyły się zarówno miejscowe kąpieliska, jak i spacery na świeżym powietrzu. Tłumnie odwiedzany był zwłaszcza założony na terenie dawnych pokopalnianych wyrobisk, nieodległy od centrum miasta, Park Kościuszki, przez Niemców uparcie nazywany Parkiem Południowym (*Südpark*). Górowała nad nim stalowa kratownica wieży spadochronowej, wykorzystywanej zarówno do profesjonalnego szkolenia skoczków, jak i oddawania skoków amatorskich, wymagających jednak sporej odwagi.

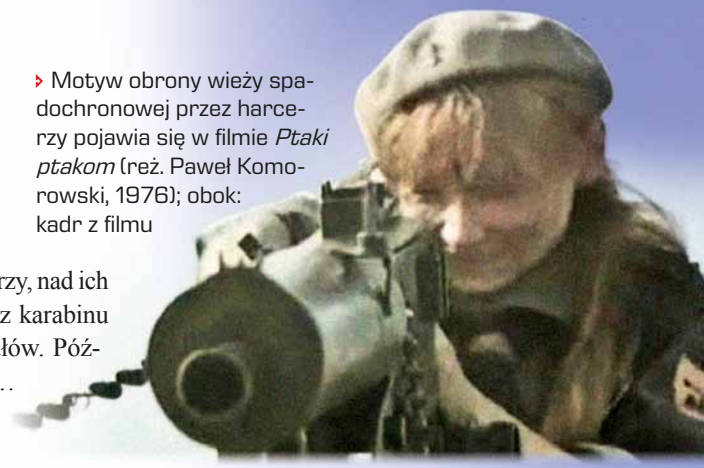
Pod względem narodowościowym Katowice były już innym miastem aniżeli to, które w górnośląskim plebiscycie 1921 roku gremialnie opowiedziało się za pozostaniem w granicach Niemiec. Wielu zdeklarowanych miejscowych Niemców wyemigrowało do Rzeszy, wśród pozostałych mieszkańców natomiast sporą i wciąż rosnącą grupę stanowili przybysze z dawnej Galicji lub Kongresówki, zatrudnieni najczęściej w państwowej czy samorządowej administracji, szkolnictwie, armii… Gdy zaś mowa o „miejscowych", to zwłaszcza młodsze pokolenie, które zdążyło już ukończyć polskie szkoły, a za pośrednictwem młodzieżowych organizacji (nade wszystko harcerstwa) głęboko nieraz „wrosnąć w polskość", najczęściej odznaczało się bardziej zdecydowaną postawą narodowościową aniżeli ich ojcowie czy dziadkowie. I dla Polaków, i dla Niemców Katowice były miejscem o znaczeniu symbolicznym; dla pierwszych widomym dowodem triumfu polskiej myśli zachodniej i zatrzymania niemieckiego „parcia na wschód", dla drugich – stygmatem hańby i upokorzenia po przegranej wojnie, powstaniach i decyzji zwycięskich mocarstw o podziale Górnego Śląska. Te konotacje w znacznym stopniu zaważyły również na losach miasta w pierwszych dniach Września.

Co spadło z wieży?

Podchodzące powoli ku centrum miasta oddziały 239. Dywizji Piechoty kierowane były przez dowódcę jednostki, gen. Ferdinanda Neulinga, oraz gen. Georga Brandta odpowiedzialnego

za zajęcie całości górnośląskiego obszaru przemysłowego. Około godz. 9.00 niemieccy żołnierze znajdowali się już dosłownie o rzut kamieniem od katowickiego rynku; zmęczone przebytą drogą, upałem i wszechobecnym kurzem kolumny Wehrmachtu zatrzymały się na skraju Parku Kościuszki. Zarówno zwiadowcy, jak i informatorzy spośród niemieckich mieszkańców miasta donieśli bowiem, że w samym parku znajdować mają się słynni „powstańcy" (*Aufständische, Insurgenten*), których niemiecka propaganda dostrzegała za każdym rogiem. Generałowie wraz ze swymi sztabami zajęli wobec tego dogodne stanowisko na wzniesieniu nad ulicą Kościuszki prowadzącą w kierunku centrum miasta. Wokół ustawiono (z ostrożności, podyktowanej kolejnymi informacjami, tym razem o widzianych w mieście polskich tankietkach) kilka działek przeciwpancernych kal. 37 mm. W dół, ku Katowicom, spływać poczęły masy żołnierzy w mundurach *feldgrau*; część w samochodach, większość jednak pieszo, wśród skrzypienia osi licznych furmanek i podobnych zaprzęgów. Dywizja gen. Neulinga, na co wskazuje zresztą jej wysoki numer, była jednostką tzw. trzeciej fali mobilizacyjnej, sformowaną z żołnierzy pospolitego ruszenia (*Landwehr*). Wobec tego, po pierwsze, w jej skład wchodziły nade wszystko starsze i gorzej przeszkolone roczniki, po drugie – wobec faktu, że dywizje te formowane były na bazie terytorialnej – żołnierze i znaczny odsetek oficerów wywodzili się z… Górnego Śląska. Ściślej zaś – z jego niemieckiej, zachodniej części.

W pewnej chwili, gdy opięci w mieniące się złotem i szkarłatem mundury niemieccy generałowie (trzej, gdyż oprócz wymienionych był tam także szef sztabu Georga Brandta, gen. Otto von Knobelsdorff) zajęci byli obserwowaniem podążających w stronę Katowic żołnierzy, nad ich głowami zaświstała oddana z karabinu maszynowego seria wystrzałów. Później kolejna – i jeszcze jedna… Źródło zlokalizowane zostało niemal natychmiast – była to szczytowa platforma stojącej w Parku Kościuszki wieży spadochronowej.



Motyw obrony wieży spadochronowej przez harcerzy pojawia się w filmie *Ptaki ptakom* (reż. Paweł Komorowski, 1976); obok: kadr z filmu

Oddane niewprawną na pewno ręką strzały nikogo nie trafiły; wysoka na 55 m wieża, znajdująca się do tego w najwyższym punkcie ówczesnych Katowic, intensywnie „pracowała" na wietrze, odchylając się od pionu nawet o metr. W tych warunkach wzięcie odpowiedniej poprawki na oddanie celnego strzału było nie tyle trudne, ile niemal wręcz niemożliwe. Tym bardziej że na wieży na pewno nie siedział snajper; karabin (lub karabiny) bez wątpienia obsługiwany był przez wojskowego amatora.

Skąd ta pewność? By odpowiedzieć na to pytanie, wystarczy uzmysłowić sobie sytuację: gniazdo karabinu maszynowego zlokalizowane na widocznej z oddali stalowej konstrukcji, bez możliwości wycofania się czy choćby zmiany pozycji. Widoczność, co prawda, znakomita, lecz prawdopodobieństwo trafienia stamtąd czegokolwiek o rozmiarach mniejszych od samochodu ciężarowego raczej wątpliwe. Co istotne, zależność ta nie działała w drugą stronę: załoga wieży była łatwym celem dla strzelających z ziemi przeciwników. Toteż niemal natychmiast otwarły ogień niemieckie karabiny maszynowe. Wkrótce potem padły strzały z jednego z działek przeciwpancernych, specjalnie w tym celu wypchniętego na skarpę okalającą ulicę Kościuszki. Późniejsza pogłoska mówiła, że gen. Brandt osobiście nadzorował ustawienie celownika. Prawda to czy nie, z działka padły cztery do pięciu strzałów, oddane nie typowymi pociskami przeciwpancernymi, lecz dostępnymi również dla tego rodzaju broni artyleryjskimi granatami. Jeden z pierwszych uderzyć miał w umieszczoną wewnątrz kratownicy linę windy, która runęła w tym momencie w dół. Po kolejnym trafieniu z wieży coś odpadło: może był to fragment konstrukcji, a może zrzucone eksplozją ciało któregoś z obrońców. Wówczas ogień zamilkł.

I tu kończą się wszelkie pewne informacje. Nie wiemy, kto przebywał wówczas na wieży (mówiono o katowickich harcerzach, co w świetle istniejących relacji wydaje się prawdopodobne), nie wiemy, czy ktoś z tych osób

Niemiecka armata we wrześniu 1939 roku – prawdopodobnie w pobliżu katowickiej wieży spadochronowej

Fot. BArch RH 26-239/3



Mimo ustaleń historyków legenda o bohaterskiej obronie wieży wciąż jest żywa; powyżej i u dołu: kadry z filmu *Ptaki ptakom*

przeżył ostrzał, nie wiemy wreszcie, czy rzeczywiście – jak chce kolejna pogłoska – żyjący jeszcze obrońcy zrzuceni zostali z wieży przez nacierających Niemców. Pomimo kilkakrotnie (ostatnio w 2003 roku) wznawianych śledztw, przesłuchania całej rzeszy świadków, apeli w mediach, wreszcie kwerendy we wszelkich chyba dostępnych archiwach – nie udało się nie tylko wyjaśnić losów załogi wieży, ale nawet ustalić jednego choćby nazwiska obrońcy. Zadziwiające, prawda?

Ten niewątpliwy fenomen postaramy się wyjaśnić później. Teraz jednak powróćmy do Parku Kościuszki 4 września 1939 roku. Zaledwie chwilę po tym, kiedy umilkły strzały z wieży, do żołnierzy niemieckich otwarto ogień z parkowych zarośli. Ci zareagowali tak, jak w podobnej sytuacji zwykli to robić cywile przebrani dla fasonu w wojskowe mundury – gremialnie rzucili się do przydrożnych rowów, z rzadka i chaotycznie próbując odpowiadać ogniem. Trzeba było zdecydowanej interwencji oficerów, by podnieść opolski *Mannschaft* z ziemi i nakłonić go do przeczesywania parkowych zarośli. W trakcie tego doszło do kilku potyczek; wzięto jeńców, o których dalszym losie dywizyjne dokumenty dyplomatycznie milczą. Niemieckie kolumny ostrzeliwano w kilku jeszcze innych miejscach parku. Tak czy inaczej, zamieszanie związane z łamaniem polskiego oporu na południowych rogatkach miasta kosztowało Niemców sporo straconego czasu; na katowicki rynek gen. Neuling wjechał dopiero o 11.30.

Nie był to zresztą koniec walk o miasto. Pragnąc dotrzeć do centrum, niemieccy żołnierze musieli stoczyć jeszcze bój o zajadle broniony Dom Powstańca przy ul. Matejki, złamać opór wokół dworca kolejowego, wreszcie przygotować się na pojedyncze strzały usadowionych na dachach i strychach „strzelców zza węgła" (*Heckenschützen*). Kiedy przed południem na katowickim rynku gen. Neuling spotkał się z żołnierzami *Grenzschutzu*, podążającymi na Katowice z drugiej strony, od Chorzowa, niespodziewanie dostał się w skoordynowany ogień z pobliskich dachów (wyszedł z tego bez szwanku). Po początkowych, desperackich raczej próbach odnalezienia strzelców Niemcy otrzymali rozkaz jak najszybszego przejścia przez centrum miasta i rozejścia się na wyznaczone w pobliskich miejscowościach kwatery. Do Katowic sprowadzono natomiast oddziały policji z Zabrza i Bytomia, znacznie lepiej radzące sobie w trudnym, zurbanizowanym terenie. To już ich dziełem, a także samoobrony, doraźnie tworzonej spośród niemieckich mieszkańców, będzie ostateczne spacyfikowanie oporu.



Zeznania starszej pani

Powróćmy jeszcze do wieży spadochronowej. Wkrótce po walkach Niemcy zabezpieczyli uszkodzoną konstrukcję, odgradzając wejście drutem kolczastym. Jak to zwykle bywa, nie stanowił on żadnej przeszkody dla żądnych emocji młodych ludzi; przynajmniej kilku okolicznych chłopaków odważyło się wejść aż na szczytową platformę w poszukiwaniu śladów walk. I cóż – sama platforma była postrzelana, uszkodzona w wielu miejscach, osmalona płomieniem eksplodujących pocisków. Walało się na niej jeszcze mnóstwo nabojowych łusek, lecz brakowało jednego – śladów krwi. Ich ewentualne spłukanie przypisać można by ostatecznie opadom atmosferycznym, jednak pierwsze dni września były słoneczne i upalne, bez przelotnego choćby deszczu.

O tym jednak usłyszeć miano znacznie później. Na razie trwała okupacja, katowicka wieża (w początku lat czterdziestych rozebrana zresztą i zezłomowana) powoli zaś stawała się miejscem symbolicznym; w rocznice Września pojawiały się pod nią kładzione ukradkiem znicze, kwiaty… Już wów-

czas z ust do ust podawano przekazy o broniących wieży katowickich harcerzach i ich tragicznym jakoby końcu – przez niemieckich żołnierzy mieli zostać zrzuceni z platformy. Dopełnieniem tej narracji, a zarazem początkiem trwającej do dziś legendy, stała się wydana w 1947 roku powieść Kazimierza Gołby *Wieża Spadochronowa. Opowiadanie z 1939 r.* Do dziś przez niektóre środowiska jest ona uznawana za dokumentalny wręcz zapis wydarzeń, mimo jednoznacznie literackiego podtytułu. Co ciekawe, kolejne wydania książki, ukazujące się już po śmierci autora – zmarłego w roku 1952 – zostały tego podtytułu pozbawione, dodano za to inny, sugerujący relację historyczną: *Harcerze śląscy we wrześniu 1939*.

Wracając zaś do losu obrońców – jak wytłumaczyć całą opisaną wyżej sytuację z brakiem śladów krwi na platformie wieży? Wydaje się, że – jak to zwykle bywa – rozwiązanie najprostsze będzie zarazem tym najbardziej wiarygodnym. Dysponujemy przekazem naocznego świadka, mówiącym, że widział on – w chwilę po rozpoczęciu ostrzału wieży – zjeżdżającą stamtąd windę, którą ewakuowali się obrońcy. Chyba jednak nie wszyscy – już w ostatniej odsłonie śledztwa, w 2004 roku, w katowickiej prokuraturze IPN pojawiła się pewna starsza pani, by opowiedzieć historię swej siostry, przedwojennej harcerki. Miała ona znajdować się na platformie wieży pośród grupy obrońców. Dopóki używano wyłącznie broni ręcznej, dopóty wymiana strzałów uchodzić mogła za równorzędną. Lecz po pierwszym wystrzale z niemieckiego działka przeciwpancernego załoga wieży postanowiła uciec; ponieważ winda była już unieruchomiona, schodzono, chwytając się bocznych fragmentów konstrukcyjnych. Schody znajdowały się wówczas pod silnym ostrzałem.

Ta hipoteza wydaje się najpełniej wyjaśniać dwie przynajmniej sprawy: po pierwsze, zagadkę zdumiewającej anonimowości rzekomo poległych obrońców, po drugie – zupełny brak śladów krwi. Ponadto brzmi ona najbardziej przekonująco z psychologicznego punktu widzenia; pierwsze wystrzelone z działka pociski rozminęły się z celem, jednak przelatując w pobliżu obrońców, musiały swym piekielnym odgłosem wywołać – co w pełni zrozumiałe – szok i przemożną chęć ucieczki. Najpewniej zresztą dopiero wówczas załoga wieży uświadomiła sobie powagę położenia. I zareagowała w sposób najbardziej racjonalny.

Co interesujące, opinię taką (choć przedstawioną w formie pytania) zawarł w swej książce *Tak nadeszła hekatomba. Katowicki harcerski wrzesień 1939 roku* (wydanie drugie z 1995 roku) nie byle kto, bo katowiczanin Tadeusz Czylok, w 1939 roku uczestnik paramilitarnego Pogotowia Harcerzy, po wojnie harcmistrz, przez długie lata przewodniczący Komisji Historycznej miejscowego hufca ZHP, osobiście zaangażowany w zgłębianie tajemnic katowickiego Września. Co zaś jeszcze bardziej interesujące, ta opinia przeminęła bez żadnego wręcz echa.

Czy taki przebieg wydarzeń w jakikolwiek sposób deprecjonuje bohaterstwo obrońców? Nie sądzę. Obrońcy wieży, niezależnie od tego, kim byli, zmierzyli po prostu „zamiar podług sił". I tyle. Druga możliwość w postaci „walki do ostatniego naboju" najzwyczajniej nie istniała; w najpewniej niecałą minutę po (domniemanej) ucieczce z wieży w jej platformę, miejsce właśnie opuszczone przez obrońców, uderzył artyleryjski pocisk. Czy naprawdę chcielibyśmy, by – w imię pięknej legendy – ktoś w tej eksplozji zginął?



Fot. G. Bębnik

Fot. G. Bębnik

Autentyczna wieża spadochronowa została na początku lat czterdziestych rozebrana i przetopiona w hucie; nową, niższą o ok. 20 m, zbudowano w latach pięćdziesiątych i ustawiono w nieco innym miejscu; nieopodal umieszczono tablicę pamiątkową

dr Grzegorz Bębnik – historyk, pracownik OBEP IPN w Katowicach, ostatnio wydał *Wrzesień 1939 r. w Katowicach* (2012)



Zbrodnie „rycerskiego” Wehrmachtu

Wojciech Wichert

W niemieckiej pamięci historycznej nadal funkcjonuje mit „czystego Wehrmachtu”, według którego zbrodnie obciążające Trzecią Rzeszę popełniali wyłącznie członkowie SS i funkcjonariusze formacji policyjnych, a żołnierze walczyli w sposób rycerski, tzn. przestrzegając prawa wojennego i z szacunkiem dla przeciwnika. Tymczasem od pierwszego dnia wojny z Polską Wehrmacht nie respektował konwencji międzynarodowych.



Niemieckie samoloty we wrześniu 1939 roku urządzały „polowania” na cywilnych uciekinierów

Fot. AIPN

Podczas funkcjonowania tymczasowego zarządu wojskowego od 1 września do 25 października 1939 roku najwyższą władzę na okupowanym obszarze II RP sprawowało Naczelne Dowództwo na Wschodzie (Oberkommando Ost, Ober-Ost). Była to przejściowa forma niemieckiego zwierzchnictwa na podbitych ziemiach polskich, istniejąca do chwili utworzenia Generalnego Gubernatorstwa oraz przyłączenia zachodnich terenów RP do Niemiec. Okrucieństwa armii i aparatu bezpieczeństwa w trakcie trwania zarządu wojskowego stanowiły zapowiedź hitlerowskiej „polityki narodowościowej”, która była konsekwentnie realizowana już od końca 1939 roku i polegała na likwidacji elity narodu polskiego, zwłaszcza polityków, duchowieństwa, inteligencji i arystokracji.

Fizycznie unicestwić wrogów

Zbrodnicza działalność armii niemieckiej wobec Polski w celu „zniszczenia jej siły witalnej” była nakazem samego Hitlera, który 22 sierpnia 1939 roku w mowie do dowódców Wehrmachtu, spisanej przez szefa Sztabu Generalnego gen. Franza Haldera w *Dzienniku wojennym*, przekonywał m.in.: „Celem wojny nie jest osiągnięcie jakiejś linii geograficznej, ale fizyczne unicestwienie wrogów”. Jednocześnie swoim wojskom dawał rozkaz „nieugiętego i bezlitosnego zabijania wszystkich mężczyzn, kobiet i dzieci polskiej rasy i języka, bo tylko tą drogą zdobyć możemy potrzebną nam przestrzeń życiową”. Z kolei gen. Walther von Brauchitsch, naczelny dowódca niemieckich wojsk lądowych, w dokumencie *Wskazówki dotyczące zachowania się niemieckich żołnierzy na zajętych polskich terenach* instruował swoje wojska: „Każda obraza i każdy atak na niemiecki Wehrmacht i osoby narodowości niemieckiej będzie ścigany w najsurowszy sposób”.

W czasie wojskowego zwierzchnictwa Wehrmachtu, trwającego do 25 października 1939 roku, zostało spalonych 531 polskich miast i wiosek. Terror niemiecki był szczególnie silny na Śląsku i Pomorzu. Wszędzie tam, gdzie wkraczały oddziały niemieckie, rozpoczynały się zaraz grupowe mordy, w których nie szczędzono nawet dzieci, kobiet i starców, masowe akcje aresztowań działaczy społecznych i politycznych, deportacje mieszkańców miast i wsi, rabunek dzieł sztuki, majątku państwowego i mienia prywatnego. Natomiast różne Einsatzgruppen (grupy operacyjne policji bezpieczeństwa i służby bezpieczeństwa) przeprowadziły w sumie 714 egzekucji, które pochłonęły życie 16 376 ludzi. Około 60 proc. tych okrucieństw dopuścił się Wehrmacht, za pozostałe bezpośrednia odpowiedzialność spada na policję. Większość tych zbrodni została popełniona w pierwszym miesiącu wojny, było to 84 proc. egzekucji i 75 proc. ogólnej liczby ofiar z czasu zarządu wojskowego.

Niemiecka przemoc rozpoczęła się już w pierwszym dniu wojny. Wbrew odezwie dowództwa Wehrmachtu, która głosiła, że ludność cywilna nie jest celem ataku, już w początkowych godzinach agresji lotnictwo III Rzeszy dokonało ponad siedemdziesięciu terrorystycznych nalotów na polskie miasta. Pierwszą ofiarą aktów barbarzyństwa Luftwaffe było miasteczko Wieluń (ponad 15 tys. mieszkańców),

Teoria a praktyka

Dziesięć przykazań prowadzenia wojny przez niemieckiego żołnierza (1939)

1. W walce o zwycięstwo żołnierz niemiecki będzie przestrzegać zasad rycerskiego prowadzenia wojny. Okrucieństwa i bezmyślne niszczenie są poniżej jego godności. [...]
3. Nigdy nie zabije nieprzyjaciela, który się poddał, ani nawet partyzantów i szpiegów – ci karani będą we właściwy sposób przez sądy.
4. Nie będzie maltretować ani zniewalać jeńców wojennych. Odbierze im broń, mapy, dokumenty, ale nie tknie rzeczy osobistych. [...]
6. Instytucje Czerwonego Krzyża są nienaruszalne. Z rannym nieprzyjacielem obchodzić się będzie po ludzku. Nie będzie przeszkadzać sanitariuszom i kapelanom w niesieniu pomocy lekarskiej i duszpasterskiej.
7. Ludność cywilna jest nietykalna. Żaden żołnierz nie będzie grabić ani złośliwie niszczyć. Szanować będzie zwłaszcza pomniki historyczne, gmachy służące celom religijnym, sztuce, nauce albo dobroczynności. Od ludności żądać będzie świadczeń w naturze albo w usługach tylko na rozkaz przełożonego i tylko za opłatą. [...]
10. Wykroczenia przeciwko wymienionym obowiązkom będą karane. O wykroczeniach nieprzyjaciela przeciwko wyżej podanym zasadom 1–8 należy składać raport. Stosowanie odwetu dopuszczalne jest tylko na rozkaz wyższych dowódców.



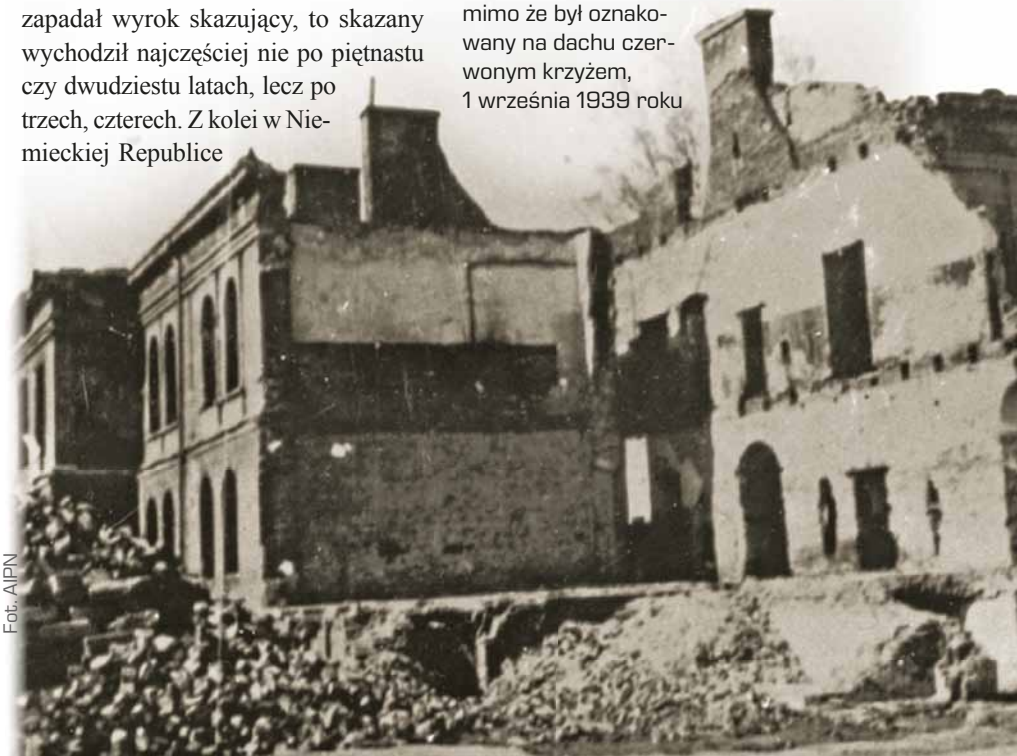
Fot. AIPN

Taki „dekalog" miał w książeczce żołdu każdy niemiecki żołnierz, ale wielu z nich chyba nawet do niego nie zajrzało

które zostało zbombardowane przez eskadrę 77. pułku bombowców nurkujących. Trzy czwarte zabudowy Wielunia legło w gruzach. Nalot miał charakter treningowy – Niemcy z rozmysłem wybrali miejscowość, w której właściwie nie było oddziałów Wojska Polskiego. Spośród polskich miast głównym celem nalotów terrorystycznych była Warszawa. W wyniku bombardowań i pożarów trwale zniszczono ok. 10–20 proc. zabudowy stolicy. Kurier polskiego podziemia Jan Nowak-Jeziorański wiele lat później opisał wygląd Warszawy po tamtych tragicznych dniach września 1939 roku: „Miasto przypomniało rozwalone mrowisko. Ulice pełne były gruzu, pośród którego prowadziły ścieżki wydeptane przez spieszących w różne strony ludzi. Wszyscy pochłonięci byli swoimi sprawami i każdy coś dźwigał: plecak, koszyk z żywnością, walizkę". Bombardowanie Warszawy było zbrodnią wojenną i działaniem niezgodnym z konwencją haską (szczególnie z artykułami 25–27 konwencji z 1907 roku). 28 września dowództwo obrony stolicy podpisało akt kapitulacji. Dzieło, którego nie dokonały samoloty Luftwaffe, kończyły oddziały lądowe Wehrmachtu, paląc i niszcząc polskie miejscowości na trasie przemarszu.

O ile można mnożyć podobne przykłady okrucieństw, o tyle trudno jest znaleźć wyroki niemieckich sądów wojskowych za zbrodnie popełnione na terenie Polski. A jeśli już są, to ich sprawców traktują niezwykle pobłażliwie. Procesy dowódców i żołnierzy niemieckich w trakcie wojny odbywały się wyłącznie, jeśli „ekscesy" oddziałów miały niekorzystne skutki dla realizacji założeń wojennych. 4 października 1939 roku Hitler ogłosił zresztą amnestię dla wszystkich żołnierzy winnych zabójstw osób cywilnych w Polsce. Nawet w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych XX wieku zdecydowaną większość postępowań sądowych przeciwko zbrodniarzom nazistowskim w Republice Federalnej Niemiec umarzano. Nawet jeżeli zapadał wyrok skazujący, to skazany wychodził najczęściej nie po piętnastu czy dwudziestu latach, lecz po trzech, czterech. Z kolei w Niemieckiej Republice Demokratycznej niemal w ogóle nie podejmowano takich rozliczeń.

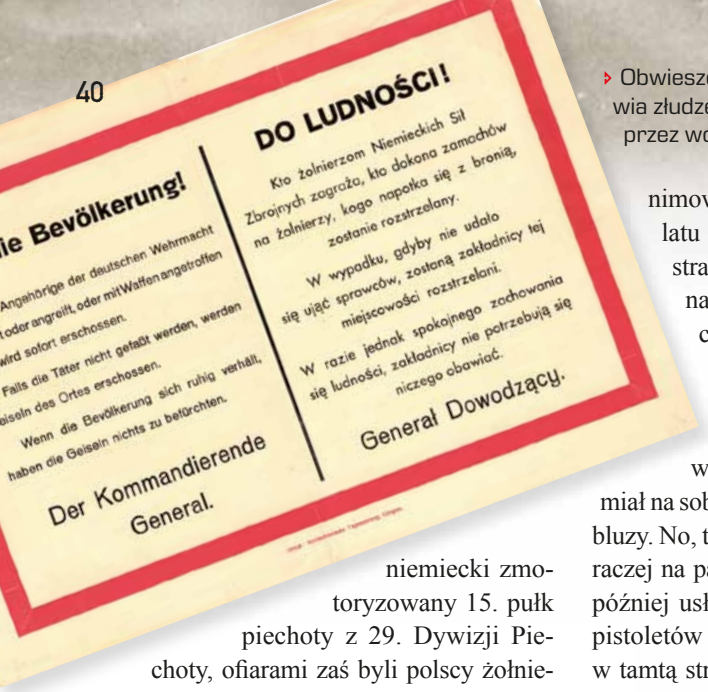
Prawdopodobnie rozkazy w sprawie zbrodni w Polsce wydawano żołnierzom Wehrmachtu ustnie. Nigdzie nie znajdziemy pisemnego rozkazu mordowania polskich żołnierzy rannych na placu boju, nie znajdziemy również dyrektywy rozstrzelania pod Ciepielowem (9 września 1939 roku) trzystu Polaków. Najprawdopodobniej była to zemsta za opór stawiany przez nich przed dostaniem się do niewoli. Zbrodni tej dokonał



Fot. AIPN

Niemieccy piloci nie oszczędzili nawet szpitala Wszystkich Świętych w Wieluniu, mimo że był oznakowany na dachu czerwonym krzyżem, 1 września 1939 roku

Obwieszczenie dowódcy Wehrmachtu nie pozostawia złudzeń odnośnie do przestrzegania reguł wojny przez wojsko niemieckie



ie Bevölkerung!

Angehörige der deutschen Wehrmacht
oder angreift, oder mit Waffen angetroffen
wird sofort erschossen.
Falls die Täter nicht gefaßt werden, werden
Geiseln des Ortes erschossen.
Wenn die Bevölkerung sich ruhig verhält,
haben die Geiseln nichts zu befürchten.

Der Kommandierende
General.

DO LUDNOŚCI!

Kto żołnierzom Niemieckich Sił
Zbrojnych zagraża, kto dokona zamachów
na żołnierzy, kogo napotka się z bronią,
zostanie rozstrzelany.
W wypadku, gdyby nie udało
się ująć sprawców, zostaną zakładnicy tej
miejscowości rozstrzelani.
W razie jednak spokojnego zachowania
się ludności, zakładnicy nie potrzebują się
niczego obawiać.

Generał Dowodzący.

niemiecki zmotoryzowany 15. pułk piechoty z 29. Dywizji Piechoty, ofiarami zaś byli polscy żołnierze z 74. pułku piechoty. Egzekucję poprzedziły zaciekłe walki w lesie, podczas których został zastrzelony niemiecki kapitan. Zgodnie z relacją żołnierza Wehrmachtu, świadka zbrodni, który w sierpniu 1950 roku wysłał anonimowy list do polskiego konsulatu w Monachium: „Kompania straciła 14 ludzi, w tym kapitana von Lewinskiego. Dowódca pułku pułkownik Wessel […] stwierdził, że mamy do czynienia z partyzantami, mimo że każdy z 300 wziętych do niewoli Polaków miał na sobie mundur. Kazano im zdjąć bluzy. No, teraz rzeczywiście wyglądali raczej na partyzantów. […] Pięć minut później usłyszałem serię z kilkunastu pistoletów maszynowych. Pobiegłem w tamtą stronę i zobaczyłem […] 300 zastrzelonych polskich jeńców leżących w przydrożnym rowie”.

„Fanatyczna ludność”

Duża część rozstrzeliwań polskich cywilów przez żołnierzy Wehrmachtu była spowodowana tym, że wkraczające oddziały podejrzewały ludność cywilną z miejscowości położonych na trasie przemarszu o udział w działaniach wojennych. Niemcy bali się rzekomych polskich partyzantów. Generał jednej z niemieckich dywizji zapisał w notatce służbowej, że ludność polska jest „usposobiona fanatycznie, podburzona przeciwko Niemcom”. Oficer wywiadowczy innego oddziału w tym samym duchu rekomendował żołnierzom: „Ludność należy traktować surowo […]. W razie konieczności należy interweniować z bezwzględnością”. Dowództwo 8. Armii w *Nadzwyczajnych przepisach XX Korpusu Armii na temat zabezpieczenia* z 5 września 1939 roku wydało rozkaz: „Ludność poszczególnych miejscowości powinna być poinformowana, że za każdego rannego lub zabitego podczas jakiejkolwiek napaści niemieckiego żołnierza oraz za każdy akt sabotażu będzie rozstrzelanych trzech jej mieszkańców”.

W trakcie zajmowania polskich wsi i miast często dochodziło do przypadkowej wymiany ognia między oddziałami Wehrmachtu. Za powstałe przy tym straty byli obwiniani polscy mieszkańcy tych miejscowości. Do takiego zdarzenia doszło w Częstochowie. Rankiem 3 września do miasta wkroczyły jednostki 42. pułku niemieckiej piechoty. 4 września po południu niespodziewanie padły strzały, ośmiu Niemców zginęło, a czternastu zostało rannych. Żołnierze natychmiast przeszukali polskie domy, lecz nie znaleźli tam żadnej broni ani dowodu, że ktoś z mieszkańców do nich strzelał. Mimo to zgromadzili na

Sulejów zniszczony bombardowaniem, wrzesień 1939 roku

Fot. AIPN

placu przed katedrą setki mieszkańców. Zabili co najmniej dwustu z nich, w tym wielu Żydów. W marcu 1985 roku świadek Fritz S. zeznał w tej sprawie do protokołu: „Wydano rozkaz, by wszyscy cywile położyli się na ulicy z twarzą do ziemi. Poza tym mieliśmy rozkaz, by strzelać do wszystkiego, co się poruszy. Ten rozkaz przekazano nam ustnie". Dopiero później okazało się, że wspomniana strzelanina była dziełem samych Niemców. Nerwowi żołnierze strzelali do własnych rodaków.

Z kolei Helena Szpilman, zeznając po wojnie przed Żydowską Komisją Historyczną, relacjonowała: „Już 4 września 1939 roku Niemcy w [mundurach] Wehrmachtu chodzili po podwórkach i wołali: *Alles heraus*. Chodzili również po mieszkaniach; grozili zastrzeleniem osobom, które nie wyjdą. Wszyscy musieliśmy iść pod ich konwojem z rękoma podniesionymi do góry. […] Zaprowadzili nas na plac Magnacki. Było tam zebranych kilka tysięcy osób, mężczyzn, kobiet i dzieci. Cały plac otoczony wojskiem niemieckim. Niemcy trzymali karabiny w ręku gotowe do strzału. […] Następnie szczegółowo zrewidowali mężczyzn Żydów i Polaków. Gdy znaleźli u kogoś żyletkę, brzytwę lub nożyk kieszonkowy, odprowadzili do pobliskiego rowu przeciwlotniczego i natychmiast zastrzelili".

W trakcie kampanii 1939 roku armia niemiecka nie przyznała statusu kombatantów cywilnym obrońcom żadnej polskiej miejscowości. Przykładem może być tu postępowanie Niemców w stosunku do umundurowanych obrońców Poczty Polskiej w Gdańsku, którzy stawiali zacięty opór zmilitaryzowanym jednostkom gdańskich SA i SS, wspartym przez Wehrmacht. Ocalałych urzędników poczty sąd wojenny uznał za powstańców i skazał na śmierć. Aleksy Rosiński, wówczas więzień obozu dla aresztowanych Polaków w Gdańsku-Nowym Porcie, przymusowo oddelegowany do pogrzebania zwłok pocztowców, w zeznaniach złożonych przed sędzią śledczym Sądu Okręgowego w Gdańsku 21 sierpnia 1947 roku tak opisywał moment ich egzekucji: „Nastąpiło wyliczenie imion i nazwisk ofiar, których nie pamiętam. […] Następnie SS-mani zawiązali skazanym oczy opaskami, czwórki rozwiązali na dwójki, które po dwóch odprowadzali na kulochwyt. Gdy już wszystkich odprowadzono za kulochwyt, dał się słyszeć odgłos salwy karabinowej, a następnie odgłosy kilku pojedynczych wystrzałów. Gdy te ustały, oddział wojskowy odmaszerował […], ujrzałem ofiary leżące w jednym rzędzie przy kulochwycie […]".



Fot. AIPN

Niemcy prowadzą wziętych do niewoli obrońców Poczty Polskiej w Gdańsku; wbrew prawu Wolnego Miasta i konwencjom międzynarodowym zostali oni przez niemiecki sąd wojenny uznani za partyzantów i rozstrzelani; 1 września 1939 roku

Do łamania przez Wehrmacht prawa międzynarodowego w zakresie traktowania ludności cywilnej doszło także w pierwszych dniach września we wsi Torzeniec nad Prosną. W nocy z 1 na 2 września 1939 roku 41. pp. Wehrmachtu, wchodzący w skład 8. Armii, kwaterował w tej miejscowości. W nocy we wsi wybuchła strzelanina, której sprawców nie ustalono. W rezultacie zginęło trzech niemieckich żołnierzy, a czterech zostało rannych. Na podstawie wyroku sądu wojennego skazano na śmierć i rozstrzelano kilkunastu Polaków (polscy świadkowie mówią o osiemnastu, niemieccy o siedemnastu zabitych). Ponieważ w toku procesu nie udało się ustalić, którzy Polacy brali w strzelaninie bezpośredni udział, wzięto pod uwagę jedynie zeznania niewymienionych z nazwiska żołnierzy stacjonujących w Torzeńcu, którzy oskarżyli o współudział wszystkich bez wyjątku mieszkańców wsi. Dlatego też wyrok w tej sprawie z 2 września 1939 roku stanowił: „Komisaryczny sąd wojenny uznaje więc wszystkich zamieszkałych tam mężczyzn za winnych tego, że w tchórzliwy i podstępny sposób zastrzelili niemieckich żołnierzy, i skazał wszystkich oskarżonych na śmierć". Dowódca tego pułku, płk. Friedrich Gollwitzer, który



Fot. AIPN

Zastrzeleni Polacy leżący na ulicach Częstochowy, wrzesień 1939 roku

wydał rozkaz zabicia Polaków, nie poniósł żadnych konsekwencji prawnych po wojnie. Sąd Okręgowy w Ambergu (w RFN) trzydzieści lat później umorzył postępowanie wobec niego. Sąd ten w dużej mierze powtórzył argumentację oddziałów Wehrmachtu z 1939 roku, które usprawiedliwiały podejmowane przez siebie akty odwetowe działalnością polskich partyzantów, stwierdzając: „Nie ma potrzeby przeprowadzenia kolejnych dochodzeń, zwłaszcza na miejscu przestępstwa, gdyż nie wniosłyby one do sprawy nic nowego". Do podobnych egzekucji i mordów na cywilach jak w Torzeńcu dochodziło też w wielu innych wsiach: Bukownicy, Grabowie, Płudwinach czy Wyszanowie.

Również jeńcy wojenni padali ofiarą bandyckiej działalności „rycerskiego" Wehrmachtu. Poza wspomnianą już zbrodnią w Ciepielowie, do jednej z większych tego typu masakr doszło 11 września w Zambrowie. Na placu tamtejszych koszar zgromadzono blisko 4 tys. wziętych do niewoli żołnierzy 18. Dywizji Piechoty. W nocy z niewyjaśnionych przyczyn na plac ze śpiącymi żołnierzami wpadł tabun koni taborowych, ulokowanych obok obozu. Wskutek powstałej paniki Niemcy otworzyli ogień z karabinów maszynowych do Polaków usiłujących uniknąć stratowania. Masakra trwała 10 minut i zakończyła się dopiero w momencie, gdy ranni zostali żołnierze Wehrmachtu. Rankiem następnego dnia okazało się, że około stu polskich jeńców zostało rannych, a dwustu zginęło. Oficjalny komunikat Wehrmachtu mówił zaś tylko o około stu zabitych podczas rzekomej próby ucieczki. Kolejna masakra nastąpiła już nazajutrz w punkcie zbiórki dla rannych jeńców, urządzonym w szkole we wsi Szczucin koło Dąbrowy Tarnowskiej, gdzie zginęło około czterdziestu polskich żołnierzy i trzydziestu cywilnych uciekinierów. Niemcy zastrzelili wówczas też 25 Żydów sprowadzonych do pogrzebania zwłok pomordowanych.

„Zabawy z brodą"

W toku kampanii militarnej w Polsce można również zauważyć fale inicjowanych przez żołnierzy niemieckich ekscesów skierowanych przeciwko polskim Żydom. Niemal nagminnie plądrowano ich domy, a w wielu miejscowościach Niemcy prześcigali się w pomysłach na gnębienie swoich ofiar. Ulubioną „rozrywką" oprawców były „zabawy z brodą" – brody i pejsy strzyżono, wyrywano, podpalano oraz odcinano z fragmentami skóry. W oddziałach niemieckich panowało bowiem przekonanie, że przestępstwa na Żydach nie będą podlegać ściganiu przez sądy wojenne. Jeszcze podczas wojny określono takie spontaniczne wybuchy przemocy wobec Żydów jako „pogromy błyskawiczne" (*Blitzpogrome*), które stanowiły wstęp do niszczenia tej ludności na wielką skalę. O tym, jak niewiele znaczyło życie Żydów w tamtym okresie, świadczą chociażby wydarzenia z 12 września 1939 roku, kiedy żołnierze Wehrmachtu zastrzelili w Końskich 22 Żydów, których najpierw zmuszono do wykopania grobów dla czterech poległych Niemców. Żołnierzy, którzy maltretowali Żydów i strzelali do nich, nie pociągnięto do żadnej odpowiedzialności.

Stosunki między Wehrmachtem a działającymi na tym terenie grupami aparatu policyjnego na ogół układały się harmonijnie. Niemniej niektórzy dowódcy czasem reagowali na sposób postępowania tych formacji terroru. Świadczy o tym chociażby protest Johannesa Blaskowitza (zwierzchnika niemieckich wojsk okupacyjnych w Polsce), wystosowany 6 lutego 1940 roku do głównodowodzącego wojsk lądowych gen. Walthera von Brauchitscha w związku z bestialstwem oddziałów SS, Einsatzgruppen i postępującą brutalizacją armii. Pisał m.in.: „Największym jednak zagrożeniem dla Niemców, wynikłym na skutek obecnych warunków, jest ogromna brutalizacja i zdeprawowanie moralne, szerzące się wśród jakże cennych niemieckich żołnierzy niczym epidemia".

Po 26 października 1939 roku terror niemiecki przybrał jeszcze większe rozmiary, ogarniając również obszar Generalnego Gubernatorstwa. Z biegiem czasu narodowosocjalistyczna polityka okupacyjna na podbitych ziemiach polskich weszła na tory bezwzględnej germanizacji i ludobójstwa narodu polskiego. W latach 1939–1945 zginęło bowiem ok. 17 proc. ogólnej liczby mieszkańców II RP – największy odsetek spośród okupowanych krajów Europy. W przybliżeniu połowę ofiar stanowili rodowici Polacy, pozostałe 50 proc. – polscy Żydzi.



Żołnierze Wehrmachtu stoją nad przydrożnym rowem, do którego wrzucili ciała zamordowanych przed chwilą polskich jeńców wojennych; okolice Ciepielowa, 8 września 1939 roku

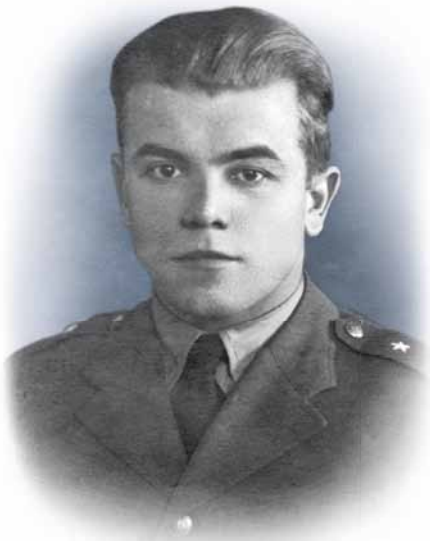
Fot. AIPN

dr Wojciech Wichert – historyk, współpracownik Centrum Dialogu „Przełomy" – oddziału Muzeum Narodowego w Szczecinie; znawca dziejów III Rzeszy

Januszewicz kontra Luftwaffe

Marek Rogusz

Zacięte walki lotników Brygady Pościgowej nad Warszawą i Mazowszem we wrześniu 1939 roku są jedną z najpiękniejszych kart polskiego lotnictwa. Mimo braków sprzętowych i nieprzemyślanych decyzji dowództwa polscy lotnicy walczyli z odwagą i wykazali się znakomitymi umiejętnościami. Dokonania por. pil. Wojciecha Januszewicza mogą stanowić ich wizytówkę.



Fot. ze zbiorów A. Andrzejewicz

Podporucznik Wojciech Januszewicz pod koniec 1936 roku już jako pilot myśliwski, sfotografowany w stalowo-szarym mundurze lotniczym nowego wzoru

Na temat udziału polskiego lotnictwa w kampanii wrześniowej jest wiele obiegowych opinii, które nie do końca są prawdziwe. Nie ulega wątpliwości, że polskie lotnictwo ustępowało niemieckiej Luftwaffe pod względem technicznym i ilościowym, ale polskie konstrukcje nie były wcale tak przestarzałe, jak to się przedstawia. Co więcej, wbrew propagandzie niemieckiej i sowieckiej, polskie samoloty nie zostały zniszczone na ziemi pierwszego dnia wojny.

Droga do lotnictwa

Wojciech Januszewicz urodził się 30 kwietnia 1911 roku w Krzywcu w powiecie Słonim (wtedy ziemie zaboru rosyjskiego, w II RP województwo nowogródzkie, obecnie Białoruś), w polskiej, zubożałej rodzinie szlacheckiej jako najstarsze z pięciorga dzieci. Po ukończeniu Państwowego Seminarium Nauczycielskiego Męskiego przez rok uczył w szkole powszechnej. Rozczarowany tą pracą, postanowił zostać zawodowym żołnierzem. W 1931 roku wstąpił do Szkoły Podchorążych Piechoty w Ostrowi Mazowieckiej.

W latach dwudziestych i trzydziestych XX wieku polskie lotnictwo cywilne i wojskowe przeżywało rozkwit. Polscy inżynierowie tworzyli projekty konstrukcji lotniczych, które następnie produkowano w rodzimych zakładach. Piloci sportowi i wojskowi, konstruktorzy lotniczy stawali się bohaterami narodowymi. Ich nazwiska pojawiały się często w nagłówkach gazet. Gdy w sierpniu 1932 roku por. pil. Franciszek Żwirko i inż. Stanisław Wigura na polskim samolocie RWD-6 wygrali zawody lotnicze Challenge w Berlinie, w Polsce wybuchło prawdziwe szaleństwo na punkcie lotnictwa.

Wojciech Januszewicz skorzystał z okazji i podczas nauki w Szkole Podchorążych Piechoty zgłosił się do służby w lotnictwie. We wrześniu 1933 roku ukończył kurs szybowcowy w Wojskowym Ośrodku Szybowcowym w Ustianowej. W 1934 roku otrzymał promocję na podporucznika, a następnie skierowano go na kurs ➤



Fot. ze zbiorów M. Rogusza

Piloci III/1 Dywizjonu Myśliwskiego sfotografowani w październiku 1938 roku na lotnisku Aleksandrowice podczas operacji na Zaolziu; w tle po lewej P.11c ze 111 eskadry oraz po prawej P.11c ze 112 eskadry; w pierwszym rzędzie od prawej drugi por. pil. Wojciech Januszewicz, czwarty – dowódca 112 EM kpt. pil. Tadeusz Opulski, siódmy – dowódca 111 EM kpt. pil. Gustaw Sidorowicz

pilotażu w Centrum Wyszkolenia Oficerów Lotnictwa w Dęblinie. Ponieważ dęblińską Szkołę Orląt ukończył (w lipcu 1935 roku) z bardzo dobrymi wynikami, mógł wybrać jednostkę, w której chciał służyć. Zdecydował się na elitarny 1. Pułk Lotniczy w Warszawie, gdzie najpierw trafił do 13. Eskadry Towarzyszącej, a potem do 12. Eskadry Liniowej. Wojciech Januszewicz chciał wejść do grona najlepszych – zostać pilotem myśliwca. Od kwietnia do lipca 1936 roku odbył w Grudziądzu Kurs Wyższego Pilotażu i po powrocie do Warszawy dostał upragniony przydział do 111. Eskadry Myśliwskiej.

W ciągu pięciu lat wytrwałej i ciężkiej pracy zrealizował swoje marzenia – i to w jaki sposób! Od strzelca z cenzusem do oficera w najbardziej prestiżowej jednostce w polskim lotnictwie! 111. Eskadra Myśliwska była spadkobierczynią 7. Eskadry Bojowej im. Tadeusza Kościuszki, w której walczyli piloci polscy i amerykańscy podczas wojen o utrwalenie granic II RP w latach 1919–1921.

Rok 1936 był okresem zmian nie tylko dla Januszewicza, lecz także dla polskiego lotnictwa wojskowego. W tym czasie eskadry myśliwskie zaczęły otrzymywać najnowocześniejsze wówczas na świecie samoloty myśliwskie produkowane seryjnie – PZL P.11a. (polskie, całkowicie metalowe samoloty o rewelacyjnych osiągach) wywodzące się od konstrukcji zaprojektowanej przez wybitnego inżyniera, Zygmunta Puławskiego.

Podporucznik Januszewicz dał się poznać jako sumienny oficer dążący do osiągnięcia mistrzostwa w lotniczym fachu, co zostało docenione przez jego przełożonych: 27 października 1937 roku został p.o. zastępcą dowódcy eskadry, 19 marca 1938 roku promowano go na porucznika, a od 1 listopada był formalnie zastępcą dowódcy eskadry, kpt. Gustawa Sidorowicza (co ciekawe, również pochodzącego z okolic Słonimia).

Obrona Warszawy

Rok 1938 był pełen niepokojów w Europie, wokół granic Polski narastały napięcia. W marcu 1938 roku 111. Eskadra Myśliwska brała udział w zabezpieczeniu polskich interesów w Wilnie w czasie kryzysu, który wybuchł na granicy z Litwą. Z kolei w październiku tegoż roku Wojciech Januszewicz został wysłany wraz ze swoją eskadrą i innymi jednostkami myśliwskimi i bombowymi na Podbeskidzie, jako wsparcie lotnicze w konflikcie o Zaolzie między Polską a Czechosłowacją.

Agresja niemiecka na Czechosłowację w marcu 1939 roku i żądania Hitlera wobec Polski spowodowały, że wybuch wojny stał się realny. Na przełomie kwietnia i maja 1939 roku powstała Brygada Pościgowa złożona z eskadr: 111., 112., 113. i 114. Siły te uzupełniono później o 123. Eskadrę Myśliwską z krakowskiego 2. Pułku Lotniczego. Na dowódcę brygady powołano błyskotliwego pilota myśliwskiego – płk. Stefana Pawlikowskiego, jego zastępcą został płk Leopold Pamuła („znakomity pilot i oryginał", jak o nim mówiono), a szefem sztabu brygady – mjr Eugeniusz Wyrwicki, jeden z najzdolniejszych dowódców myśliwskich.



Fot. z archiwum Z. Kosińskiej

Kapitan pilot Gustaw Sidorowicz, dowódca 111. EM; podczas okupacji walczył w AK, kilkakrotnie uciekł z rąk Niemców; uczestniczył w akcji „Most"; aresztowany przez NKWD, cudem przeżył stalinowskie łagry w Turkmenistanie i na Uralu

Brygada miała za zadanie bronić aglomeracji warszawskiej – było oczywiste, że stolica stanie się celem pierwszych ataków nieprzyjaciela. Na niemieckie naloty było narażone Okęcie, główne lotnisko miasta, dlatego eskadry brygady rozmieszczono na lotniskach polowych pod Warszawą: w Zielonce i Poniatowie. Na lotniska zapasowe wyznaczono Obory, Łajsk, Radzików i Zaborów.

Porucznik Januszewicz brał udział w szkoleniach pilotów i przygotowaniach nowo powołanej jednostki. Podpułkownik Jan Zumbach (as myśliwski II wojny światowej) wspominał: „Adiutant mojego kapitana, porucznik Januszewicz, był znany z przebiegłości, jaką objawiał w walkach powietrznych. Typowym, wykonywanym z nim zadaniem, był lot we dwójkę z takim programem, że na określonej wysokości samoloty się rozdzielały, aby następnie, z prędkością czterystu



Piloci oraz personel techniczny ze 112. i 111. Eskadry Myśliwskiej; w rzędzie stoją PZL P.11a i P.11c, w tle dwusilnikowe bombowe PZL.37 Łoś – najnowocześniejsze samoloty polskiego lotnictwa wojskowego w 1939 roku

kilometrów na godzinę, lecieć ku sobie przeciwnymi kursami. Ten, kto ze strachu przed zderzeniem z samolotem Januszewicza odskakiwał zbyt wcześnie w bok, był niewart nic. Ja ten odskok robiłem w ostatniej dziesiątej części sekundy, kiedy niemal zaglądałem już w oczy porucznika. – Wciąż za wcześnie! – brzmiał suchy komentarz Pamuły".

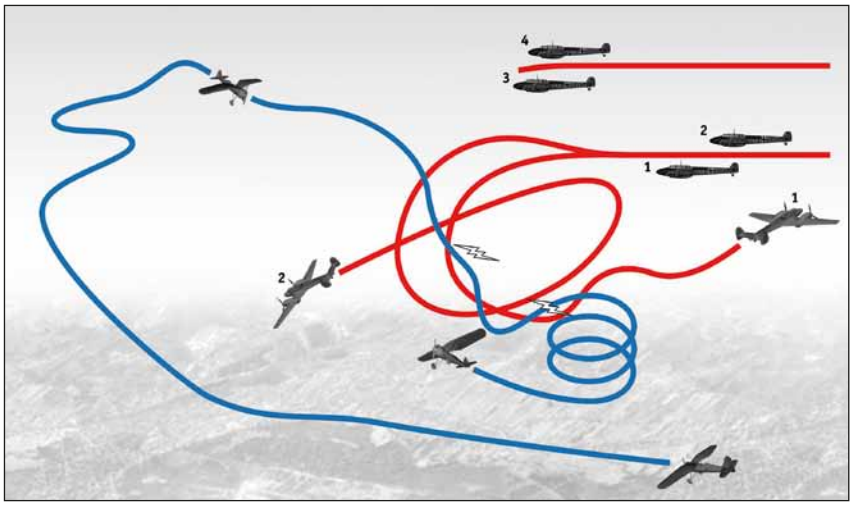
29 sierpnia 1939 roku por. Januszewicz poprowadził samoloty macierzystej eskadry na zamaskowane lotnisko w Zielonce pod Warszawą, zaraz za nimi wylądowała 112. eskadra, natomiast 113. i 114. znalazły się na lotnisku polowym w Poniatowie.

1 września 1939 roku ok. 6.35 sztab brygady otrzymał meldunek z posterunku obserwacyjno-meldunkowego w Mławie o dużej liczbie samolotów nieprzyjaciela kierujących się ku Warszawie. Piloci zajęli miejsca w kabinach. Ciszę poranka rozdarł dudniący łoskot rozgrzewanych silników, wreszcie około 7.00 nastąpił start do pierwszego lotu bojowego Brygady Pościgowej.

Pierwszym pilotem, który otworzył ogień do nieprzyjacielskiego samolotu nad Warszawą, był por. Januszewicz, który został wyznaczony na dowódcę klucza górnej osłony. Kapitan Sidorowicz wspominał: „W pewnym momencie mignął nade mną w chmurze nieznany kształt samolotu. Zaalarmowałem klucz [pod dowództwem Januszewicza – M.R.] lecący nade mną z rozkazem zestrzelenia go. W odpowiedzi usłyszałem krótkie »Tak jest!« Za moment w słuchawkach jazgot serii karabinów maszynowych […]. Meldunek: Po pierwszej serii schował się w chmurę, wyglądał na samolot rozpoznawczy". Parę minut później w rejonie połączenia rzek Bugu i Narwi rozegrała się pierwsza bitwa powietrzna II wojny światowej. Tego dnia Januszewicz startował jeszcze kilkakrotnie do walki. Po południu Warszawa przeżyła pierwszy wielki nalot bombowy przy silnej osłonie myśliwców, w którym wzięło udział około dwustu samolotów niemieckich. W walce powietrznej został zestrzelony dowódca 111. Eskadry, kpt. Sidorowicz, który z licznymi ranami i poparzeniami został odwieziony do szpitala. Jego obowiązki przejął por. Januszewicz.

3 września 1939 roku stał się pamiętnym dniem dla świeżo upieczonego dowódcy 111. Eskadry Myśliwskiej. Podczas pierwszej porannej walki nad Rembertowem, kiedy osiemnaście polskich PZL P.11 walczyło z osiemnastoma messerschmittami Bf 110, por. Januszewicz wystrzelał całą amunicję. Po lądowaniu i szybkim uzupełnieniu amunicji ponownie znalazł się w powietrzu, ale nie nawiązał kontaktu z nieprzyjacielem i musiał wrócić na lotnisko, aby uzupełnić paliwo. Gdy tylko wysiadł z kabiny samolotu, nad Zielonką pojawiły się cztery niemieckie myśliwce Messerschmitt Bf 110.

Porucznik Januszewicz wskoczył do jedynego przygotowanego samolotu i samotnie wystartował im naprzeciw. Rozpoczęła się jedna z najbardziej niezwykłych walk powietrznych II wojny światowej. Kiedy Januszewicz gorączkowo starał się nabrać wysokości, aby zwiększyć swoje szanse, został zaatakowany kolejno przez dwa messerschmitty. Udało mu się uniknąć ich pocisków, ale jego myśliwiec wpadł w korkociąg – świadkowie walki myśleli, że został zestrzelony. Z wielkim trudem, tuż nad ziemią, udało mu się wyprowadzić



Rys. Roman Postek

Schemat początkowej fazy samotnej walki por. Januszewicza z czterema messerchmittami Bf 110 w obronie lotniska w Zielonce



Fot. M. Rogusz

Polski samolot myśliwski PZL P.11c – jedyny zachowany egzemplarz, eksponowany w Muzeum Lotnictwa Polskiego w Krakowie; w połowie lat trzydziestych XX wieku uważany za jeden z najlepszych samolotów myśliwskich na świecie, we wrześniu 1939 roku był już przestarzały w porównaniu do niemieckich Messerschmittów Bf 109 oraz Bf 110

samolot i ponownie nabrać wysokości. Wtedy zaatakowały kolejne dwa messerschmitty – Januszewicz ponownie uniknął trafienia i sam zaczął ostrzeliwać nieprzyjacielskie samoloty. Jak wspomniał jeden ze świadków: „Rozpoczęło się istne piekło w powietrzu. […] Z zapartym tchem obserwowaliśmy z dachu niesamowity pojedynek polskiego myśliwca z kilkoma maszynami nieprzyjaciela. Spostrzegliśmy naraz, że korzystając z nadchodzącej ławicy cumulusów, samoloty niemieckie przerwały ogień i rezygnując z zestrzelenia natrętnego myśliwca, czmychnęły w chmury. Jednak – nie wszystkie, jeden pozostał. Tego, co nastąpiło, nie zapomnę nigdy. Była to zacięta, na śmierć i życie, walka powietrzna. Trzask krótkich serii cekaemów i działek, stojące na najwyższym poziomie figury bojowej akrobacji polskiego myśliwca, dysponującego mniejszą przecież prędkością niż niemiecki myśliwiec, wspaniały kunszt pilotażu Polaka – były szokującym, ale wspaniałym widowiskiem […]. Nawet nie spostrzegliśmy dokładnie, kiedy Pezetel znalazł się blisko z tyłu, za ogonem samolotu z czarnymi krzyżami. Już go nie popuścił. Błyskawicznie, seria za serią, ładował pociski w kadłub i silniki Niemca. Z prawego silnika bombowca buchnął czarny dym. Samolot wypadł nagle z walki, przestał strzelać. Ciągnąc za sobą długą smugę, chwiejnie poleciał, na niedużej wysokości, nad lasami w kierunku Strugi. Po paru kilometrach runął na ziemię".

Zmagania zakończyły się zwycięstwem polskiego pilota, który samotnie wystartował niezbyt nowym samolotem PZL P.11c i zaatakował cztery nowoczesne messerschmitty Bf 110. Jednego z nich strącił. Nierównowaga sił była ogromna: prędkość maksymalna polskiej „jedenastki" wynosiła 375 km/h, a messerschmittów – 525 km/h. Samolot por. Januszewicza, uzbrojony w dwa karabiny maszynowe (właściwie jeden, ponieważ drugi zaciął się w trakcie walki), miał przeciwko sobie łącznie dwadzieścia kaemów i osiem działek! Nie ma w historii zmagań lotniczych sytuacji, w której pojedynczy samolot, znajdujący się w najgorszej do ataku pozycji – czyli startując – zaatakował kilka znacznie lepszych technicznie maszyn wroga i odniósł niekwestionowany sukces.

Walka powietrzna, która odbyła się na oczach żołnierzy Brygady Pościgowej, wzbudziła wielki entuzjazm. Wojciecha Januszewicza po pewnym czasie zawieziono do sztabu Brygady Pościgowej w pobliskim Centrum Badań Balistycznych. Czekały tam na niego dwa pistolety Parabellum wyciągnięte z wraku zestrzelonego przez niego Bf 110, które wręczono mu jako trofeum wojenne. „Wojtek", jak go nazywali koledzy piloci, był zmieszany i zaskoczony entuzjastyczną reakcją oficerów sztabu brygady na jego walkę.

Walka Januszewicza pozostała w pamięci mieszkańców podwarszawskich Zielonki, Kobyłki i Marek jeszcze wiele lat po wojnie. „Potem była niewola – wspominali – ale to zwycięstwo dodawało ducha przetrwania w długą czarną noc niemieckiej okupacji".

Ponieważ pozostawanie na tych samych lotniskach polowych groziło ich wykryciem, następnego dnia zdecydowano się na przebazowanie na lotniska po zachodniej stronie stolicy, do Zaborowa i Radzikowa. Po przybyciu do Zaborowa por. Januszewicz kolejny raz potwierdził swoją klasę znakomitego pilota myśliwskiego. Odniósł drugie zwycięstwo, tym razem nad bombowcem nurkującym Junkers Ju 87 „Stuka". Odbyło się to w dość nietypowy sposób – „sztukas" został wzięty z powietrza do niewoli. W wyniku nieustępliwych ataków Januszewicza wykonywanych z najbliższej odległości, poległ nawigator (będący jednocześnie strzelcem pokładowym) niemieckiego samolotu. Polski pilot, lecąc tuż nad kabiną junkersa, a następnie precyzyjnie ostrzeliwując silnik, zmusił Niemca do lądowania na terenie zajętym przez polskie wojska. Następnego „sztukasa" Januszewicz „rozstrzelał" w powietrzu 6 września 1939 roku. Tego dnia brygada kolejny raz uczestniczyła w ciężkich walkach powietrznych, zestrzeliwując samoloty nieprzyjaciela, ale i ponosząc duże straty. Januszewicz został trafiony i musiał lądować nieda-



„Starzy weterani" przed samolotem Hurricane z 303 Dywizjonu Myśliwskiego na początku września 1940 roku, od lewej sierż. S. Karubin, por. W. Januszewicz (ubrany we francuski mundur!), ppor. M. Ferić, kpt. W. Żyborski, sierż. E. Szaposznikow

Fot. ze zbiorów R. Gretzyngiera

leko Zaborowa. W jego maszynie naliczono kilkadziesiąt dziur od pocisków, ale on sam nie odniósł obrażeń. Wieczorem Brygada Pościgowa dostała rozkaz opuszczenia rejonu Warszawy i przebazowania na lotniska pod Lublinem. Lotnicy wykonali go następnego dnia rano z ciężkim sercem – zdawali sobie sprawę z tego, że stolica bez osłony z powietrza pozostanie zupełnie bezbronna.

Przez pozostałą część kampanii wrześniowej polscy myśliwcy latali głównie w ramach zadań rozpoznawczych i łącznikowych, chociaż zdarzały się sporadyczne walki powietrzne. Brygada Pościgowa otrzymywała chaotyczne, często sprzeczne rozkazy nakazujące przesunięcia na coraz to nowe lotniska, a brak sieci naprowadzania, paliwa i obsługi naziemnej – przedzierającej się przez zatłoczone, nieustannie bombardowane przez Luftwaffe drogi – uniemożliwił skuteczną działalność bojową.

Kiedy 17 września 1939 roku od wschodu uderzyła na Polskę Armia Czerwona, Brygada Pościgowa otrzymała rozkaz przekroczenia granicy z Rumunią i przerzutu tam ocalałych samolotów, aby kontynuować walkę na emigracji. Wojciech Januszewicz z Rumunii ewakuował się drogą morską przez Bałczik, Morze Czarne i Bejrut do Marsylii, dokąd przybył 29 października 1939 roku.

Na obczyźnie

Do Francji przedostało się łącznie ponad 9 tys. polskich lotników, co stanowiło realną siłę. Po okresie tzw. dziwnej wojny 10 maja 1940 roku Hitler zaatakował na froncie zachodnim, a w tydzień później por. Januszewicz został dowódcą klucza myśliwskiego, przydzielonego do francuskiego dywizjonu GC II/7. Francja zawiodła oczekiwania polskich lotników, którzy chcieli bić się od razu z Niemcami i pomścić wrześniową klęskę. Francuzi nie wierzyli jednak w ich umiejętności, ignorowali doświadczenia, które Polacy zdobyli podczas walk z Luftwaffe.

Dywizjon GC II/7, w którym walczyli por. Januszewicz i inni piloci polscy, 20 czerwca 1940 roku przeleciał do francuskich terytoriów w Afryce Północnej. Jak twierdził Januszewicz, przelot przez Morze Śródziemne dostarczył mu największych wrażeń z całej kampanii francuskiej, ponieważ wskutek awarii musiał opuścić szyk i w błyskawicznym tempie zużywał paliwo – osiągnął brzeg dosłownie na ostatniej kropli benzyny. Wojtek odbył w kampanii francuskiej kilkanaście lotów bojowych, staczając kilka walk powietrznych, nie uzyskując jednak potwierdzonych zestrzeleń.

Po klęsce Francji Januszewicz trafił do Tunezji, skąd przez Gibraltar dotarł do Wielkiej Brytanii – „wyspy ostatniej nadziei", jak wówczas mówiono. 2 sierpnia 1940 roku znalazł się w pierwszym składzie słynnego 303. Dywizjonu Myśliwskiego. Po doświadczeniach kampanii na kontynencie Anglicy nie mieli wątpliwości, że właśnie od lotników będzie zależało powodzenie obrony Wysp Brytyjskich. Polski Dywizjon 303 po krótkim przeszkoleniu z końcem sierpnia wszedł do walki w kluczowym okresie Bitwy o Anglię. Uzyskał największą liczbę zestrzeleń ze wszystkich jednostek alianckich biorących udział w batalii.

5 października 1940 roku por. Januszewicz wystartował na samolocie Hawker Hurricane (prawdopodobnie o oznaczeniu RF-V) wraz z 303. Dywizjonem do kolejnego lotu bojowego. Został zestrzelony ok. 11.40 w walce powietrznej nad Hawkinge. Jego płonący samolot rozbił się w pobliżu Stowting Common. Ciężko ranny pilot zmarł we wraku samolotu. Przez wiele lat szczegóły ostatniej walki Januszewicza nie były znane. Dopiero niedawno odnaleziono świadków, którzy powiedzieli, że miała ona zacięty przebieg i toczyła się najpierw na dużej, a potem na bardzo małej wysokości.

Kapitan pilot (awansowany pośmiertnie) Wojciech Januszewicz, odznaczony Srebrnym Krzyżem Orderu Virtuti Militari i trzykrotnie Krzyżem Walecznych, został pochowany na cmentarzu lotników polskich w Northwood w Londynie, grób nr H 231.



Fot. ze zbiorów R. Gretzyngiera

Por. Wojciech Januszewicz (drugi z lewej) podczas wizyty króla angielskiego Jerzego VI w bazie Northolt pod Londynem 26 września 1940 roku



Grób Wojciecha Januszewicza na cmentarzu w Northwood (Londyn)



mgr inż. Marek Rogusz – współtwórca nowej gry edukacyjnej IPN *111*, autor książki *Parę minut życia. Wspomnienie o pilocie kościuszkowskiej eskadry Wojciechu Januszewiczu* (2013)

Przeciw totalnej tyranii zła. Ryszard Siwiec (1909–1968)

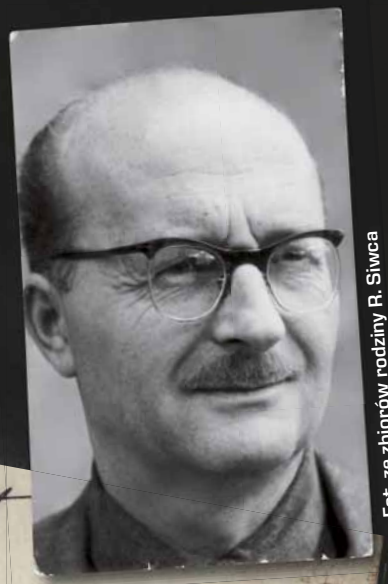
Łukasz Kamiński

W styczniu 1969 roku całym światem wstrząsnęła wiadomość o śmierci Jana Palacha, który sam określił siebie jako „żywą pochodnię nr 1". Niewielu wówczas wiedziało, że pierwszy w bloku wschodnim dokonał samospalenia Ryszard Siwiec.

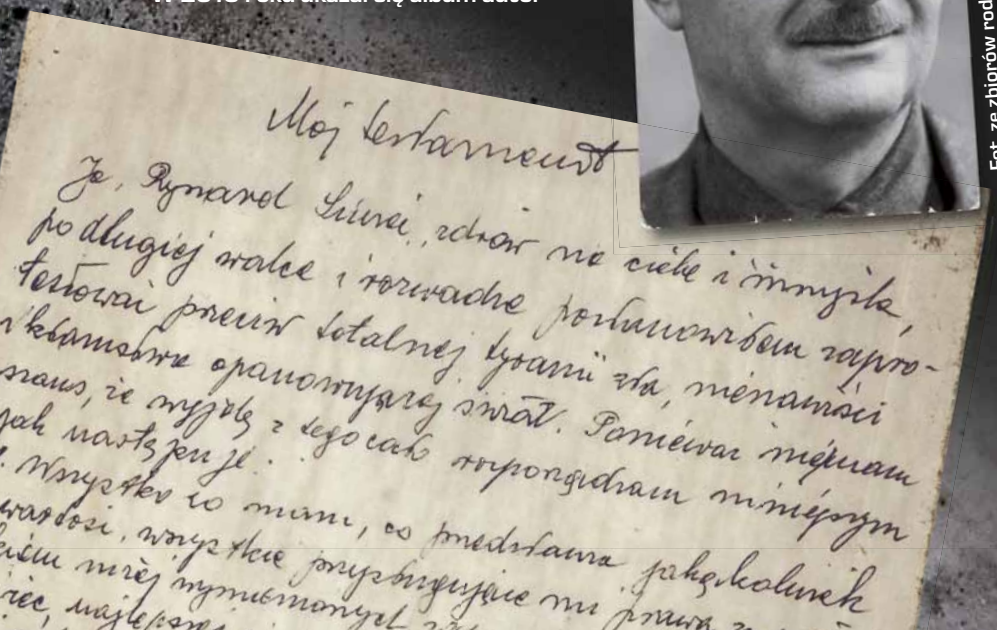
W miarę upływu czasu historia Siwca stawała się coraz bardziej znana. Jeszcze w styczniu 1969 roku o jego proteście napisał francuski tygodnik „Le Nouvel Observateur", a dopiero po wielu tygodniach o wydarzeniach ze Stadionu Dziesięciolecia poinformowała polska sekcja Radia Wolna Europa. W 1981 roku nakładem rodziny ukazała się broszurka *8 września 1968. Żywa pochodnia na Stadionie Dziesięciolecia. W trzynastą rocznicę śmierci Ryszarda Siwca wszystkim miłującym prawdę*. Dziesięć lat później na niespotykaną wcześniej skalę postać Siwca przypomniał Maciej Drygas, autor filmu dokumentalnego *Usłyszcie mój krzyk* i słuchowiska radiowego *Testament*. Ryszard Siwiec został pośmiertnie odznaczony przez prezydentów Czech, Polski i Słowacji. W 2010 roku ukazał się album autorstwa Petra Blažka, podsumowujący stan wiedzy historyków.

Czyn Ryszarda Siwca, oprócz samospalenia Jana Palacha, należy dziś do najlepiej opisanych protestów tego typu. Nie oznacza to jednak, że jest nam łatwiej zrozumieć to, co wydaje się niepojęte – wybór okrutnej śmierci jako formy ostatecznego protestu przeciwko złu.

Ryszard Siwiec przyszedł na świat 7 marca 1909 roku w Dębicy. Po śmierci ojca wraz z matką zamieszkał we Lwowie, gdzie ukończył szkołę średnią oraz studia na Wydziale Humanistycznym Uniwersytetu Jana Kazimierza. Następnie rozpoczął pracę w Urzędzie Skarbowym – wpierw we Lwowie, a następnie w Przemyślu, w którym zamieszkał na stałe. Podczas okupacji niemieckiej pracował jako robotnik, a następnie jako kierownik punktu skupu owoców i warzyw. Był też zaprzysiężonym żołnierzem Armii Krajowej.



Fot. ze zbiorów rodziny R. Siwca


Mój testament

Ja, Ryszard Siwiec, zdrów na ciele i umyśle, po długiej walce i rozwadze postanowiłem zaprotestować przeciw totalnej tyranii zła, nienawiści i kłamstwu opanowującej świat. Pamiętam mężnam sam, że wyjdę z tego cało rozpoczynam miniejszym jak nastąpi je. Wszystko to mam, co posiadam pozostawiam [illegible] wszystkie przysługujące mi prawa [illegible]

Po zakończeniu wojny nie przyjął propozycji pracy w szkole, ponieważ uznał, że „nie będzie uczył bzdur". Wraz z Janem Wojnarowiczem założył wytwórnię win i miodów, w której (mimo nacjonalizacji) pracował do końca swoich dni. W 1945 roku ożenił się z Marią, z którą doczekał się pięciorga dzieci (Innocenty, Elżbiety, Wita, Adama i Mariusza). W pamięci rodziny i przyjaciół pozostał jako człowiek dobry i religijny, przywiązany do podstawowych wartości, miłośnik historii i bibliofil.

Klucz do zrozumienia czynu Ryszarda Siwca kryje się jednak nie w jego życiorysie, który mimo wielu indywidualnych rysów pozostaje typowy dla przedstawicieli jego pokolenia, lecz w analizie przygotowań i przebiegu wydarzeń z 8 września 1968 roku.

Precyzyjny plan

Siwiec nigdy nie pogodził się z narzuconym Polsce ustrojem komunistycznym. Powojenną rzeczywistość kontestował w rozmowach ze znajomymi, do działania skłoniły go wydarzenia Marca '68. Redagował wówczas ulotki podpisane „Jan Polak", które przy pomocy córki wysyłał do nieznanych nam dzisiaj adresatów. Kolejnym i decydującym wstrząsem stała się inter-



Fot. AIPN

Dramatyczne wydarzenie na trybunie nie przerwało uroczystości dożynkowych

wencja wojsk Układu Warszawskiego w Czechosłowacji. W ciągu kilkunastu kolejnych dni Siwiec opracował i wykonał precyzyjny plan protestu – notatki z przygotowań rodzina odnalazła po jego śmierci.

Przede wszystkim zależało mu na tym, by jego protest został zauważony przez możliwie jak najwięcej osób. Dlatego wybrał jako miejsce samospalenia Stadion Dziesięciolecia w trakcie dorocznych uroczystości dożynkowych z udziałem najwyższych władz państwowych. W notatkach z ulgą odnotował – „wstęp na stadion – nareszcie załatwiony". Dobrał odpowiedni środek łatwopalny i ubranie. Przygotował biało-czerwoną flagę z napisem „Za Naszą i Waszą Wolność. Honor i Ojczyzna", a także kilkadziesiąt ulotek, które miały poinformować świadków, dlaczego zdobył się na tak desperacki krok. Niestety, zostały one zniszczone przez Służbę Bezpieczeństwa. Z zachowanych dokumentów wiemy jedynie, że rozpoczynały się od słów „Protestuję przeciwko niesprowokowanej agresji na bratnią Czechosłowację", a kończyły zdaniem „Ginę po to, by nie zginęła wolność!".

Przewidując własną śmierć, Siwiec zadbał również o uregulowanie spraw doczesnych i wiecznych. Udał się do spowiedzi, a także sporządził testament. Dokument ten zawiera poruszające przesłanie do dzieci (m.in. „Nie dajcie nigdy odebrać sobie wiary w Boga, wiary w człowieka, w jego dążenie do wolności i prawdy"), a wyjaśnia także cel – „po długiej walce i rozwadze postanowiłem zaprotestować przeciw totalnej tyranii zła, nienawiści i kłamstwa opanowującej świat".

Najważniejszym elementem przygotowań było jednak posłanie, które Siwiec przy pomocy przyjaciół nagrał na taśmę magnetofonową. Liczył, że po jego śmierci nagranie to trafi do Radia Wolna Europa i zostanie wyemitowane. Przejmujący tekst posłania niewątpliwie wynika z wcześniejszych przemyśleń Siwca. Wśród adresatów różnych fragmentów tekstu pojawiają się zarówno uczestnicy marcowych protestów, jak i władze PRL oraz posłuszni im propagandyści, społeczeństwo i władze Związku Sowieckiego. Posłanie, oprócz elementów nawiązujących do historii, zawiera przede wszystkim analizę ówczesnej sytuacji międzynarodowej i złowrogiej roli odgrywanej przez Sowietów. Siwiec na wiele lat przed słynnym orędziem prezydenta USA Ronalda Reagana użył spopularyzowanego przez niego określenia – „tworzone przez was imperium jest przeciwstawieniem, zaprzeczeniem wszystkiego, co dobre, bo jest imperium zła, opartym na nienawiści, kłamstwie, terrorze i pogardzie dla rządzonych". Mimo żywionych obaw co do losów świata, Siwiec był przekonany, że komunizm upadnie. Dał temu wyraz w słowach skierowanych do przywódców sowieckich: „Pytam: dlaczego jesteście pewni, że właśnie wam tylko i jedynie wam w ciągu całych dziejów ludzkości uda się zbudować i utrzymać imperium oparte na przemocy, krzywdzie i niesprawiedliwości? Dlaczego sądzicie, że właśnie wam uda się zabić idee, prawdę, wolność, szlachetność, wieczne dążenie człowieka do czegoś większego, lepszego?".

Siwiec odwoływał się także do inwazji na Czechosłowację, określając ją po wielokroć jako hańbę. Posłanie zakończył dramatycznym wezwaniem: „Ludzie, którzy nie zapomnieliście jeszcze



Fot. AIPN

najpiękniejszego słowa na ziemi »matka«! Ludzie, w których może jeszcze tkwi iskierka uczuć ludzkich! Usłyszcie mój krzyk! Krzyk szarego, zwyczajnego człowieka, syna narodu, który własną i cudzą wolność ukochał ponad wszystko, ponad własne życie! Opamiętajcie się! Jeszcze nie jest za późno!".

„Nie można było inaczej"

Wieczorem w przeddzień dożynek Siwiec pożegnał się z rodziną i pociągiem udał się do Warszawy. Dojeżdżając do stolicy, napisał list do żony. Przejęła go SB i Maria Siwiec dopiero po upadku komunizmu mogła przeczytać skierowane do niej słowa: „Kochana Marysiu! Nie płacz! Szkoda sił, a będą ci potrzebne, jestem pewny, że po to dla tej chwili żyłem 60 lat, wybacz nie można było inaczej, po to żeby nie zginęła prawda, człowieczeństwo, wolność, ginę. A to mniejsze zło – jak śmierć milionów, nie przyjeżdżaj do Warszawy, mnie już nikt, nic nie pomoże, dojeżdżamy do Warszawy, piszę w pociągu i dlatego krzywo. Jest mi tak dobrze, czuję taki spokój wewnętrzny – jak nigdy w życiu! [...]".

Na stadionie zajął miejsce w sektorze 13 (miał kartę wstępu do sektora 37) – tak aby być naprzeciw trybuny honorowej. Gdy rozpoczęły się tańce grup folklorystycznych, oblał się rozpuszczalnikiem i podpalił. Płonąc, wznosił okrzyki „Protestuję", odpychał gaszących go ludzi. Gdy spaliło się na nim całe ubranie, w dalszym ciągu apelował do otaczających go świadków; funkcjonariusz SB zanotował następujące słowa „Niech żyje Wolna Polska", „To jest okrzyk konającego wolnego człowieka", „Nie ratujcie mnie, zobaczcie, co mam w teczce". To ostatnie wezwanie związane było z tym, że Siwiec nie rozrzucił przygotowanych ulotek, być może obawiając się przedwczesnego zatrzymania. Samochodem Służby Bezpieczeństwa został zawieziony do szpitala. Przebieg protestu zarejestrował (kilka sekund) operator Polskiej Kroniki Filmowej, kilka zdjęć wykonał Leszek Łożyński, najpełniejszego zapisu dokonali zaś funkcjonariusze Biura „B" Ministerstwa Spraw Wewnętrznych (zachowało się blisko 90 sekund nagrania). Z kilkudziesięciu przypadków protestu przez samospalenie w dziejach bloku sowieckiego, tylko czyn Ryszarda Siwca został w ten sposób udokumentowany, a zachowane materiały filmowe stanowią unikatowe i poruszające źródło historyczne.

Poparzony w ponad 80 proc. Siwiec do ostatnich chwil podlegał inwigilacji, nagrywano wszystkie jego wypowiedzi. Funkcjonariusze przemyskiej SB dokonali rewizji w domu, a w Warszawie wszczęto śledztwo w sprawie rozpowszechniania przez Siwca ulotek „zawierających fałszywe wiadomości o sytuacji polityczno-społecznej w PRL, mogące wywołać niepokój publiczny". Świadków przekonywano, że samospalenia dokonał człowiek niezrównoważony.

Ryszard Siwiec, który zachował przytomność i w nagranych przez SB rozmowach ponownie uzasadniał swój czyn, zmarł tuż po północy z 11 na 12 września. Mimo że świadkami wydarzenia były tysiące ludzi, do opinii publicznej nie przedostały się informacje o przyczynach protestu. Po Warszawie krążyły co prawda pogłoski o samospaleniu w czasie dożynek, nie wiedziano jednak, kto i dlaczego zdecydował się na tak desperacki krok. Posłanie Ryszarda Siwca nie zostało wysłane na Zachód.

Heroizm, który inspiruje

Chociaż plan Siwca nie został w pełni zrealizowany, pozwala on nam na próbę wyjaśnienia zamiarów i celów bohatera tego tekstu. Nie ulega wątpliwości, że Siwiec postępował w sposób przemyślany i konsekwentny. Wydaje się, że do tak desperackiego kroku skłoniło go przekonanie o nieskuteczności innych form protestu – doświadczenie porażki studentów w Marcu '68, brak rezultatów własnej działalności (ulotki). Celem Siwca nie był protest sam w sobie – tu zapewne mógł znaleźć bardziej efektywne formy – lecz poruszenie sumień Polaków i nie tylko ich. Samospalenie, akt trudny do wyobrażenia dla każdego człowieka, miało być uzupełnione poprzez treść przesłania, które wyemitowane przez zachodnie rozgłośnie, stałoby się powszechnie znane w całym bloku wschodnim. Trudno sobie wyobrazić, by wówczas nie znalazły się osoby, które poruszone śmiercią Siwca, podjęłyby dalsze akty protestu przeciwko interwencji w Czechosłowacji. Podobny efekt planował i w pewnym stopniu osiągnął Jan Palach, który przynajmniej na pewien czas pobudził Czechów i Słowaków do oporu przeciwko okupacji.

Ryszard Siwiec zamierzonego celu nie osiągnął. Protesty przeciwko interwencji wygasły, zarówno w Polsce, jak i w innych krajach. Nie oznacza to jednak, że jego ofiara poszła na marne. Jego heroizm budzi podziw także dziś, o czym świadczy niesłabnące zainteresowanie historią życia i śmierci tego niezwykłego człowieka.

dr Łukasz Kamiński – prezes IPN

Żywe pochodnie

Petr Blažek



Fot. FORUM/Malcolm Browne

Samospalenia mnichów buddyjskich w Wietnamie Południowym dały początek takiej formie protestu politycznego

11 czerwca 1963 roku na jednej z ulic Sajgonu zebrał się tłum mniszek i mnichów buddyjskich. Wśród nich był sześćdziesięcioześcioletni Thích Quảng Đức. Wyszedł na środek i usiadł w pozycji lotosu. Następnie dwaj inni mnisi oblali go środkiem łatwopalnym, a Thích Quảng Đức wyjął zapałkę i się podpalił.

Thích Quảng Đức był pierwszym z buddyjskich mnichów, którzy zdecydowali się na tak drastyczną i szokującą formę sprzeciwu. Dwa miesiące później w jego ślady poszli następni, wśród nich dwudziestoletnia mniszka. Chcieli w ten sposób zaprotestować przeciwko prześladowaniom, których buddyści doświadczali ze strony autorytarnego rządu południowego Wietnamu. Dyktatorską władzę sprawował tam wówczas prezydent Ngô Đình Diệm wraz z rodziną. Byli oni – inaczej niż większość mieszkańców kraju – katolikami i wszelkimi sposobami, od utrudniania praktyk religijnych, po pobicia i zabójstwa, zwalczali szczególnie mnichów buddyjskich. Takie działania sprawiły, że rząd Ngô stracił dotychczasowe poparcie USA.

Samobójstwo altruistyczne

Datę 11 czerwca 1963 roku jako cezurę początkową swoich badań i początek badanego zjawiska przyjął angielski socjolog Michael Biggs, który w 2005 roku opublikował pracę dotyczącą samospaleń jako radykalnej formy protestu politycznego. Zwrócił on m.in. uwagę na to, że mnisi, motywując swoje działania chęcią wywołania wstrząsu u swoich prześladowców i skłonienia ich do zaprzestania represji, poświęcali swoje życie w interesie większej grupy społecznej. Ich zachowanie zatem można określić jako ofiarę altruistyczną. Z formalnego przynajmniej punktu widzenia byłoby to jedno z zachowań, które w klasycznej pracy z 1897 roku zdefiniował francuski socjolog Émile Durkheim. Wyróżnił on cztery podstawowe rodzaje samobójstw – egoistyczny, fatalistyczny, anomiczny i altruistyczny – przy czym ten ostatni uznał za charakterystyczny dla społeczeństw archaicznych. Jako przykład wskazywał samobójstwa dokonywane w wyniku nakazów tradycji, np. samospalenie żony po śmierci męża, samobójstwa niewolników po śmierci ich właściciela czy samobójstwa niedołężnych i starych.

Politycznie motywowane samospalenia można zdefiniować jako radykalną formę protestu, w której jednostka świadomie poświęca swoje życie (lub skrajnie je ryzykuje), podpalając swoje ciało przy użyciu materiałów łatwopalnych, w imię spraw wspólnoty. Najczęściej zjawisko takie następuje podczas kryzysów politycznych, które dotyczą znacznej części społeczeństwa. W przeciwieństwie do ataków samobójczych samospalenia są przeprowadzane w taki sposób, aby nie wyrządzić dodatkowych szkód ani krzywdy osobom postronnym. W tym kontekście idea ta jest bliska długotrwałemu protestowi głodowemu, który jako sposób walki bez przemocy prowadzili m.in. w latach dwudziestych irlandzki nacjonalista Terence MacSwiney i lider indyjskiego ruchu niepodległościowego Mahatma Gandhi. Oczywiście

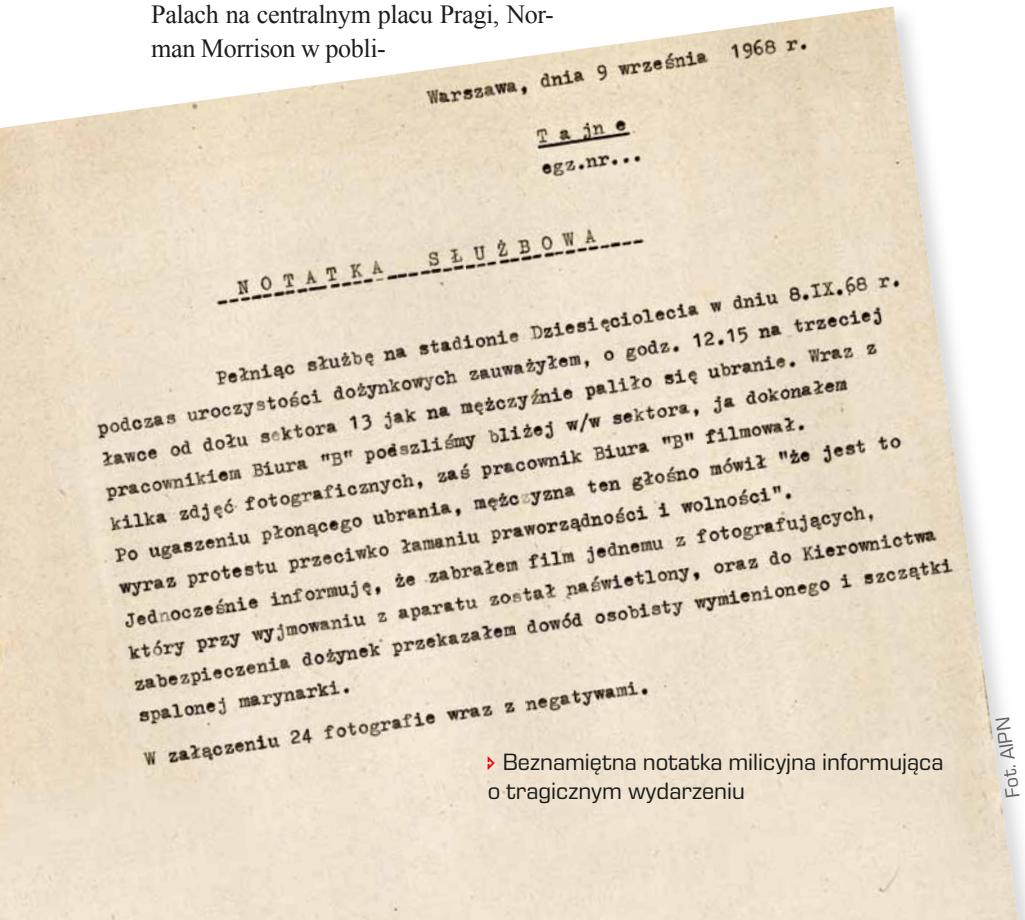
istotną różnicą jest tu gwałtowny przebieg, brak możliwości negocjacji czy przerwania protestu. Francuski badacz społeczny Martin Monastier uważa tego rodzaju działania za racjonalne: ich celem jest wzburzenie opinii publicznej, a także uczynienie przeciwnika współodpowiedzialnym za życie protestujących i zmuszenie go tym sposobem do przyjęcia żądań.

Samospalenia wywoływały jednak także negatywne reakcje społeczne związane z religijnymi, kulturowymi i filozoficznymi interpretacjami samobójstwa. Dość częste są również naśladownictwa protestu politycznego, mające swe przyczyny w problemach psychicznych lub osobistych. Tego rodzaju argumentację stosowały zresztą często tajne służby, chcąc zdyskredytować ludzi, którzy zdecydowali się na tak drastyczny protest.

Usłyszcie nas!

Istotna jest publiczna i medialna płaszczyzna tych wydarzeń. Właśnie dlatego rozgrywały się one na ruchliwych placach i ulicach czy w miejscach symbolicznych (Ryszard Siwiec podczas dożynek na Stadionie Dziesięciolecia, Jan Palach na centralnym placu Pragi, Norman Morrison w pobliżu Pentagonu, Romas Kalanta – przed Teatrem Muzycznym w Kownie, gdzie Sowieci proklamowali w 1940 roku włączenie Litwy do ZSRR). Dlatego uczestnicy tych protestów często pozostawiali pisemne przesłania, w których wyjaśniali powody swojego działania. Adresowane były one zazwyczaj do przywódców politycznych – aby ich poruszyć bądź skłonić do podjęcia pożądanych działań – lub do ogółu społeczeństwa – aby je zmobilizować.

Samobójstwa mnichów na ulicach Sajgonu zostały uwiecznione przez aparaty fotograficzne dziennikarzy zachodnich, którzy wcześniej zostali powiadomieni o planowanych protestach. Bez tego ich zasięg, a także ich sens, byłby dużo mniejszy. Amerykański fotoreporter Malcolm Browne, który zrobił zdjęcia płonącemu mnichowi (dostał za to nagrodę Pulitzera), nie znalazł się tam przypadkowo. Thích Quảng Đức rozmawiał z nim osobiście przez telefon w dzień poprzedzający protest – choć nie powiedział, na czym będzie on polegał. Dzięki pośrednictwu mediów buddyjscy mnisi stali się inspiracją dla naśladowców z innych kręgów kulturowych, którzy



Warszawa, dnia 9 września 1968 r.

T a j n e
egz.nr...

N O T A T K A S Ł U Ż B O W A

Pełniąc służbę na stadionie Dziesięciolecia w dniu 8.IX.68 r. podczas uroczystości dożynkowych zauważyłem, o godz. 12.15 na trzeciej ławce od dołu sektora 13 jak na mężczyźnie paliło się ubranie. Wraz z pracownikiem Biura "B" podeszliśmy bliżej w/w sektora, ja dokonałem kilka zdjęć fotograficznych, zaś pracownik Biura "B" filmował. Po ugaszeniu płonącego ubrania, mężczyzna ten głośno mówił "że jest to wyraz protestu przeciwko łamaniu praworządności i wolności". Jednocześnie informuję, że zabrałem film jednemu z fotografujących, który przy wyjmowaniu z aparatu został naświetlony, oraz do Kierownictwa zabezpieczenia dożynek przekazałem dowód osobisty wymienionego i szczątki spalonej marynarki.

W załączeniu 24 fotografie wraz z negatywami.

Beznamiętna notatka milicyjna informująca o tragicznym wydarzeniu

Fot. AIPN



Władze komunistycznego Wietnamu wykorzystały propagandowo protest Normana Morrisona, wydajac znaczek z jego wizerunkiem

przejmowali często tylko strategię i zewnętrzną formę działania. Siła przekazu i możliwości techniczne współczesnych mediów oraz łatwy dostęp do narzędzi niezbędnych do zrealizowania zamierzonego celu doprowadziły do ekspansji tej drastycznej formy protestu. O ile bowiem w dziesięcioleciu poprzedzającym rok 1963 na kontynencie europejskim doszło do zaledwie pięciu samobójstw przez samopodpalenie, o tyle w następnej dekadzie ich liczba wyniosła już 117. Według Michaela Biggsa, całkowita liczba samospaleń (w tym takich, z których odratowano osobę protestującą) dokonanych w latach 1963–2002 wyniosła od 800 do 3000. W swoim studium zbadał on jednak tylko 533 przypadki, o których doniosły zachodnie agencje prasowe i które zostały opisane w najważniejszych czasopismach w kilkunastu krajach na całym świecie. Liczba aktów samospalenia szybko rosła, co było związane nie tylko z naśladowaniem tej formy protestu, lecz także ze wzrostem populacji na świecie i odsetka mieszkańców miast (tylko nieliczne wyjątki nie miały miejsca w miastach).

Przypadki samospalenia z powodów politycznych wciąż najczęściej zdarzały się w krajach azjatyckich, gdzie były silne wpływy tradycji hinduistycznych i buddyjskich, które przypisują duże znaczenie poświęceniu za wspólnotę, a jednocześnie

inaczej – niż np. chrześcijanie – patrzą na samobójstwo. Dodatkowo, był to także okres licznych konfliktów na tle religijnym, etnicznym czy kastowym. Najwięcej zatem przypadków odnotowano w Indiach, Wietnamie Południowym i Korei Południowej. W ostatnich latach wzrosła również liczba samobójstw w Tybecie, gdzie samospalenie stało się rozpaczliwym protestem mnichów buddyjskich przeciwko okupacji ich kraju przez Chińską Republikę Ludową. W tych krajach samospalenia występowały również jako fale kilku samobójstw w krótkich odstępach czasu.

Śladem żywych pochodni

W połowie lat sześćdziesiątych samospalenia weszły do zestawu form politycznego protestu przeciw udziałowi armii Stanów Zjednoczonych w wojnie wietnamskiej. Znacząco zwiększyło to liczbę takich aktów odnotowywanych w USA. Były to w rzeczywistości pojedyncze przypadki, ale ze względu na ich medialne nagłośnienie, uzyskały duży oddźwięk także za granicą.

Pierwsza podpaliła się 16 marca 1965 roku w Detroit Alice Herz, osiemdziesięciodwuletnia działaczka ruchu pacyfistycznego. Była to niemiecka Żydówka, która zdążyła wyjechać z Niemiec w 1933 roku do Francji, a następnie do Ameryki. W liście pożegnalnym wprost odwołała się do buddyjskich poprzedników. Stwierdziła m.in., że wyczerpała już wszystkie inne metody protestu i nic więcej jej nie pozostało. Zmarła w szpitalu po dziesięciu dniach. Większy oddźwięk miał protest kwakra z Baltimore, Normana Morrisona, który 2 listopada 1965 roku podpalił się przed budynkiem Pentagonu. Wybrał miejsce w pobliżu kancelarii sekretarza obrony USA Roberta McNamary, który przebywał wówczas w swoim gabinecie. Trzydziestojednoletni Morrison zmarł tego samego dnia, zostawił żonę i troje małych dzieci. Przed popełnieniem samobójstwa wielokrotnie wspólnie z rodziną rozmawiali o działaniach mnichów buddyjskich w Sajgonie. Morrison nawet zabrał ze sobą roczną córeczkę i przed podpaleniem się oddał ją komuś zebranego tłumu protestujących. Robert McNamara, odpowiedzialny za m.in. za plany interwencji amerykańskiej w Wietnamie, o śmierci Morrisona powiedział, że jest ona tragedią dla całego kraju. Nazwał ją „krzykiem w proteście przeciwko zabijaniu, które pochłania tak wiele wietnamskich i amerykańskich młodych istnień".



Fot. Archiv bezpečnostních složek (Archiwum Służb Bezpieczeństwa)

Jan Palach

Protest Morrisona został następnie nagłośniony i wykorzystany przez wietnamski reżim komunistyczny. Władze „ludowego" Wietnamu wydały na jego cześć znaczek pocztowy, a w wietnamskim mieście Đà Nẵng jego imieniem nazwano jedną z ulic.

Tydzień po samospaleniu Morrisona, 9 listopada 1965 roku, dwudziestodwuletni katolik Roger Allen LaPorte usiadł w pozycji lotosu przed budynkiem Biblioteki Daga Hammarskjölda na terenie ONZ w Nowym Jorku, po czym się podpalił. Następnego dnia zmarł. On również protestował przeciwko obecności wojsk amerykańskich w Wietnamie.

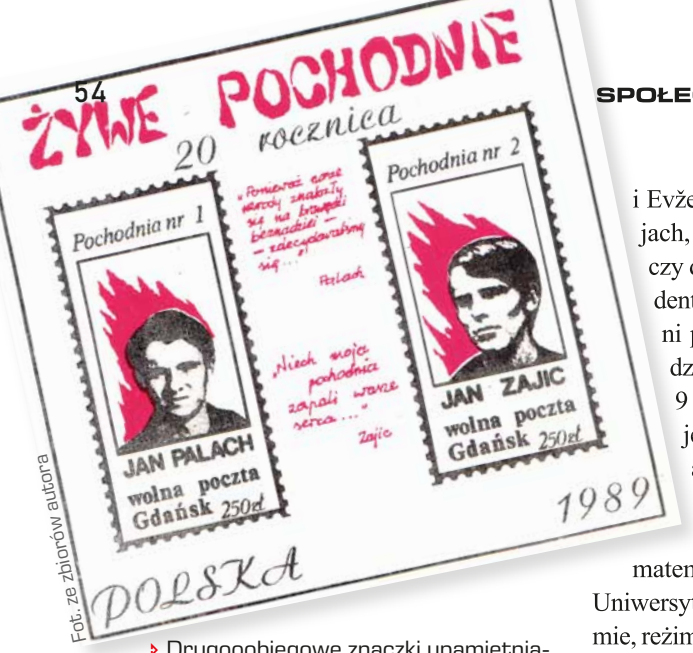
Demonstracją przeciw amerykańskiej interwencji w Indochinach była kolejna seria samospaleń mnichów buddyjskich: na przełomie maja i czerwca 1966 roku samobójstwa przez podpalenie popełniło trzynaście osób. Kolejne przypadki, bezpośrednio inspirowane protestami mnichów, pojawiły się w tym czasie również innych krajach: Sri Lance, Indiach i Korei Południowej.

Nowa, duża fala samospaleń w Wietnamie pojawiła się w połowie lat siedemdziesiątych, po zjednoczeniu kraju pod władzą komunistów. 2 listopada 1975 roku w jednej z tamtejszych pagod podpaliło się jednocześnie dwanaścioro buddyjskich mnichów i mniszek w proteście przeciwko prześladowaniom religijnym. O tej sprawie prasa zachodnia wprawdzie pisała, ale w porównaniu z informacjami dotyczącymi wcześniejszych protestów antyamerykańskich – niewspółmiernie mało.

Ogień antykomunizmu

Począwszy od 1968 roku przypadki samospalenia zaczęły się także pojawiać w państwach bloku komunistycznego. Tutaj także wyraźnie czerpano inspiracje z przypadków samobójstw mnichów buddyjskich, które propaganda komunistyczna często przypominała jako protesty przeciwko imperializmowi amerykańskiemu. Protestujący w państwach komunistycznych – podobnie jak mnisi z Wietnamu Południowego – chcieli poprzez tę drastyczną formę protestu wstrząsnąć społeczeństwem i zachęcić do silniejszego oporu wobec komunistycznych reżimów totalitarnych, które traktowali jako okupację. Ich strategie, motywy i oczekiwania były bardzo różne, podobnie jak skutki ich działania oraz reakcje na nie.

Pierwszym znanym przypadkiem samopodpalenia w bloku wschodnim był polski urzędnik z Przemyśla, Ryszard Siwiec. 8 września 1968 roku podpalił się on w proteście przeciwko inwazji państw Układu Warszawskiego na Czechosłowację. Jego czyn nie wywołał jednak spodziewanego odzewu i – także wskutek działań tajnych służb – nie przedostał



Fot. ze zbiorów autora

Drugooobiegowe znaczki upamiętniające samospalenie czechosłowackich studentów

się do wiadomości opinii publicznej. Zupełnie inaczej miała się rzecz z praskim studentem Janem Palachem. 16 stycznia 1969 roku podpalił się on przed Muzeum Narodowym na pl. Wacława w Pradze, chcąc w ten sposób zaprotestować przeciw zbrojnej interwencji wojsk Układu Warszawskiego w Czechosłowacji i poruszyć bierne społeczeństwo do działania. Zmarł po trzech dniach. Jego czyn odbił się szerokim echem zarówno w ojczyźnie, jak i na świecie. Informowały o nim nawet media komunistyczne w bloku wschodnim – choć z „odpowiednim" komentarzem.

Mimo że według świadków podobno w niejasnych okolicznościach apelował o to, by nikt go nie naśladował, jego wystąpienie stało się wzorem dla innych w bloku. W ciągu kolejnych miesięcy za jego przykładem podpaliło się kilka osób w Czechosłowacji (wśród nich uczestnik głodówki po samospaleniu Palacha, student Jan Zajíc, i Evžen Plocek) oraz w innych krajach, m.in. Węgier Sándor Bauer czy dwudziestoletni żydowski student z Łotwy, Ilja Rips. Ten ostatni próbował podpalić się w Rydze, przed pomnikiem Wolności, 9 kwietnia 1969 roku. Został jednak uratowany, a następnie aresztowany i skierowany na przymusowe leczenie psychiatryczne. U tego zdolnego matematyka, przyszłego profesora Uniwersytetu Hebrajskiego w Jerozolimie, reżimowi lekarze orzekli schizofrenię i na dwa lata zamknęli go w szpitalu. Z kolei podpalenie się dziewiętnastoletniego robotnika Romasa Kalanty 14 maja 1972 roku w Kownie w proteście przeciwko sowieckiej okupacji Litwy wywołało zamieszki uliczne i falę kolejnych samopodpaleń.

Duży rozgłos w społeczeństwie wschodnioniemieckim uzyskał przypadek protestanckiego duchownego Oskara Brüsewitza, który 18 sierpnia 1976 roku podpalił się w proteście przeciwko prześladowaniu chrześcijan w NRD i współpracy tamtejszego Kościoła z władzami. Podobnie 23 czerwca 1978 roku w ten sam sposób rolnik Musa Mamut zaprotestował przeciwko deportacjom Tatarów Krymskich z ich ojczyzny.

Inne „żywe pochodnie" w bloku sowieckim miały już tylko niewielki oddźwięk w społeczeństwach lub wręcz całkowicie pozostały niezauważone. Były to wydarzenia o charakterze jednostkowym, które władze starały się ukryć lub przedstawić jako rzekome działania psychopatów. O niektórych opinia publiczna dowiedziała się szerzej dopiero po upadku komunizmu. O poświęceniu tych osób przypominają dzisiaj pomniki, tablice pamiątkowe, filmy dokumentalne i fabularne (o współczesnych reakcjach w Czechosłowacji na czyn Jana Palacha opowiedziała w miniserialu *Gorejący krzew* Agnieszka Holland). Choć część protestujących została po upadku reżimów pośmiertnie odznaczona przez władze medalami, to ich działania nie przez wszystkich rodaków są odbierane jednoznacznie.

Przypadki samospaleń odnotowywano w różnych kręgach kulturowych i systemach politycznych. Podobnie zróżnicowane były motywy ich autorów – najczęściej jednak chodziło o przeforsowanie ważnych społecznie postulatów politycznych. Większość z tych działań była reakcją na kryzysy ustrojowe reżimów, związane np. z represjami wobec masowych demonstracji ulicznych, okupacją przez obce wojska lub ustawodawstwem władz centralnych, które dzieliło społeczeństwo. Często nie były rezultatem spontanicznego czy szybkiego działania, lecz poprzedzały je długie i szczegółowe przygotowania oraz staranny wybór strategii w celu lepszego dotarcia do społeczeństwa. W wyjątkowych wypadkach – jak to wielokrotnie zdarzało się w przypadku mnichów buddyjskich – akty samospalenia były zatwierdzane przez członków wspólnoty, w której imieniu akcja była przeprowadzona.

Samospaleniom często towarzyszyły burzliwe dyskusje dotyczące zasadności tak radykalnej i drastycznej formy politycznego protestu. W porównaniu z głodówkami samospalenia przeżywa (pomijając pozorowane samospalenia, które w rzeczywistości nie miały motywów politycznych) dużo mniejsza liczba protestujących (ok. 30 proc.), z których wielu ponosi później dotkliwe konsekwencje zdrowotne.

W 2012 roku została uruchomiona strona internetowa janpalach.com. Jest rezultatem projektu zrealizowanego przez praski Uniwersytet Karola we współpracy z innymi instytucjami. Zawiera informacje – w kilku językach (w tym po polsku) – dotyczące historii studenta Wydziału Filozofii UK, Jana Palacha, który 16 stycznia 1969 roku na pl. Wacława oblał się środkiem łatwopalnym i podpalił. Wydarzenia te zostały opowiedziane za pomocą opracowań historycznych, fotografii, filmów dokumentalnych, programów telewizyjnych i radiowych. Uwagę poświęcono także innym „żywym pochodniom", w tym Ryszardowi Siwcowi, który 8 września 1968 roku podpalił się w proteście przeciwko udziałowi ludowego Wojska Polskiego w inwazji na Czechosłowację. Pamięci Ryszarda Siwca została poświęcona także strona www.ryszardsiwiec.com przygotowana przez rzeszowski oddział IPN. Jest ona elementem projektu „Krzyk szarego człowieka. Ryszard Siwiec 1909–1968".

dr Petr Blažek – historyk, badacz dziejów Czechosłowacji, w szczególności relacji polsko-czesko-słowackich w XX wieku i oporu wobec systemu komunistycznego, autor m.in. albumu *Ryszard Siwiec 1909–1968* (2010)

przekład z języka czeskiego: Andrzej Brzozowski



Francuski kurier

Radosław Ptaszyński

Jacky Challot, Francuz zafascynowany ruchem Solidarności, przemycał sprzęt dla opozycji w PRL. Za wsparcie dla polskiego podziemia zapłacił więzieniem.



Jacky Challot ośmiokrotnie przyjeżdżał do Polski, przemycając materiały poligraficzne

Fot. ze zbiorów rodzinnych

Tradycyjne zainteresowanie Polską we Francji przybierało na sile już w latach siedemdziesiątych i osiągnęło apogeum w latach osiemdziesiątych XX wieku, gdy od strajków sierpniowych i narodzin Solidarności informacje z Polski nie schodziły z pierwszych stron francuskich gazet. Przełomem okazało się wprowadzenie stanu wojennego i pogarszająca się sytuacja nad Wisłą. Zjawiska te wywołały bezprecedensowy odruch solidarności w społeczeństwie francuskim, którego przejawem były nie tylko liczne demonstracje pod ambasadą PRL w Paryżu, teksty, ulotki i odezwy, lecz także bezpośrednie zaangażowanie w pomoc Polakom, również przez wyjazdy „za żelazną kurtynę" z konwojami humanitarnymi. Oprócz żywności czy lekarstw bardzo często przewożono dodatkowo sprzęt poligraficzny, książki i czasopisma dla działającej nielegalnie Solidarności.

Jeszcze 13 grudnia 1981 roku komisja wykonawcza drugiego co do wielkości związku zawodowego Francji – CFDT (*Confédération Française Démocratique du Travail* – Francuska Demokratyczna Konfederacja Pracy) zdecydowała o podjęciu działań w związku z sytuacją w Polsce. Wystosowano również apel do robotników francuskich, w którym nawoływano, aby uczynić 14 grudnia wielkim dniem solidarności. Zaplanowano w Paryżu narodową manifestację, mającą wyrazić wsparcie moralne dla Polaków. O 17.30 demonstranci przeszli z Montparnasse'u do Kościoła Inwalidów. Tego dnia manifestacje solidarności z Polakami odbyły się też w innych miastach Francji.

Widz festiwalu

Jednym z przejawów tej niezwykłej popularności Polski we Francji były zorganizowane w dniach od 18 do 24 lutego 1981 roku w Poitiers, niespełna stutysięcznym mieście na zachodzie Francji, XIX Dni Kinematografii, tym razem poświęcone polskim osiągnięciom w tej dziedzinie. Publiczność mogła obejrzeć kilkadziesiąt wybitnych filmów polskich oraz spotkać reżyserów niektórych z nich.

Na widowni znalazł się niespełna dwudziestopięcioletni wówczas Jacky Challot, pracownik Urzędu Skarbowego w Wersalu i członek związku CFDT. W sierpniu 1981 roku dołączył do dwóch innych jadących do Polski związkowców, aby odbyć swoją pierwszą podróż nad Wisłę. Wyprawa ta wywarła bardzo silne wrażenie na jej uczestnikach. Wizyta „za żelazną kurtyną", spotkania z członkami Solidarności, obserwowanie entuzjazmu ludzi, powstawania struktur, a wreszcie I Krajowego Zjazdu Delegatów NSZZ „Solidarność", stanowiły spotkanie z egzotyczną, niezwykle ciekawą rzeczywistością. Te dwa tygodnie spędzone wówczas w atmosferze „karnawału Solidarności" na zawsze zmieniły młodego Jacky'ego i jego życie.

O wprowadzeniu stanu wojennego dowiedział się 13 grudnia z radia. Weekend spędzał w Naintré, ale na wiadomość o sytuacji w Polsce wrócił do Paryża, by wziąć udział we wspomnianej demonstracji. Zdecydował się nawiązać ścisły kontakt z polskimi emigrantami i wybrać w kolejne podróże. Jego zadaniem było dostarczanie do Polski sprzętu drukarskiego oraz odbiór polskich wydawnictw nielegalnych. Poza pierwszą wizytą w czasie „karnawału Solidarności" wyprawił się nad Wisłę jeszcze siedem razy.

Najbardziej brzemiennym w skutki wyjazdem okazał się ten z marca 1984 roku. Rozpoczął się on od rozmowy z Krzysztofem Aptem, profesorem informatyki na Uniwersytecie Amsterdamskim, współzałożycielem „Zeszytów Literackich". Naukowiec udzielił Challotowi szczegółowych instrukcji i przekazał adresy w Polsce. Mieli się spotkać po powrocie Francuza z Polski.

Podróż okrężną drogą

21 marca 1984 roku Challot wyruszył furgonetką marki Mercedes przez Bremę i port Puttgarden w kierunku Kopenhagi. Podróżował okrężną drogą, ponieważ doświadczenia ze służbami granicznymi NRD zdobyte w trakcie poprzednich wyjazdów nie były najlepsze: złośliwe przetrzymywanie na granicy, gruntowne przeszukanie i prostacki sposób bycia strażników.

Z Danii wypłynął w kierunku Świnoujścia. Spokojna podróż przez Bałtyk do Polski promem „Wilanów" trwała kilka godzin. U celu był o 9.00, w chłodny, piątkowy poranek 23 marca 1984 roku. Według dokumentów przewozowych, w samochodzie Francuza znajdowały się odzież, artykuły medyczne oraz wyposażenie gabinetu dentystycznego o łącznej masie 800 kg – dary dla Komitetu Pomocy Kurii Metropolitarnej w Krakowie. Po standardowym sprawdzeniu dokumentów



Przewożenie zakazanych materiałów ukrytych w podwójnych ściankach samochodów było powszechnym sposobem przemycania pomocy dla opozycji; na zdjęciu furgonetka ze Szwecji zatrzymana w 1983 roku

Fot. AIPN

oraz zwyczajowym w tamtych czasach odebraniu „prezentów" (kawy, czekolady) przez kontrolerów, Challota poproszono o wyładowanie całej furgonetki. Kiedy skończył, przystąpił do jej ponownego załadowania. Wówczas uwagę jednego z celników zwróciły wymiary nadwozia mercedesa, a konkretnie ściana z zewnątrz pojazdu dłuższa niż wewnątrz. Z perspektywy celnika wyglądało to tak: „Za pomocą żelaznego łomu przystąpiliśmy do demontażu ścianki, stwierdziliśmy, że ukryte są tam następujące towary: 2 szt. powielacze używane bez nazwy, 1 szt. powielacz Roneo 3100, 2 szt. powielacze Roneo 475, 1 szt. powielacz Roneo 2500, 1 szt. powielacz marki Vikers, 2 szt. radiotelefony marki Kenwood, 2 zasilacze do nich, 8 kg farby drukarskiej, 2 sztuki zszywacze duże, 12 kompletów emulsji, 5 litrów Entwikler Zusatz, 2 szt. taśmy gumowej, 4 szt. filmów małoobrazkowych Kodak, 24 szt. taśmy do maszyny do pisania, 1000 szt. Polyster Base, 100 paczek zszywek, 1 rolka papieru, 5 opakowań matryc do powielaczy, 788 sztuk książek, wydawnictw obejmujących 59 pozycji, 2x2 m tkanina nylonowa kolor biały i czerwony". Celnicy i żołnierze Wojsk Ochrony Pogranicza starali się nie dotykać znalezionych przedmiotów, tak aby można było pozyskać z nich linie papilarne. W tym suchym dokumencie nie ma śladów zaskoczenia jednego z celników, któremu się wyrwało: „O kurwa, to reakcja!".

Szokujące więzienie

Challot przewoził ze sobą także kilka listów od rodzin i znajomych, którzy wyjechali do Francji. Jego misją było wrzucenie ich do skrzynki w Polsce. Miał również przy sobie kartkę z adresem mieszkających w Łodzi znajomych swoich przyjaciół z Kopenhagi. Od nich miał odebrać przesyłkę. Nie przeprowadzono u niego rewizji osobistej, więc w toalecie zjadł karteczkę z adresem. Po dokładnych oględzinach samochodu zarówno celnicy i żołnierze WOP, jak i sam zatrzymany musieli oczekiwać do wieczora na przybycie ze Szczecina ekip Telewizji Polskiej i Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych.

Około 19.00 dwóch przybyłych klasyczną czarną wołgą funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa przewiozło zatrzymanego na komendę Milicji Obywatelskiej w Świnoujściu. Przystąpili tam do przesłuchania kolejno celników i dowódcy zmiany.

Wieczorem następnego dnia mjr Marek Żmijewski, zastępca naczelnika Wydziału Śledczego Urzędu Spraw Wewnętrznych, przesłał do Warszawy telegram, meldując wszczęcie postępowania. Informowano, że funkcjonariusze Urzędu Celnego w Świnoujściu, kontrolując samochód prowadzony przez Challota, znaleźli kontrabandę. Wśród niej było 787 (zdaniem celników: 788) sztuk książek i czasopism, w tym m.in. *Miazga* Jerzego Andrzejewskiego, *Zapiski więzienne* kard. Stefana Wyszyńskiego, *KOR* Jana Józefa Lipskiego, *Prawa człowieka a Polska* Ryszarda Szawłowskiego, *Los Żydów Warszawy 1939–1943* Władysława Bartoszewskiego, *Walka o świat* Stefana Kisielewskiego.

Formalnie Francuza podejrzewano o „wwiezienie na teren Polski w celu rozpowszechniania znacznych ilości publikacji zawierających fałszywe wiadomości mogące wyrządzić poważną szkodę interesom PRL oraz szkalujące naczelne organy Państwa Polskiego" oraz o to, że z pominięciem odprawy celnej przewoził wspomniane inne rzeczy. Wysokość nieuiszczonej opłaty celnej obliczono na 20 tys. zł. Żmijewski raportował także, że przesłuchany przyznał się do winy, oświadczając, że wszystko zrobił z pełną świadomością bezprawności działania. Odmówił złożenia wyjaśnień do czasu skontaktowania się z adwokatem.

Challot zapisał potem: „Ostatecznie odprowadzają mnie z powrotem do celi, którą dzielę z kryminalistami. Te dwa dni będą najgorsze. Współwięzień oskarżony o kradzież próbuje podciąć sobie żyły żyletką. Współwięźniowie nie rozumieją, dlaczego Francuz wtrąca się do tego, co się dzieje w Polsce. Podobnie jak milicjanci, cały czas pytają, ile mi za to zapłacono. Po 48 godzinach przewożą mnie do aresztu w Szczecinie".

Przed prokuratorem Challot złożył jedynie krótkie oświadczenie: „Przyznaję się do popełnienia zarzucanych mi przestępstw, przywiozłem do Polski materiały, jakie znaleziono w skrytce prowadzonego przeze mnie samochodu, świadomie. Odmawiam składania dalszych wyjaśnień do czasu skontaktowania się z adwokatem. Nic więcej nie mam do wyjaśnienia. W przypadku zastosowania wobec mnie tymczasowego aresztowania proszę o tym zawiadomić mojego brata Christiana Challota, Naintré".

Wydawało się, że dobrym punktem zaczepienia dla śledztwa będzie wspomniana korespondencja, którą wiózł ze sobą aresztowany. Służba Bezpieczeństwa poszła tropem każdego z nadawców i odbiorców tychże listów, które Challot miał jedynie wrzucić do skrzynki w Polsce, by

w ten sposób przyspieszyć wysyłkę i obniżyć jej koszty. Mimo bardzo szczegółowych sprawdzeń, czynności te nie doprowadziły do żadnych istotnych ustaleń.

Stosunkowo szybko pozwolono Challotowi napisać list do domu. Korespondencja dotarła jednak do Francji dopiero po kilku tygodniach. Jacky informował matkę: „Piszę ten list, żeby Cię nie zmartwić. Prawdopodobnie nie wiesz, ale jestem w ciupie. Zapewniam cię, jestem w dobrym zdrowiu, moralnie też dobrze się czuję, wszystko wytrzymam. Naprawdę nie ma o co się martwić. […] Zostałem złapany na granicy i od soboty rano jestem w więzieniu. Jestem obecnie w więzieniu w Szczecinie i prawdopodobnie jest to moje ostanie miejsce pobytu aż do otrzymania wolności, która powinna nastąpić w końcu czerwca, ale jest możliwość wypuszczenia mnie za kaucją. […] Nie chcę, dobrze mnie posłuchaj, nie chcę, żebyś zachorowała z mojej winy. [...] Wyobraź sobie, że wyjechałem w długą podróż, że nic mi nie grozi i że niedługo się zobaczymy".

30 marca 1984 roku wszczęto śledztwo, a równolegle Służba Bezpieczeństwa rozpoczęła tzw. sprawę operacyjnego rozpracowania o kryptonimie „Podróżnik". Miała ona doprowadzić do „udokumentowania prowadzenia wrogiej działalności przeciwko podstawowym interesom PRL i pociągnięcia go do odpowiedzialności karnej" oraz „ustalenia i rozpoznania" odbiorców materiałów „celem kontroli ich działalności lub pociągnięcia do odpowiedzialności". Naturalnie zebrano podstawowe informacje na temat figuranta: jego wygląd, stan cywilny, miejsce pracy. Zanotowano także, że był to sympatyk ruchu „wynikającego z helsińskiej konferencji KBWE dot. ochrony praw człowieka i obywatela".

Plan czynności, które SB uznała za niezbędne do wykonania, zakładał przede wszystkim przesłuchanie podejrzanego. Ponadto polecano zdjęcie linii papilarnych i „przy pomocy biegłych określenie przeznaczenia i wykorzystania zatrzymanego sprzętu i materiałów". Warto dodać, że na materiałach nie odnaleziono żadnych odcisków palców, co wydaje się sprawą niezwykłą, skoro przy tym i poprzednich załadunkach nie dbano o zatarcie śladów. Fakt ten będzie miał znaczenie w późniejszym procesie, świadcząc zdecydowanie na korzyść oskarżonego.

Adwokat bez wizy

Śledztwo obejmowało także zamówienie u biegłych ekspertyzy znalezionego sprzętu i literatury. W tej ostatniej sprawie Okręgowy Urząd Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk w Szczecinie przygotował obszerną analizę, konkludując, że tylko trzy z zarekwirowanych tytułów uznano za możliwe do rozpowszechnia w Polsce.

5 kwietnia 1984 roku mjr Żmijewski meldował do Warszawy o zgłoszeniu się do prokuratury Jacquesa Moutteta, konsula Wydziału Konsularnego Ambasady Francji w Warszawie, z wnioskiem o zgodę na widzenie z Jackym Challotem. Podjęto wówczas rozmowy na temat zwolnienia Challota za 1 mln zł kaucji (co stanowiło kilkudziesięciokrotność zarobków aresztanta). Prawną pomoc dla aresztowanego zapewniała także ambasada w Warszawie. Po tym, jak polskiej wizy nie uzyskał Georges Kiejman, jeden z najsłynniejszych francuskich adwokatów, obrońcą Challota został znany szczeciński mecenas Roman Łyczywek, którego wspomagał później Tadeusz de Virion.

Pierwsze wysiłki władz zmierzały do przechwycenia Bernarda Debut, z którym, według stworzonej przed wyjazdem legendy, Challot miał się spotkać 25 marca. Z żalem musiano zanotować: „Podjęte czynności nie doprowadziły do ustalenia łącznika". Bardzo szybko stwierdzono także, że taka osoba nie przekroczyła polskiej granicy ani też nie składała podania o wizę w polskich placówkach konsularnych.

Inspektorat I WUSW, zajmujący się wywiadem, próbował ustalić faktycznych nadawców przesyłki – bezskutecznie: „Nie uzyskano również danych pozwalających na rozszerzenie zakresu sprawy

Fot. AIPN



Jacky Challot

Fot. AIPN

IPN BU 1368/20513

Notatka oficera Wojsk Ochrony Pogranicza dotycząca wykrycia materiałów dla opozycji w PRL przemycanych przez francuskiego kuriera

w wyniku wielokrotnych przesłuchań oraz operacyjnej kontroli figuranta przez AC". Użyty skrótowiec AC to szczególnie przykra dla Challota agentura celna.

W trakcie tymczasowego aresztowania kilkukrotnie przesłuchiwano podejrzanego. Challot zeznawał, że przyjechał do Polski po raz pierwszy w sierpniu 1981 roku wraz z dwoma kolegami. Odmówił podania ich nazwisk, podobnie jak adresów osób, u których się zatrzymywali. Francuz stwierdzał także, że w czasie tej podróży zapragnął dokładniej zwiedzić Polskę, co było przyczyną jego kolejnych powrotów, a wybrał jako sposób podróży konwoje humanitarne, gdyż była to tania forma podróżowania. W przypadku ostatniego wyjazdu zeznał, że rozmawiał z nieznanym mu bliżej obywatelem francuskim imieniem Serge, który poinformował go, że poza oficjalnym ładunkiem będzie wiózł materiały nielegalne. Challot wyjaśnił także, że przemytem zakazanych przedmiotów zajmował się po raz pierwszy. Odmówił jednak podania danych personalnych i adresów, stwierdzając, że nie miały one nic wspólnego z działalnością, za którą został zatrzymany, i nie chce tych osób narażać na jakiekolwiek przykrości.

Przestępca szkalujący PRL

6 czerwca prokurator Maciej Andrecki wydał postanowienie o przedstawieniu zarzutów: „W dniu 23 marca 1984 roku w Świnoujściu, działając w grupie przestępczej prowadzącej działalność polegającą na sporządzaniu i rozpowszechnianiu w kraju i za granicą publikacji zawierających fałszywe wiadomości mogące wyrządzić poważną szkodę interesom Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej oraz w których lżono i wyszydzano polską Rzeczpospolitą Ludową i jej naczelne organy, [Challot] przywiózł w tym celu z Francji do Polski 788 sztuk książek, publikacji i broszur zawierających takie treści celem ich dalszego rozpowszechniania. Oraz [...] zataił wprowadzenie na polski obszar celny 5 powielaczy i części do tych powielaczy, 8 kg farby drukarskiej, matryc powielaczowych i znaczącej liczby innych materiałów poligraficznych łącznej wartości 918 250 zł. Naruszając przez to ograniczenia przywozu tego rodzaju przedmiotów i narażając Skarb Państwa na straty".

Zwrócić należy uwagę na fakt, który wówczas oburzał samego oskarżonego: zarzut działania w grupie przestępczej. Z tego względu Challot odmówił podpisania postanowienia o przedstawieniu zarzutów. Podczas przesłuchań Francuz nie wydał nikogo z Solidarności, nie zdradził adresów i numerów telefonów. Pobyt w areszcie raczej wzmocnił jego sympatię dla Solidarności i generalnie Polski, chociaż naturalnie nie dotyczyło to władz komunistycznych. Pobyt w szczecińskim areszcie śledczym – zwłaszcza dla człowieka dotychczas bez doświadczeń więziennych, przybywającego z Zachodu – mógł być szokujący. Sam fakt pozbawienia wolności, rygor, towarzystwo kryminalistów, obcy język i osamotnienie stanowiły bez wątpienia dotkliwe uciążliwości. Do tego dochodziło kiepskie wyżywienie: namiastka kawy, pół bochenka chleba i margaryna z rana, zupa w porze obiadowej oraz zupa mleczna na kolację.

Aresztowany otrzymywał bardzo dużo listów z Francji, często od osób anonimowych. Listy te, czasem bardzo krótkie, np. o treści „W imię praw człowieka zwolnić Jacky'ego Challota", czasem znacznie dłuższe, dodawały otuchy aresztowanemu i były znakiem, że jego sprawa stała się nad Sekwaną bardzo głośna. Listy protestacyjne podpisywali zarówno artyści, tacy jak pierwsza dama francuskiego kina Simone Signoret, jak i ludzie nauki, w tym nobliści. Niewątpliwie szczególne znaczenie dla powstania tak szerokiego ruchu na rzecz uwolnienia Challota miała postawa jego rodziny, przede wszystkim siostry i brata.

Proces rozpoczął się 27 czerwca 1984 roku w Sądzie Rejonowym w Świnoujściu. Rozprawie przewodniczył sędzia Jerzy Nowicki, a za stołem zasiadło także dwóch ławników. Oskarżał prokurator Ludwik Poradzewski. Obrońcami byli zaś Roman Łyczywek i Tadeusz de Virion. Na rozprawę, nie bez trudności, mogli przybyć rodzina oskarżonego oraz dziennikarze. Challota skazano na dwa lata pozbawienia wolności i 500 tys. zł grzywny. Wyrok pozostawiał otwartą drogę do skorzystania z możliwości prawnej, która polegała na tym, że obcokrajowcy skazani na kary do trzech lat pozbawienia wolności, mogli zamienić więzienie na grzywnę.

3 lipca postanowieniem sędziego Nowickiego areszt tymczasowy został uchylony. Cztery dni później ten sam sędzia wydał postanowienie o zamianie kary pozbawienia wolności na grzywnę w wy lipca 1984 roku, Challot wśród drwin i poniżających zachowań strażników więziennych opuścił areszt i odleciał ze Szczecina przez Warszawę i Frankfurt nad Menem do Paryża.

Służba Bezpieczeństwa tak kończyła swoje „rozpracowanie": „Z dniem 1.07.84 nastąpiło uprawomocnienie się wyroku. Wymieniony z dniem 3.07.1984 r. został zwolniony z zakładu karnego po zamianie kary więzienia na 600 tys. zł grzywny. Po zwolnieniu z zakładu udał się do ambasady francuskiej, po czym w tym samym dniu opuścił terytorium PRL, udając się do Francji". Jednocześnie Challota wpisano na listę osób niepożądanych w PRL na okres pięciu lat.

Walki o wolność ciąg dalszy

Dla Jacky'ego Challota czas działania na rzecz wolności się nie zakończył. Jego późniejsza praca polegała przede wszystkim na szukaniu sprzętu dla polskiego podziemia i negocjowaniu jak najlepszych cen przy jego zakupie. Zajmował się też kontaktami z francuskimi związkowcami. Gdy w 1989 roku zamknięto biuro Solidarności w Paryżu, rozpoczął pracę na rzecz opozycji w Rumunii, zajmował się szukaniem sponsorów i sprzętu oraz organizowaniem transportów humanitarnych z darami dla tamtejszych sierocińców.

31 sierpnia 2010 roku został odznaczony przez kapitułę Europejskiego Centrum Solidarności – wraz z Thomasem Johanssonem, Karin Wollf i Donną Baranski-Walker – Medalem Wdzięczności. Dwa tygodnie później (17 września) w Pałacu Prezydenckim przyjął Krzyż Oficerski Orderu Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej.

dr Radosław Ptaszyński – politolog, socjolog i historyk, adiunkt w Instytucie Historii i Stosunków Międzynarodowych Uniwersytetu Szczecińskiego, członek Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Francuskiej

„Westerplatte broni się nadal”

Jerzy Eisler



Fot. Filmoteka Narodowa

Obrońcy na pozycjach: w środku Józef Nalberczak w roli kaprala Szamlewskiego

Gdzie leży granica poświęcenia? Jaki jest sens walki do końca? Kogo można nazwać bohaterem, a kogo tchórzem? W historii obrony Westerplatte – opowiedzianej przez Stanisława Różewicza – jak w soczewce skupiają się pytania, które można by postawić przy niemal każdym epizodzie z Września 1939 roku. Choć zdaniem części krytyków *Westerplatte* to wcale nie jest film o Wrześniu...

Po raz pierwszy film Stanisława Różewicza *Westerplatte* obejrzałem kilkanaście dni po jego polskiej premierze, która miała miejsce 1 września 1967 roku (światowa prapremiera – co niezbyt często zdarza się w wypadku dzieł polskiej produkcji – odbyła się wcześniej, 12 lipca, na Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Moskwie). Byłem wówczas uczniem pierwszej klasy warszawskiego Liceum Ogólnokształcącego im. Marii Konopnickiej. Nasz wychowawca i zarazem nauczyciel języka polskiego, Tadeusz Stefańczyk – z pewnością jeden z najwybitniejszych pedagogów, jacy kiedykolwiek mnie uczyli – zabrał nas do kina. Następnego dnia rozmawialiśmy na jego lekcji o sensie, znaczeniu i charakterze wojennego bohaterstwa. Dyskutowaliśmy o tym, czy warto było tak długo i w tak niesprzyjających okolicznościach bronić Westerplatte? Spieraliśmy się o to, w którym miejscu przebiega granica między walką racjonalną, przynoszącą choćby tylko korzyści propagandowe („ku pokrzepieniu serc”) a bezsensowną rzezią prawie bezbronnych ludzi? Czy tą granicą jest wyczerpanie zapasów amunicji, medykamentów i żywności? Czy może wyznacza ją odpowiedzialność za rannych kolegów, którzy z powodu braku właściwej pomocy medycznej z zewnątrz skazani są na nieuchronną śmierć? A może – bez oglądania się na wszelkie konsekwencje – walkę powinno się prowadzić do straceńczego końca, do ostatniego żołnierza, do ostatniej kropli krwi?

Burzliwa i pełna emocji dyskusja – z trudem moderowana przez nauczyciela, który próbował nią kierować i przy okazji uczyć nas, w jaki sposób powinno się prowadzić kulturalną, merytoryczną debatę (np. nigdy nie atakować adwersarzy *ad personam*) – nie skończyła się wraz z dzwonkiem. Nawet nie wyszliśmy na przerwę i za zgodą nauczyciela przeciągnęliśmy dysputę na godzinę wychowawczą. Potem, już z innym nauczycielem – za jego zgodą i z jego udziałem – spieraliśmy się jeszcze na kolejnej lekcji, matematyki lub fizyki. I naprawdę nie chodziło nam o to, aby „zagadać” nauczyciela, by tego dnia nas nie odpytywał. Nie wiem, czy dzisiejsze piętnastolatki są w stanie właściwie zrozumieć tę opowieść. Najwyższa jednak pora, żeby spróbować odpowiedzieć na pytanie, czym wyróżniał się film, który wywołał tak niezwykłe reakcje moich koleżanek i kolegów z klasy.

Ważny dźwięk

Przede wszystkim należy przypomnieć, że Stanisław Różewicz nie po raz pierwszy podjął temat Września. Miał już w dorobku – zrealizowany dziewięć lat wcześniej – znakomity paradokumentalny film *Wolne miasto*, który opowiadał o obronie Poczty Polskiej w Gdańsku. Trudno się zatem dziwić, że po sukcesie tamtego obrazu, postanowił posłużyć



Fot. Filmoteka Narodowa

Kto bohaterem, a kto tchórzem? Kapitan Dąbrowski (Arkadiusz Bazak) i mjr Sucharski (Zygmunt Hübner)

się podobną formą. Sprzyjał temu fakt, że autorem scenariusza został ponownie Jan Józef Szczepański, który przy jego pisaniu wykorzystał bogatą dokumentację historyczną. Film – jak wiadomo – opowiada prawdziwą historię nierównej siedmiodniowej, dramatycznej walki prowadzonej przez stuosiemdziesięciodwuosobową załogę Polskiej Składnicy Tranzytowej w Wolnym Mieście Gdańsku we wrześniu 1939 roku. Twórcy zadbali o najdrobniejsze szczegóły. Zdjęcia plenerowe wtedy jeszcze mogły zostać zrealizowane w naturalnej scenerii. I, jak w przypadku *Wolnego Miasta*, posłużono się zręcznie wmontowanymi w całość zdjęciami dokumentalnymi, przede wszystkim ukazującymi ostrzał półwyspu przez artylerię pokładową pancernika „Schleswig-Holstein" oraz bombardowanie dokonane przez samoloty Luftwaffe. Sprzyjał temu fakt, że film był czarno-biały. Jednocześnie wiele ujęć nakręconych przez wybitnego operatora, Jerzego Wójcika, zostało wystylizowanych na kadry znane nam z archiwalnych materiałów ikonograficznych.

Autorem doskonałej muzyki do filmu *Westerplatte* został znajdujący się wówczas u progu wielkiej kariery Wojciech Kilar. Zresztą muzyka czy – szerzej – sfera dźwięków odgrywa w tym filmie trudną do przecenienia rolę. Gdy w początkowej scenie – jeszcze przed wybuchem wojny – podoficerowie, kręcąc gałką radiową, szukają Radiostacji Warszawa, najpierw „łapią" wiadomości BBC z Londynu, potem „przebijają się" przez niemieckie marsze wojskowe i wreszcie rozlega się głos Hanki Ordonówny śpiewającej znany szlagier Henryka Warsa *Na pierwszy znak*. Później radio staje się łącznikiem ze światem zewnętrznym.

Na początku walki widzimy więc, jak dowódca obrony Westerplatte, mjr Henryk Sucharski, znakomicie zagrany przez Zygmunta Hübnera, słucha radia: to Warszawa nadaje jednoznacznie niedobre wiadomości. Naprawdę ważna jest tylko jedna z nich, powtarzana we wszystkich komunikatach radiowych: „Westerplatte broni się nadal. Naczelny Wódz pozdrawia bohaterską załogę". Potem widzimy, jak zastępca Sucharskiego, kpt. Franciszek Dąbrowski (Arkadiusz Bazak), słucha wiadomości nadawanych po niemiecku. Gdy jednak później znów niemieckie radio donosi o kolejnych sukcesach Wehrmachtu, rozkazuje „złapać" Warszawę. Wtedy rozlega się poważna, niemal żałobna muzyka. Dąbrowski powtarza z naciskiem: „Warszawę" i w odpowiedzi słyszy: „To jest Warszawa". I wreszcie, muzyka jeszcze raz odgrywa w tym filmie ważną rolę, na pewno czegoś więcej niż tylko tła. Mam na myśli scenę, w której mjr Sucharski wraz z towarzyszącymi mu parlamentariuszami spotyka się z Niemcami, aby omówić warunki kapitulacji. Niemcy wiwatują, a w tle rozlega się nazistowski hymn *Horst-Wessel-Lied*.

Warto też przypomnieć, że angażując aktorów do tego filmu, kierowano się w dużym stopniu ich fizycznym podobieństwem do poszczególnych obrońców Westerplatte, których mieli kreować na ekranie. Poza już wymienionymi w filmie występują więc m.in: Bogusz Bilewski, Andrzej Kozak, Mieczysław Milecki, Zdzisław Mrożewski, Józef Nalberczak, Bogdan Niewinowski, Stanisław Niwiński, Józef Nowak, Janusz Paluszkiewicz, Tadeusz Pluciński, Bolesław Płotnicki, Tadeusz Schmidt, Mieczysław Stoor, Roman Wilhelmi i Andrzej Zaorski. Co ciekawe, przez prawie dwie godziny na ekranie nawet na chwilę nie pojawia się żadna kobieta.

Z kronikarską rzetelnością

Wszystko to razem spowodowało, że twórcy uzyskali efekt filmu paradokumentalnego. Dlatego Aleksander Jackiewicz, recenzując film na łamach „Życia Literackiego", mógł stwierdzić: „Sprawnie zostało to opowiedziane. Z kronikarską rzetelnością". Wszelako Andrzej Werner zwracał potem uwagę, że „nie jest to film o Wrześniu. Jest to film o zamkniętym, wyizolowanym wydarzeniu, które działo się wprawdzie we wrześniu 1939 roku, ale miało niezmiernie ograniczone relacje z całością ówczesnego teatru historii. Nie znaczy to nawet, że było ono wyjątkowe, niepowtarzalne, nietypowe czy opozycyjne w stosunku do tego, co działo się gdzie indziej – nie, po prostu było osobne. Wyizolowana w sensie militarnym bowiem była sytuacja obrońców przyczółka, a co ważniejsze – równie wyizolowana była ich świadomość. […] również i twórca stara się wiedzieć tyle, ile wiedzieli wówczas jego bohaterowie. Od reszty stara się abstrahować. I udaje mu się to na tyle, na ile w ogóle jest możliwe. Stąd film jest filmem o Westerplatte, a nie o Wrześniu. Jest opowieścią o faktach i towarzyszącej im świadomości – bez jakichkolwiek prób uogólnienia".

Później pojawiły się jednak zarzuty, że tak wierne w szczegółach dzieło jest zarazem zafałszowane w generaliach. Chodziło przede wszystkim o to, że mjr Sucharski – ukazany w filmie

jako świetny dowódca oraz bohater – w rzeczywistości przeżył głębokie załamanie, wynikające z ciężaru odpowiedzialności za ludzi, który dźwigał na swoich barkach. Wówczas to dowództwo miał przejściowo przejąć kpt. Dąbrowski. Co więcej, pojawiła się zerojedynkowa koncepcja (mająca swoich zaprzysięgłych zwolenników), że bohaterem był albo Sucharski, albo Dąbrowski. Jeżeli ktoś mówił, że bohaterskim dowódcą obrony Westerplatte był kpt. Dąbrowski, to mjr. Sucharskiego nazywał tchórzem. W tym ujęciu nie przyjmowano do wiadomości, że obaj mogli być bohaterami. W jakimś stopniu z tej koncepcji zrodził się film *Tajemnice Westerplatte* (reż. Paweł Chochlew), który wszedł na ekrany w lutym tego roku. Nie spotkał się on zresztą z takim przyjęciem, jak przed laty obraz Stanisława Różewicza.

Należy więc przypomnieć, że we wszystkich możliwych plebiscytach i sondażach został on uznany za najlepszy polski film 1967 roku. Ponadto zdobył Srebrny Medal na V MFF w Moskwie oraz nagrody I stopnia Ministerstwa Kultury i Sztuki, jak również Ministerstwa Obrony Narodowej. Nie tylko cieszył się uznaniem wielu widzów, lecz także spotkał się z bardzo dobrym przyjęciem ze strony recenzentów. Wacław Sadkowski pisał na łamach „Trybuny Ludu", że w tym filmie zadziwiają „przede wszystkim jego pełna powściągliwość, dyscyplina i dojrzałość artystyczna. Nie ma tu żadnych ambicyjek ani intencyjek, które by rozpraszały skupienie sił artystycznych na problemie zasadniczym i odrywały odeń uwagę widza. Nie ma tu żadnych zamysłów »ponad stan«, ponad możliwości artystyczne twórców – wszystko, co było w zakresie takiej konstrukcji do powiedzenia i dowiedzenia, zostało powiedziane i dowiedzione, bez zbędnych dygresji, bez powtórzeń i bez najmniejszego nalotu pompatycznego lub tzw. »filozoficznego zadęcia«".

Zachwyca do dziś

Zygmunt Kałużyński, na ogół nader krytyczny wobec polskich filmów wojennych, tym razem wydawał się ukontentowany i na łamach „Polityki" napisał: „Przez cały ciąg filmu nie opuszczamy Westerplatte i widzimy zdarzenia wyłącznie oczyma załogi. Nawet Niemców oglądamy tylko tak, jak widać ich na przeciwległym brzegu; gdy Hitler przyjeżdża do Gdańska, dobiega jedynie bicie dzwonów; ryk tłumów. Również o uczestnikach obrony dowiadujemy się tyle, ile widać po nich w ciągu tygodnia oporu […]. *Westerplatte* zdołał oswobodzić się, być może jako pierwszy dotychczas film o wojnie, od powierzchownego traktowania wypadków naszej wojennej historii, uprawianego również w dziełach naszej sztuki".

Na koniec nie pozostaje mi nic innego niż stwierdzić, że film sprzed prawie pięćdziesięciu lat nic się nie zestarzał. Nadal reprezentuje wszystko to, co zawsze było atutem polskich filmów wojennych. Przede wszystkim znakomicie i bardzo realistycznie zrealizowane sceny batalistyczne, doskonałe aktorstwo oraz ogromną troskę o detale. Jedynym mankamentem tego filmu jest to, że nie został on zrealizowany w kolorach, co w wypadku filmu rozgrywającego się w tak efektownych plenerach jest sprawą niebagatelną.

prof. dr hab. Jerzy Eisler – historyk, dyrektor Oddziału IPN w Warszawie; zajmuje się dziejami PRL, a także najnowszą historią Francji i historią kina; autor m.in. *Polski rok 1968* (2006), *„Polskie miesiące", czyli kryzys(y) w PRL* (2008)



Nawet Niemcy byli pod wrażeniem męstwa obrońców Westerplatte: mjr Sucharski składa kapitulację na ręce płk. Henkego (Andrzej Krasicki)

Fot. Filmoteka Narodowa

Pepance Boforsa

Michał Mackiewicz



Fot. Muzeum Wojska Polskiego

Przewaga armii niemieckiej nad polską we wrześniu 1939 roku, szczególnie w liczbie czołgów, była niekwestionowana. Przeciwko zagonom pancernym Hitlera wystawiliśmy najlepszą broń, którą wówczas dysponowaliśmy – armatki przeciwpancerne 37 mm wz. 36, na licencji Boforsa. Kilka z nich zachowało się do dziś.

Druga połowa lat trzydziestych XX wieku była dla polskiej armii okresem szczególnym. Dobrze już rozwinięty przemysł zbrojeniowy i znaczne nakłady finansowe pozwoliły przyspieszyć proces jej modernizacji, tak ważny ze względu na wzrastający potencjał militarny naszych sąsiadów. Wojsko Polskie wyposażono w nowoczesny sprzęt, reprezentujący zazwyczaj obcą myśl techniczną, ale produkowany w polskich zakładach zbrojeniowych.

W polu zainteresowań naszych wojskowych znalazła się także broń przeciwpancerna, co było spowodowane gwałtownym rozwojem czołgów, który wywołał ważkie zmiany w doktrynie militarnej. Nie ulegało wątpliwości, że klasyczna artyleria polowa nie wystarczy (kwestia amunicji, gabarytów, balistyki) i dlatego należało zaprojektować od podstaw oręż do walki z bronią pancerną. Mimo długoletnich wysiłków, rodzimym konstruktorom nie udało się stworzyć armaty odpowiadającej wojskowym wymogom, a więc broni o niewielkiej masie, dużej prędkości początkowej pocisku i wysokiej szybkostrzelności. Przez jakiś czas próbowano nawet stworzyć broń, która pełniłaby jednocześnie funkcje działa wsparcia piechoty i armaty przeciwpancernej. Koncepcja ta okazała się ślepym zaułkiem (m.in. armaty dwulufowe).

Armaty zza morza

Z pomocą przyszli Szwedzi, a konkretnie firma Bofors Aktiebolaget, słynąca z prężnie działającego biura konstrukcyjnego. Nasi północni sąsiedzi zaoferowali gotowy produkt, armatę kalibru 37 mm. Kupiono trzysta egzemplarzy tego działa, ale zakup na większą skalę okazał się nieopłacalny, dlatego też przedmiotem sprzedaży stała się umowa licencyjna pozwalająca uruchomić seryjną produkcję boforsów w krajowych zakładach. Wybór padł na fabrykę Stowarzyszenia Mechaników Polskich z Ameryki S.A. w Pruszkowie. Tamtejszy zakład szybko opracował dokumentację i w rekordowo krótkim czasie uruchomił montaż. Podzespoły pochodziły od podwykonawców (np. tarcze i odkuwki luf z Huty Baildon-Pokój,



Obsługa armaty wz. 36

Fot. Muzeum Wojska Polskiego

celowniki zaś z Polskich Zakładów Optycznych). Do początku 1937 roku dostarczono armii sto armat wz. 36 – tak bowiem ujęto je w wojskowej nomenklaturze. Od października 1936 roku miesięczna produkcja wynosiła dwadzieścia armat, a w roku 1939 wzrosła do czterdziestu. Z czasem konstrukcję poddano wielu drobnym modyfikacjom. Pruszków był głównym producentem – do wybuchu wojny zdołał dostarczyć blisko tysiąc armat – ale nie jedynym. Nieco ponad dwieście wyprodukowała rzeszowska filia poznańskich zakładów H. Cegielskiego S.A., która także sprowadzała podzespoły od różnych krajowych kooperantów. Łącznie obaj producenci wyprodukowali prawdopodobnie 1175 armat wz. 36 w wersji holowanej (pepance Boforsa wytwarzano także w wersji czołgowej – dla 7TP – oraz fortecznej). Ocenia się, że 120–146 armat zostało wyeksportowanych, m.in. do republikańskiej Hiszpanii i Wielkiej Brytanii.

Na stanowisku bojowym armata wz. 36 ważyła 380 kg, miała dwuogonowe łoże i tarczę ochronną; lufę zaopatrzono w hamulec wylotowy. Duża szybkostrzelność była zasługą półautomatycznego zamka. Do ręcznie wykonywanych czynności należało jedynie wprowadzenie naboju do komory i naciśnięcie mechanizmu spustowego. Stosowano trzy rodzaje pocisków: przeciwpancerny, przeciwpancerny smugowy i kruszący; masa tego pierwszego wynosiła 0,7 kg, a wylatywał z lufy z prędkością 800 m/s. Zasięg skutecznego strzału do czołgów określano na 1000 m; szybkostrzelność teoretyczna sięgała 10 strz./min.

We wrześniu 1939 roku

W chwili wybuchu wojny Wojsko Polskie posiadało prawdopodobnie ponad 1300 armat wz. 36 (produkcja krajowa i egzemplarze zakupione w Szwecji). Znajdowały się one na wyposażeniu kompanii przeciwpancernych w jednostkach piechoty (dziewięć armat w pułku wg etatu) i plutonów przeciwpancernych w kawalerii (cztery); w piechocie działon (obsługa jednego działa) liczył siedmiu żołnierzy: działonowy, celowniczy, ładowniczy, trzech amunicyjnych i woźnica; w kawalerii dochodziło jeszcze dwóch koniowodnych. Zasadniczo armaty wz. 36 miały ciąg konny (doczepiano je do przodka z amunicją), jedynie w jednostkach motorowych był on mechaniczny (np. w 10. Brygadzie Kawalerii znajdowało się 28 armat).

Pepanców Boforsa nie zabrakło na żadnym odcinku frontu (np. na Westerplatte znajdowały się dwie armatki). Wszędzie dowodziły swojej wysokiej skuteczności. Bez wątpienia należały do najlepszej broni w swojej klasie, przewyższając pod względem parametrów bojowych swojego niemieckiego odpowiednika – armatę PaK 35/36. Nasza armatka była lżejsza, miała większą prędkość początkową pocisku i większy zasięg. Z odległości 0,5 km przebijała pancerną płytę grubości 31 mm, będąc groźna właściwie dla wszystkich niemieckich wozów bojowych oraz większości sowieckich. Niewielka masa umożliwiała dość swobodne manewrowanie na polu walki, co było konieczne wobec ciągłej potrzeby wyszukiwania nowych stanowisk ogniowych.



Fot. Muzeum Wojska Polskiego

Armata o numerze seryjnym 137; wydobyta na warszawskim Bródnie w 1979 roku



Ćwiczenia artylerii przeciwpancernej

Fot. Muzeum Wojska Polskiego

Po 1939 roku polskie armaty znalazły się na uzbrojeniu armii rumuńskiej i fińskiej. W tej ostatniej pozostawały na stanie do lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku. Kilka z nich udało się pozyskać w ostatnich latach do krajowych zbiorów (jedna jest eksponowana w Muzeum Wojsk Lądowych w Bydgoszczy). Z kolei działka wyeksportowane przed wojną do Wielkiej Brytanii zostały użyte przez Anglików w walkach w Afryce Północnej.

Bezcenna pamiątka

W Polsce zachowało się zaledwie kilka armat wz. 36. Do najcenniejszych należy jeden z trzech egzemplarzy z kolekcji Muzeum Wojska Polskiego. Armata o numerze seryjnym 137 (z produkcji szwedzkiej) wydobyta została w 1979 roku w trakcie prac ziemnych przy budowie Szpitala Bródnowskiego. Zachowała się w bardzo dobrym stanie technicznym, działały mechanizmy podniesieniowy i kierunkowy, w lufie wciąż tkwił nabój. Obok odnaleziono polski hełm wz. 31, saperkę oraz trzy naboje kal. 37 mm. Dzięki informacjom zamieszczonym w prasie dość szybko udało się ustalić, że znajdowała się ona na uzbrojeniu kompanii przeciwpancernej 79. pułku piechoty Strzelców Słonimskich. W 1939 roku pułk walczył w składzie mężnej 20. Dywizji Piechoty, wsławionej twardą obroną pod Mławą. 12 września wycofał się do Warszawy, zajmując pozycje na Bródnie (odcinek „Golędzinów"). Na przedpolu pozycji pułku znajdowało się wysunięte stanowisko plutonu przeciwpancernego (trzy armaty) dowodzonego przez por. Kazimierza Rachwała. Ogień polskich pepanców odpierał kilkakrotnie niemieckie ataki. Dopiero 17 września wskutek ataku bombowców nurkujących Ju-87 Stuka pozycja została zniszczona. Cała obsługa armatki zginęła, poległ także dzielny dowódca plutonu, uderzony w głowę odłamkiem lotniczej bomby. Masy ziemi z leju po bombie przysypały stanowisko wraz z działkiem. Odkopano je dokładnie po czterdziestu latach.



Jaszcz amunicyjny do armaty wz. 36

Fot. Muzeum Wojska Polskiego

Michał Mackiewicz – archeolog, pracownik Działu Historii Wojskowości Muzeum Wojska Polskiego; zajmuje się historią wojen i uzbrojenia oraz archeologią militarną; autor licznych artykułów o tematyce historyczno-wojskowej, współautor książki *Kircholm–Kluszyn, zwycięstwa husarii* (2011)

Orły Związków Strzeleckich

Tomasz Zawistowski

Symbol orła siedzącego na tarczy amazonek, powstały w XIX wieku, powrócił na czapki polskich żołnierzy na krótko przed wybuchem I wojny światowej. Używali go członkowie paramilitarnej organizacji, która w chwili wybuchu wojny dała początek Legionom Polskim.



Orzeł „kadrowy" po Józefie Hudecu, członku Związku Strzeleckiego i szeregowym IV Baonu 1. pp z 1914 roku

Fot. ze zbiorów autora

Dowódca krakowskiego plutonu tej formacji po powrocie z zawodów strzeleckich organizowanych „we Wiedniu" wiosną 1914 roku wspominał, jak dalece nasze godło było wówczas egzotyczne i nierozpoznawalne: „Jako wesołe i ciekawe nieporozumienie przytoczyć muszę rozmowę, jaką miałem z jakimś poczciwym wiedeńczykiem. Zaczepia mnie i pyta: – *Sind Sie deutsche Soldaten?* [Czy panowie są niemieckimi żołnierzami?] – Dlaczego? – A bo panowie tak ładnie musztrujecie i macie taki »Reichsadler« [Orzeł Rzeszy] na czapce. – Nie, my strzelcy z Krakowa, a ten »Reichsadler« to nie niemiecki, lecz byłego Królestwa Polskiego z roku 1831. – *Ah! So!* – i kolosalne zdziwienie".

Organizacja Związków Strzeleckich została zarejestrowana w roku 1910 we Lwowie jako legalne ramię konspiracyjnego Związku Walki Czynnej (w Krakowie działała pod nazwą Towarzystwo „Strzelec"). Galicja w strukturach Organizacji podzielona była na trzy okręgi: lwowski, krakowski i rzeszowski. Do chwili wybuchu wojny na terenie Galicji zorganizowano ponad dwieście związków, w których zrzeszonych było ok. 8 tys. członków.

Projektant z ASP

W roku 1913 nastąpiło ostateczne określenie wyglądu mundurów strzeleckich i oznak stopni. Od 19 lutego 1913 roku rozkazem Komendy Głównej Związków Strzeleckich ustalono jako organizacyjne nakrycie głowy czapkę maciejówkę w kolorze munduru, którą początkowo noszono bez żadnego godła. W kwietniu 1913 roku student krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych, późniejszy generał Wojska Polskiego Czesław Jarnuszkiewicz, który podówczas prowadził dla „Strzelca" wykłady o umundurowaniu i organizacji armii rosyjskiej, otrzymał od komendanta Józefa Piłsudskiego polecenie uzupełnienia tego braku:

„W swoim czasie [...] zwrócił się do mnie Komendant Główny z poleceniem zaprojektowania dwóch odznak. Jedną z nich miała być odznaka na czapkę, drugą – odznaka oficerska Związku.

Szczęśliwie kuzynka moja śp. Maria Jarnuszkiewiczowa, u której mieszkałem w Krakowie, była w posiadaniu sztancy, służącej do bicia orłów na czapki z epoki Królestwa Kongresowego. Sztanca ta, a raczej orzeł z niej odciśnięty, posłużył mi jako wzór do projektu. Nie mogłem bowiem, projektując odznakę dla przyszłej kadry armii polskiej, pominąć tradycji. Naszkicowałem więc odpowiednio



Fot. ze zbiorów autora

Edward Rydz „Śmigły”, komendant okręgu lwowskiego Związku Strzeleckiego, późniejszy marszałek Polski; na czapce orzeł „kadrowy”

pomniejszonego orła, przedstawiając dwie odmiany projektu: jedną, orzeł na tarczy, na której wypisana nazwa organizacji »Strzelec«, drugą, ten sam orzeł noszony na kokardzie o barwach narodowych. Załączona fotografia dokumentu, który znajduje się w moim posiadaniu, ilustruje dokładnie obydwa projekty (Kazimierz – to mój pseudonim ówczesny).

Projekt ten w 1-szej odmianie został przyjęty, z tą zmianą, że zamiast napisu »Strzelec«, została umieszczona litera »S«. [...]

Reasumując wykonanie, udaliśmy się z ówczesnym Komendantem okręgu (Ryszardem Trojanowskim) do grawera Czaplickiego przy Rynku w Krakowie, między ulicą Floriańską a Szpitalną, i tam projekt uległ dalszej zmianie – została mu odcięta korona, co widać na załączonej fotografii projektu. Tam więc [...] została wykonana sztanca do pierwszego orła i tam został wykonany sam orzeł. Przestrzeń między tarczą amazonek a skrzydłami i nogami orła nie została wycięta tylko ze względu na koszt, który uległby zwiększeniu. Do wykonania dałem grawerowi zresztą odcisk orła z autentycznej sztancy, którego fotografię załączam. Obie duże sztance ofiarowałem do Muzeum Wojska w Warszawie – przy sztancy orła strzeleckiego załączyłem opis, który prawdopodobnie jest przechowywany w Muzeum Wojska. Druga sztanca, autentyczna, została użyta dla wybicia pewnej ilości orłów dla ułanów [Władysława] Beliny, a w ubiegłym roku do wybicia z niej orłów, zdobiących tak katafalk w Katedrze, jak urnę, w której złożono Wielkie Serce Wodza [Józefa Piłsudskiego]”.

Dwa orły komendanta

Pierwsze dwa orły, wykonane ze srebra, trafiły do rąk komendanta Piłsudskiego, który jednego z nich ofiarował bliskiemu współpracownikowi, Michałowi Sokolnickiemu, prawnukowi i imiennikowi sławnego generała, drugiego zaś podarował wraz z maciejówką Stanisławowi Witkiewiczowi, swemu krewniakowi i jednocześnie entuzjaście czynu legionowego, składając mu wizytę w Lovranie w styczniu 1914 roku. Wkrótce uruchomiono produkcję wielkoseryjną, niemniej różne źródła podają niezgodne daty upowszechnienia się zwyczaju noszenia orłów na czapkach. Najwcześniej, bo na wiosnę 1913 roku, datuje je Michał Sokolnicki, twierdząc, że już podczas odbywających się 11 maja pod Tyńcem ćwiczeń z bronią większość strzelców miała orły na czapkach. Z kolei Tadeusz Żegota-Münnich wspomina, że orły wprowadzono na maciejówki jesienią 1913 roku, tuż po zakończeniu sierpniowej szkoły instruktorskiej Związku Strzeleckiego w Stróży. Wersję tę potwierdzają zdjęcia archiwalne, przedstawiające wejście uczestników szkoły do Zakopanego 19 sierpnia 1913 roku. Na czapkach maszerujących nie ma jeszcze orłów, jakkolwiek dobrze widać strzeleckie oznaki oficerskie, naszyte po raz pierwszy na kołnierze.

Zasady noszenia orłów szczegółowo określał regulamin wydany w końcu 1913 roku przez Komendę Główną Związków Strzeleckich, przy czym orły zostały nazwane bączkami. Słowo to w zaborze austriackim było przyjęte jako nazwa oznaki narodowej umieszczanej na czapce.

Projekt oznaki na czapkę strzelecką z 1913 roku autorstwa Czesława Jarnuszkiewicza



Fot. „Broń i Barwa” 1936, nr 11–12, s. 256

„Regulamin noszenia na czapkach bączków strzeleckich:

1. Od 1-go stycznia 1914 r. jako odznakę Organizacji Związków Strzeleckich wprowadza się metalowe bączki na czapki podług zatwierdzonego przez Komendę Gł. typu. Rozporządzenie niniejsze spowodowane zostało coraz częściej powtarzającym się w czasach ostatnich objawem uzurpowania przez ludzi do organizacyj nie należących lub z niej wydalonych prawa do noszenia munduru strzeleckiego lub czapki strzeleckiej.

2. Bączki nie są na razie obowiązkowymi, pożądanym jest jednak, aby możliwie szybko ujednostajnienie pod tym względem uniformu zostało przeprowadzone.

3. Przy wystąpieniu lub urlopowaniu na czas dłuższy niż miesiąc bączek musi być złożony na ręce Komendanta miejscowego.

4. Wartość bączka w zależności od stanu jego w tym wypadku musi być zwrócona występującemu".

Od 1 maja 1914 roku noszenie orła na czapce było obowiązkowe, jak przykazywał to rozkaz komendanta okręgu krakowskiego ZS, Mieczysława Trojanowskiego „Ryszarda", z 28 marca 1914 roku:

„W myśl rozkazu Kom. Gł. polecającego Komendantom okręgowym wywieranie presji na Komendy lokalne celem szybszego zaopatrzenia podkomendnych w orzełki strzeleckie rozkazem niniejszym wprowadza się obowiązkowe noszenie orzełków strzeleckich na czapkach przez wszystkich obywateli należących do organizacji.

Ob. Komendanci obwodowi i lokalni wydadzą odpowiednie zarządzenia w podwładnych ich organizacjach. Jako ostateczny termin zaopatrzenia wszystkich obywateli w odznaki wyznaczam dzień 1 maja br.".

Orły produkowane w Krakowie trafiły również do oddziałów organizowanych poza Galicją. Jak wspominał Józef M. Smoleński, w czasie przeprowadzonej w marcu 1914 roku przez Józefa Piłsudskiego inspekcji plutonu w belgijskiej miejscowości Glons „staliśmy na zbiórce na peronie w ubraniach cywilnych, ale wszyscy w maciejówkach z orzełkami, sprowadzonymi z Krakowa".

Orły na maciejówkach

W chwili wybuchu wojny maciejówki z „kadrowymi" orłami, dostępne w sprzedaży, trafiły na głowy ludzi chcących zamanifestować swe poparcie dla tworzenia oddziałów polskich, mających walczyć przeciwko Rosji. Zapamiętał to Stanisław Skwarczyński, w sierpniowe dni 1914 roku komendant placu w Oleandrach, później generał Wojska Polskiego: „wśród ludzi pióra rozpoznałem szeregowca Wilhelma Feldmana, stojącego na honorowym posterunku przy gmachu organizującego się NKN [Naczelnego Komitetu Narodowego]. Postarałem się, oczywiście, o odpowiedniejszy dla niego przydział, jak również dla Stefana Żeromskiego, któremu dałem dokument podróży do Kielc; Feliksa Perla [rewolucjonista, socjalista, wcześniej bliski przyjaciel, a w 1914 roku przeciwnik polityczny Piłsudskiego; w chwili wybuchu wojny stanął jednak po jego stronie] wraz z nieodstępną małżonką (oboje w szarych maciejówkach z orzełkiem) i wreszcie: O sensacjo! wodza lewicy-PPS, Feliksa Kohna [wł. F. Kona; w 1920 roku jako członek *Polrewkomu* nie nosił już orzełka na czapce], również w szarej maciejówce z orzełkiem, proszącego mnie o odpowiednie skierowanie".

Orły „kadrowe" produkowane były z grubej blachy białometalowej i mocowane na wzór austriackiego „bączka" czapkowego za pomocą dwóch drucianych omeg. Ten oryginalny, lecz solidny sposób mocowania zastosowano przy pierwszych wersjach orłów legionowych, dopiero w późniejszym okresie ustąpił on miejsca prostszym i tańszym rozwiązaniom.

Wywodzący się z tradycji dziewiętnastowiecznej symboliki Wojska Polskiego orzeł „kadrowy" zdominował pozostałe godła wprowadzone przed wojną. W chwili jej wybuchu był on już tak rozpoznawalnym symbolem, że nawet polityczni przeciwnicy I Brygady, ale



Fot. ze zbiorów autora

Orzeł „kadrowy" na czapce ppor. Adama Dobrodzickiego z I Brygady Legionów Polskich, który przed wybuchem I wojny światowej był członkiem Związku Strzeleckiego

także jej dowódcy, nie próbowali go niczym zastąpić, ograniczając się do zmiany monogramu „S" na „L". Mimo że na innych frontach, przede wszystkim w Formacjach Wschodnich i w Armii Polskiej we Francji, ścierały się różne koncepcje wyglądu godła czapkowego, to siła symbolu opartego na tradycji minionego stulecia i czynie legionowym okazała się dominująca.

Orły „kadrowe" pospołu z oznakami Polskich Drużyn Strzeleckich zdobiły czapki żołnierzy Kompanii Kadrowej, która 6 sierpnia 1914 roku przekroczyła granicę Królestwa Polskiego, rozpoczynając walkę zbrojną przeciwko Moskalom. Godło zaprojektowane przez Czesława Jarnuszkiewicza, bardziej lub mniej dokładnie skopiowane przez kilkunastu wytwórców w Krakowie, Wiedniu i Warszawie, stało się podstawowym symbolem na czapkach żołnierzy Legionów Polskich.

Tomasz Zawistowski – autor trzech tomów monografii polskiego orła wojskowego, urzędniczego i szkolnego *Polskie orły do czapek w latach 1917–1945*

Młodsza siostra *303*

Łukasz Zieliński



Marzenie się spełniło! Wreszcie mamy szansę poprowadzić Brygadę Pościgową do walki z kąśliwymi messerschmittami i ciężkimi od bomb heinklami. Co prawda tylko na planszy i w naszej wyobraźni, ale...

Pojawienie się gry *111* sprawia, że możemy już mówić o systemie, czyli wspólnej części podstawowych zasad dla serii gier. Mechanika zastosowana w *303* z nieznacznymi zmianami sprawdza się z powodzeniem w nowej odsłonie systemu, jak to określam na własny użytek, Prostych Walk Powietrznych. Zanim jednak posmakujemy esencji, obejrzyjmy opakowanie. Pudełko takiej samej wielkości jak *303*, tradycyjnie zafoliowane, a pod folią przyjemna w dotyku delikatna faktura przypominająca tkaninę (płótno?). Bardzo miła dla oka jest zaś stonowana kolorystyka utrzymana w zakresie ciemnych pasteli i szarości. Ma to, paradoksalnie, szansę wyróżnić pudełko na półce wśród pstrokacizny innych gier. Ten więc może niezamierzony czynnik marketingowy też wart jest uwagi, zwłaszcza że pierwszym elementem przyciągającym wzrok jest liczba „111" wkomponowana w biało-czerwoną szachownicę.

Pojedynek między chmurami

Plansza – graficzny majstersztyk! Choć tło to „tylko" sztabówka, to robi o wiele korzystniejsze wrażenie niż poprzedniczka. Różni się też ułożeniem (jest pionowe, a w *303* – poziome), ale to już wynika z przedstawionego teatru działań.

Zasady gry *303* – przypomnienie

W tej szybkiej wojennej grze planszowej dla dwóch osób jeden z graczy, dowodząc myśliwcami RAF, odpiera nalot niemieckiej Luftwaffe. Zadaniem lotnictwa III Rzeszy dowodzonego przez drugiego gracza jest zbombardowanie Londynu. Każdy z graczy dysponuje sześcioma żetonami samolotów, które tak przemieszcza na planszy, nawiązującej graficznie do stołu dowodzenia RAF, by osiągnąć swój cel. Gra podzielona jest na osiem tur, w których mają miejsce kolejno akcje: ruch i atak myśliwców niemieckich, ruch bombowca, ruch i atak myśliwców alianckich. Walki sąsiadujących ze sobą żetonów rozstrzygane są przez rzuty kośćmi. Prawdopodobieństwo zwycięstwa zależy od liczby znaczników strzału ustawianych na celu po fazie ruchu, a te z kolei zależą od liczby przebytych pól podczas fazy ruchu.

Po walce żeton atakujący przelatuje przez swój cel i czeka na fazę ruchu przeciwnika, co sprawia, że sam może stać się celem. Gra kończy się, gdy a) upłynie osiem tur (Niemcom kończy się paliwo, alianci wygrywają) b) bombowiec dotrze nad Londyn (Niemcy wygrywają) c) bombowiec zostanie zestrzelony (alianci wygrywają).

Obraz dopełniają zaznaczone szachownicami polskie lotniska, zasięg ognia dział przeciwlotniczych i cienie sylwetek samolotów określające punkty startowe na początku gry. Jedynym elementem, który nie pasuje do całości, jest „licznik paliwa" (w rzeczywistości licznik tur) w prawym górnym rogu. Graficznie co prawda świetnie się wkomponował, ale sposób zamontowania wskazówki tego licznika na plastikową zapinkę nie jest najlepszym rozwiązaniem – jej dolna część nie pozwala planszy idealnie przylegać do stołu. Niestety demontaż zapinki wymagałby już solidnej, twardej pęsety. Co ciekawe, feler ten niwelowany jest w pewnym stopniu przez inny, mianowicie plansza, na grubym, wielowarstwowym kartonie z własnej nieprzymuszonej woli nie chce się rozłożyć idealnie płasko. Być może to kwestia większej liczby rozłożeń, ale po kilkunastu rozgrywkach stan się nie zmienia, co mimo wszystko świadczy o solidności wykonawcy. I, na dobrą sprawę, to jedyne zgrzyty, gdyż nierówności planszy nie powodują zsuwania się żetonów w trakcie gry, czemu pomaga zapewne faktura powierzchni planszy, taka sama jak na pudełku.

Żetony są idealnie wysztancowane. Zarówno moja żona, jak i czteroletni syn nie mieli z ich wyjęciem najmniejszych problemów, a żetony nie uległy przy tym uszkodzeniu, co w grach innych wydawców nie jest takie oczywiste. Modelarze i pasjonaci historii zauważą, że wersje samolotów na żetonach odpowiadają dokładnie temu, co faktycznie zostało użyte w walce. Kostki do określania wyniku walk i znaczniki strzału są takie jak w *303*, z tym że na kostkach są jedynie czarne krzyże i biało-czerwone szachownice.

Proszę Państwa, żetony w dłoń! Zanim jednak zaczniemy grę, to po rozstawieniu samolotów pojawia się pierwsza nowość w mechanice: chmury. W sumie cztery podwójne żetony układane na przemian przez graczy na planszy. Ten element przydaje rozgrywkom różnorodności i wprowadza wręcz nową jakość w planowaniu starcia dla obu stron. Niemcom ułatwia skryte podejście do Warszawy i skrócenie czasu na reakcję obrony. Polakom pozwala skryć się po własnym ataku i nie wystawić jednocześnie na kontratak przeciwnika, a zamiast tego wypracować pozycję do kolejnego strzału.

I tu następna nowość: zróżnicowanie możliwości poruszania się obu stron starcia. O ile niemieckie Bf-109 przemieszczają się maksymalnie o trzy pola, o tyle polskie P.11 tylko o dwa. Oddaje to różnicę prędkości blisko 200 km/h w realnej walce.

Trzecią ważną zmianą jest możliwość wyboru miejsca zakończenia ataku myśliwców polskich. (i tylko polskich!), co odzwierciedla cyrkową wręcz zwrotność „jedenastek", której wytrzymałość konstrukcyjna na przeciążenia ograniczona była jedynie wytrzymałością pilota na to zjawisko. W połączeniu z bliskością chmur pozwala to zniwelować przewagę prędk-

kości i ognia maszyn niemieckich. Tak, przewagę ognia, bo w przypadku braku ruchu i dysponowania pełną salwą, Niemcy „strzelają" – jak w *303* – trzema kostkami, Polacy tylko dwiema, co odzwierciedla nie tylko mniejszą liczbę karabinów maszynowych, ale, co nawet ważniejsze, ich mniejszą szybkostrzelność, czyli „ilość ołowiu ulokowanego w przeciwniku w czasie kilku sekund". Zmniejsza to prawdopodobieństwo zestrzelenia samolotu niemieckiego.

Nowością jest też żeton obrony przeciwlotniczej Warszawy. To stolica jest celem wyprawy niemieckiej i to do niej Brygada Pościgowa broni dostępu. Albo zestrzeli bombowce, albo zmusi do manewrowania tak, że zabraknie im paliwa (w ósmej turze) i będą musiały zawrócić. Gdy jedno i drugie zawiedzie, ostatnia nadzieja w obronie przeciwlotniczej. W odległości dwóch pól od stolicy ostrzał heinklom nie zaszkodzi (konieczne dwa trafienia w trakcie tury), ale w bezpośrednim sąsiedztwie jest 25 proc. szans na ściągnięcie wrażego bombowca do Wisły. Jest to niestety nieco więcej niż wojenna praktyka wykazała, chyba że w grę wchodzi jedynie uniemożliwienie celnego zrzutu bomb.

Ostatnia zmiana w przepisach względem *303* to dwumecz. Do określenia zwycięzcy potrzebne są dwie rozgrywki, tak, by obaj gracze mogli sprawdzić się w rolach zarówno napastników, jak i obrońców. Jest to szczegółowo opisane w instrukcji i taka praktyka w przypadku znanych mi gier o tematyce dotyczącej Września '39 jest dość powszechnie stosowana, a wynika z niezrównoważenia sił obu stron.



Mieć szczęście, pogłówkować

Instrukcja, poza przejrzystym i bogato ilustrowanym opisem zasad, to tradycyjne kompendium wiedzy o sprawach związanych z grą: historia Brygady Pościgowej i powstania samolotu P.11, charakterystyka armaty przeciwlotniczej Bofors czy biogramy wybranych pilotów z relacjami walk ich autorstwa. Wszystko okraszone zdjęciami i grafiką ułatwiającą przyswojenie dużej dawki rzetelnej wiedzy.

Po kilku rozgrywkach zaczęło mi jednak czegoś brakować. Pierwsza sprawa: zmiana położenia żetonu obrony przeciwlotniczej, pozwoliłoby to m.in. na skoncentrowanie ognia polskich myśliwców i OPL np. już nad Serockiem. Druga to remont uszkodzonych Bf-109 (a raczej jego brak). Instrukcja określa tylko zasady naprawy „jedenastek", tymczasem niemiecki myśliwiec uszkodzony w pierwszych dwóch turach miałby (choć nie zawsze!) jeszcze szansę po naprawie wrócić na pole walki.

Wynik starcia jest dość losowy, jednak nie sztuka wygrać, mając szczęście i przewagę. Mistrzostwo to osiągnąć cel, mając przy tym pecha, a to już wymaga intensywnego główkowania.

I na koniec sprawa niezwykle dla nas, Polaków, ważna: klimat tej konkretnej gry. Gdy w pierwszej rozgrywce dowodziłem Brygadą Pościgową i po pierwszej turze ogarnąłem wzrokiem sytuację na planszy, to aż ciarki przeszły mi po plecach.

Jak było naprawdę?

O tym ile, kto, co i kiedy zestrzelił, toczą się spory do dzisiaj i niestety wcale nie przybliżają nas do rozwikłania tych zagadek. Ale nie to jest najistotniejsze. Celem działań Brygady Pościgowej była ochrona celu strategicznego, którym była stolica państwa, i tylko w kontekście postawionych zadań oraz możliwości wolno oceniać jej pracę i efektywność. Dość dobrze ujęto to zagadnienie w instrukcji do *111*, co więcej, świetnie zobrazowana graficznie została dysproporcja ilościowa i techniczna między Luftwaffe a lotnictwem polskim, co przy, siłą rzeczy, popularnym charakterze opracowania nie jest sprawą prostą.

Na żetonach widnieją zdjęcia modeli messerschmittów Bf-109, co sugeruje, że gra dotyczy drugiego ataku z godzin południowych 1 września, kiedy to – po niepowodzeniu wyprawy porannej osłanianej przez mało zwrotne messerschmitty Bf-110 – dodano eskortę rasowych myśliwców. W grze niewiele to jednak zmienia, bo oba typy maszyn miały przewagę prędkości nad P.11. Na pewno odwzorowano walki z 1 września. 2 września walk nie było (Niemcy ominęli obronę), a 3 września doszło do starcia myśliwców.

W instrukcji wspomniano także o sieci naprowadzania myśliwców na wykrytego przeciwnika opracowanej przez mjr. Eugeniusza Wyrwickiego. Warto uzupełnić to informacją o tym, że to „tylko" element całego systemu obrony Warszawy, na który składały się także, poza rozlokowaniem lotnisk, wyćwiczone, bardzo krótkie czasy startu myśliwców i dolotu do sektora przechwycenia – najkrótsze w ówczesnej Europie! Tylko Brytyjczycy, poza Polakami, zdawali sobie sprawę z ważności czynnika czasu reakcji.

Teksty historyczne w instrukcji obfitują w liczby – stany maszyn w ciągu całej wojny obronnej, zwycięstwa i straty itp. Wśród tych danych zabrakło mi jednak konkluzji dotyczącej całości lotnictwa polskiego. Mianowicie liczba maszyn ewakuowanych poza granicę Polski (ok. 40 proc. z lotnictwem armijnym), a zwłaszcza liczebność ocalałego personelu latającego (ok. 90 proc.) zadają kłam propagandzie głoszącej unicestwienie lotnictwa polskiego w pierwszych dniach wojny. Potwierdzają to także straty Luftwaffe, określane obecnie na ponad 150 maszyn utraconych w walkach. Zresztą część z tych 90 proc. polskiego personelu uratowanego z rzekomego pogromu, rok później znów stanęła do walki, tym razem zwycięskiej. I to był chyba najcenniejszy owoc tych wrześniowych doświadczeń...

Łukasz Zieliński – pasjonat modelarstwa i militariów, miłośnik gier historycznych

W cieniu Stalina

Film *W cieniu* zaczyna się jak kolejny typowy kryminał w stylu *noir* – w pierwszej scenie oglądamy dwóch mężczyzn w czasie włamania do sklepu jubilerskiego. Następnie widzimy oficera policji w średnim wieku, w obowiązkowym prochowcu i kapeluszu, który rozpoczyna dochodzenie i dość szybko namierza prawdopodobnego sprawcę – członka gminy żydowskiej w Pradze. W najnowszym filmie Davida Ondřička nic nie jest jednak tym, czym się wydaje.

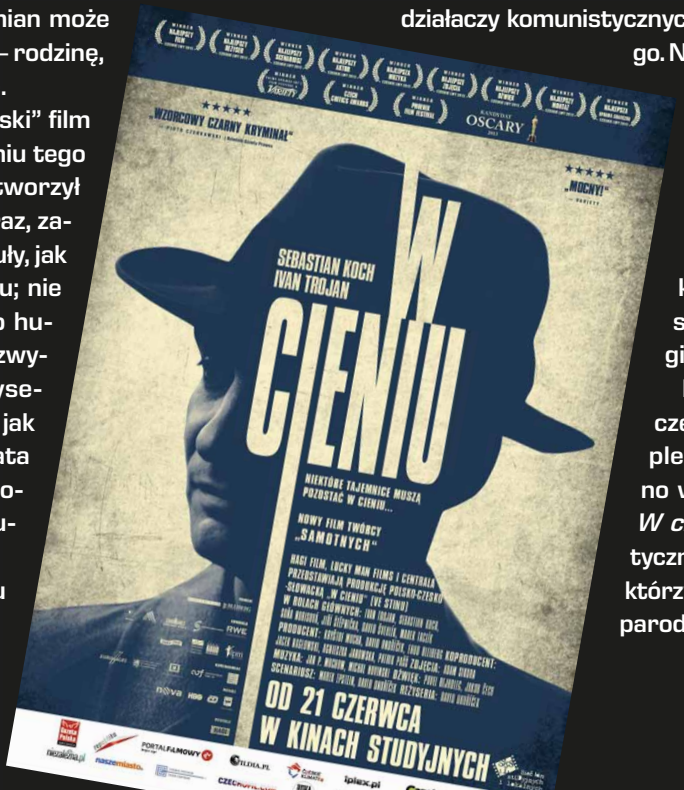
Bardzo ważne jest miejsce akcji – Czechosłowacja w roku 1953. I to znacząco odróżnia tę produkcję od innych kryminałów.

Postępowanie w sprawie włamania oraz napadu na pocztę dość szybko przejmuje bezpieka. Mimo to kapitan czechosłowackiej policji Hakl (świetnie zagrał go Ivan Trojan) postanawia prowadzić śledztwo dalej na własną rękę i dość szybko okazuje się, że nie chodzi o sprawę kryminalną, lecz intrygę polityczną, która ma na celu doprowadzenie do wyreżyserowanego procesu przeciwko rzekomym syjonistom. W tym momencie Hakl zderza się z systemem, którego jest funkcjonariuszem. Bohater staje wobec alternatywy: dojście do prawdy lub zgoda na kłamstwo i oskarżenie niewinnych ludzi. Jedyne, co jest w stanie ocalić w tej sytuacji, to własne sumienie, ale w zamian może stracić wszystko inne – rodzinę, wolność, a nawet życie.

To bardzo mało „czeski" film w potocznym rozumieniu tego terminu – Ondřiček stworzył niezwykle mroczny obraz, zarówno w warstwie fabuły, jak i pod względem klimatu; nie ma tu szwejkowskiego humoru, do którego przyzwyczaili nas czescy reżyserzy. Ton opowieści jest jak najbardziej serio, bo i lata pięćdziesiąte w Czechosłowacji to bardzo ponury okres.

Ogromną zaletą filmu jest właśnie świetne oddanie ówczesnych realiów życia w „komunistycznym raju" – ciasne, przyprawiające wręcz o klaustrofobię mieszkanie rodziny Hakla w kamienicy, w której sąsiedzi wiedzą wszystko o sąsiadach; częste wyłączenia prądu, wszechobecność bezpieki, a przede wszystkim reforma walutowa, którą wprowadzono w 1953 roku i w wyniku której Czesi i Słowacy stracili swoje oszczędności (nową koronę wprowadzano w stosunku 50:1!). W filmie sprawą reformy żyją wszyscy – w radiu słychać ciągłe zapewnienia władz, w tym prezydenta Antonína Zápotocký'ego, że pogłoski o reformie to wroga propaganda, a korona jest silną walutą i żadnych zmian nie będzie.

Najistotniejszym jednak wątkiem jest próba wykreowania afery politycznej i włączenie w nią czeskich Żydów, którzy mieliby działać na rzecz państwa Izrael. Wydaje się to nawiązaniem do zmanipulowanego procesu Rudolfa Slánský'ego – komunisty pochodzenia żydowskiego, od 1945 roku sekretarza generalnego Komunistycznej Partii Czechosłowacji. Slánský został usunięty z partii i rządu oraz aresztowany w roku 1951. Oskarżono go, wraz z trzynastoma innymi komunistami, wśród których aż jedenastu miało pochodzenie żydowskie, o udział w grupie trockistowsko-titoistyczno-syjonistycznej. W pokazowym procesie, który odbył się w listopadzie 1952 roku, wydano jedenaście wyroków śmierci oraz trzy wyroki dożywotniego więzienia. Proces był sterowany z Moskwy przy pomocy doradców sowieckich. Stalinowi chodziło o wyeliminowanie „nielojalnych", jak uważał, działaczy komunistycznych w krajach bloku wschodniego. Na Węgrzech w podobnym procesie skazano na śmierć w 1949 roku Lászlo Rajka, w Polsce aresztowano pod podobnymi zarzutami (odchylenie prawicowo-nacjonalistyczne) Władysława Gomułkę, który jednak uniknął losu straconych towarzyszy z Węgier i Czechosłowacji.



Film powstał w koprodukcji czesko-polsko-słowackiej, część plenerowych zdjęć realizowano w Łodzi. Reżyser zadedykował *W cieniu* ofiarom procesów politycznych z lat pięćdziesiątych i tym, którzy postanowili się sprzeciwić tej parodii sprawiedliwości.

Sergiusz Kazimierczuk

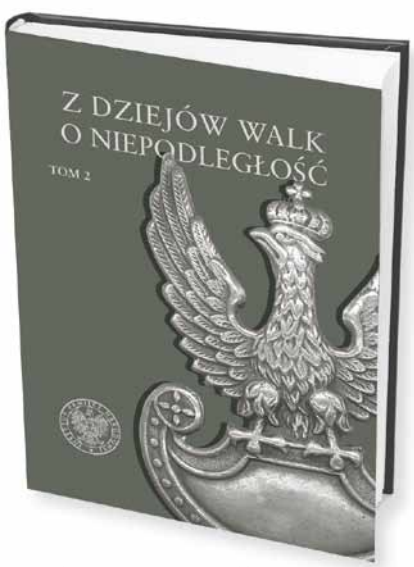
Walczyli o Niepodległą

Kilka miesięcy temu ukazał się drugi tom nowego, cyklicznego wydawnictwa IPN *Z dziejów walk o niepodległość*. Jest to wydawnictwo pod kilkoma względami specyficzne.

O jego charakterze świadczy przede wszystkim to, że komitet redakcyjny – kierowany przez dr. Marka Gałęzowskiego – pod pojęciem walki o niepodległość rozumie nie tylko działania orężne, lecz także każdą formę aktywności kulturalnej, oświatowej i ideowej, jeśli tylko miała ona na celu przeciwstawienie się wrogom Polski. Drugim wyraźnym rysem obu tomów jest skupienie się niemal na całej pierwszej połowie XX wieku. Tym samym jest to namacalny dowód, że IPN podejmuje badania nad zagadnieniami dotyczącymi najnowszej historii Polski, sięgając niemal do pierwszych lat ubiegłego stulecia. Dla wielu osób, nawet dla części historyków, może to być zaskoczeniem. Powszechne jest bowiem przekonanie, że problemami sprzed 1939 roku IPN się nie zajmuje.

I wreszcie ostatnią charakterystyczną cechą wydawnictwa jest jego wyraźny podział na dwie części. Pierwsza składa się z artykułów oraz opracowań, drugą zaś stanowią biogramy, w przeważającej liczbie stworzone na podstawie szerokiej bazy źródłowej. O ich wartości poznawczej świadczy przede wszystkim to, że w większości przedstawiają osoby, które w swojej działalności wojskowej lub organizacyjnej nie pełniły najbardziej eksponowanych funkcji. Warto to odnotować, ponieważ poświęcanie łamów periodyków naukowych postaciom drugiego i dalszego planu nie jest szczególnie popularne. A przecież niejednokrotnie aktywność oraz zasługi właśnie tych ludzi są godne upamiętnienia.

W opublikowanym w tym roku drugim tomie na szczególną uwagę zasługuje kilka tekstów. Z artykułu Macieja Żuczkowskiego traktującego o referacie „999" kontrwywiadu Komendy Głównej Armii Krajowej dowiadujemy się o wielu szczegółach działalności tej komórki, powołanej do obserwowania aktywności organizacji komunistycznych i skrajnie lewicowych na okupowanych ziemiach polskich. Autor nie tylko opisał jej strukturę oraz funkcjonowanie, lecz także ustalił większość spośród 61 pracowników oraz współpracowników, co znacznie poszerzyło dotychczasową wiedzę o referacie. Głównym rezultatem jego działalności były comiesięczne raporty o stanie ruchu komunistycznego na ziemiach polskich, uzupełniane o wyciągi z prasy komunistycznej, serwis nasłuchu stacji „Kościuszko" i wykaz oddziałów partyzanckich podległych Polskiej Partii Robotniczej. W raportach identyfikowano również najbardziej wpływowe osoby w poszczególnych organizacjach, a nawet takie, które współpracowały z gestapo. Pomimo dość szczegółowych informacji dostarczanych przez komórkę, kierownictwo Polskiego Państwa Podziemnego nie zdecydowało się na likwidowanie osób współpracujących z Niemcami. Uznało bowiem, że walkę z komunizmem należy ograniczyć do działalności propagandowej.



***Z dziejów walk o niepodległość*, t. 2, red. Marek Gałęzowski, Sławomir Kalbarczyk, Jerzy Kirszak, IPN, Warszawa 2013, ss. 572**

Innym interesującym tekstem jest artykuł poświęcony „cichociemnemu" Stefanowi Górskiemu, napisany przez Aleksandrę Pietrowicz. Przedstawiony bohater był jednym z przeszło trzystu elitarnych żołnierzy przerzuconych z zachodu do okupowanej Polski, jednocześnie jednym z dziewięciu, na których władze komunistyczne wykonały wyrok śmierci. Nie godząc się z utratą suwerenności przez powojenną Polskę, zdecydował się podjąć współpracę z brytyjskim wywiadem. Jesienią 1947 roku został aresztowany, a niespełna rok później rozstrzelany w więzieniu mokotowskim. Fakt, że stosunkowo szybko i łatwo Urząd Bezpieczeństwa rozpracował Górskiego i jego siatkę, jest kolejnym dowodem na to, że w pierwszych latach po zakończeniu II wojny światowej wywiady państw zachodnich były niemal bezsilne, jeśli chodzi o ochronę swoich współpracowników na terenie państw komunistycznych.

Spośród opracowań zamieszczonych w omawianym tomie uwagę zwraca przede wszystkim obszerny materiał przygotowany do druku przez Przemysława Wywiała. Jest to książka mjr. Jerzego Hojarczyka *Związki Strzeleckie w obwodzie wielickim (1912–1914)*, która została wydana w 1939 roku. Ze względu na wybuch wojny zachowało się tylko kilka jej egzemplarzy, czym można tłumaczyć niewykorzystywanie tytułu w dotychczasowych badaniach nad Związkiem Strzeleckim. Tymczasem może on być cennym źródłem wiedzy nie tylko o ZS, ale i szerzej rozumianym ruchu niepodległościowym przed I wojną światową. Wzbogacony m.in. o liczne noty biograficzne autorstwa Wywiała, odkrywa przed czytelnikami dziesiątki osób zaangażowanych w formowanie zalążków polskiego wojska, a następnie walczących w ramach I Brygady Legionów. Książka Hojarczyka po opracowaniu zajmuje przeszło 140 stron tomu. Oprócz tego w osobnym, kilkunastostronicowym tekście Wywiał przybliżył postać autora źródła. Publikacja jest niezwykle cenna, ale rodzi się pytanie, czy tak obszerny materiał wraz z tekstem biograficznym nie nadawał się na osobne wydanie w formie książkowej.

W części drugiej tomu zaprezentowano 29 sylwetek oficerów służby czynnej i rezerwy Wojska Polskiego zamordowanych przez NKWD, pochowanych w Katyniu, Charkowie oraz Bykowni. Warto odnotować, że większość biogramów, a także tekstów i opracowań wzbogacono o fotografie. Jest to cenny dodatek oddziałujący na wyobraźnię czytelnika.

Cały tom, podobnie jak poprzedni, przedstawia sporą wartość zarówno jako zbiór tekstów naukowych, jak również jako wydawnictwo upamiętniające osoby zasłużone dla walki o niepodległą Polskę. Sprofilowanie wydawnictwa pod kątem opisu wydarzeń do 1945 roku może się przyczynić do zmiany wizerunku IPN jako instytucji badającej głównie historię powojenną.

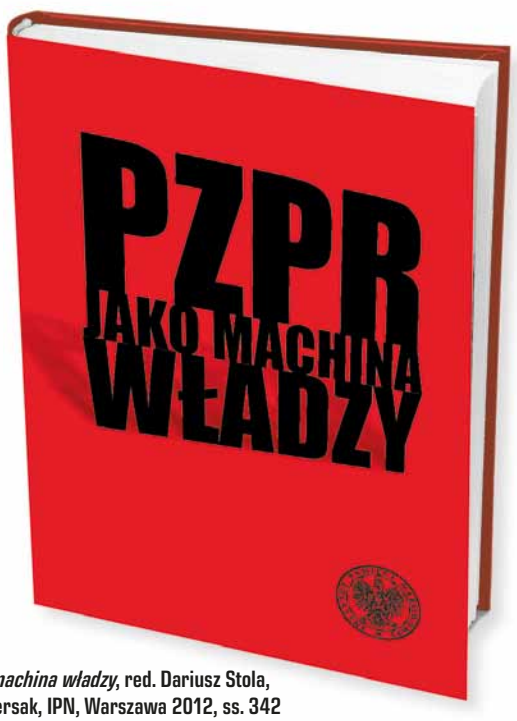
Marek Hańderek

PZPR od kuchni

Polska Zjednoczona Partia Robotnicza, która powstała w 1948 roku, była najważniejszym bytem politycznym w Polsce Ludowej. To właśnie najwyższe struktury PZPR, z I sekretarzem na czele, podejmowały kluczowe decyzje dotyczące polityki państwa aż do zmiany ustrojowej z 1989 roku.

Co oczywiste, w okresie istnienia PZPR nie mogły powstawać wartościowe prace naukowe poświęcone jej dziejom. Jak się jednak okazuje, również w nowym systemie politycznym poświęcono historii partii niewiele publikacji. Jeśli już pojawiały się na rynku wydawniczym jakieś pozycje, to miały one jedynie charakter przyczynkarski. Rzecz jasna, w książkach dotyczących Polski Ludowej nie sposób nie wspomnieć o PZPR, ale to nie jej historia była głównym tematem opracowań historycznych poświęconych temu okresowi. Zwraca na to uwagę we wstępie jeden z redaktorów opracowania *PZPR jako machina władzy*, słusznie zauważając ogromną dysproporcję między badaniami nad aparatem bezpieczeństwa a studiami nad PZPR. A przecież to partia – przynajmniej formalnie rzecz biorąc – wyznaczała kierunki działania Urzędu Bezpieczeństwa, a następnie Służby Bezpieczeństwa, i nadzorowała ich pracę.

Publikacja zbiorowa pod redakcją Dariusza Stoli i Krzysztofa Persaka jest pierwszym znaczącym krokiem w stronę całościowego przedstawienia wielu aspektów funkcjonowania tej komunistycznej partii. Jasno pokazuje, jak wielka władza nad różnorodnymi dziedzinami życia i instytucjami spoczywała w rękach PZPR. Dzięki studiom zgromadzonym w książce możemy się zorientować, jak funkcjonował system komunistyczny w Polsce i jak ogromną rolę pełniła w nim PZPR.



***PZPR jako machina władzy*, red. Dariusz Stola, Krzysztof Persak, IPN, Warszawa 2012, ss. 342**

Zamieszczone w tomie artykuły można podzielić na przedstawiające system działania samej partii, oraz te, które poświęcono jej nadzorowi nad innymi wówczas istniejącymi środowiskami i bytami politycznymi.

Tekst Jerzego Eislera pokazuje, jak istotna była pozycja sekretarza PZPR i jak duża władza była udziałem poszczególnych osób sprawujących tę funkcję. Trafnie zwraca uwagę na to, że to właśnie ci ludzie „ponoszą kluczową odpowiedzialność za wszystko – dobre i złe – co wydarzyło się w Polsce w okresie sprawowania przez nich tej funkcji". Jedyne, co ograniczało ich władzę, to kontrola sprawowana przez ZSRR i zapadające na Kremlu decyzje, które miały znaczenie nadrzędne. Autor wskazuje również, jak ważne w tym względzie były różnice osobowości poszczególnych pierwszych sekretarzy oraz ich wyobrażenia na temat stopnia zależności od „wielkiego brata".

Nie mniej istotne są artykuły poświęcone charakterystyce aktywu partyjnego. Andrzej Friszke w analizie aparatu urzędniczego PZPR, posługując się kategoriami socjologicznymi, pokazuje, kim byli działacze pezetpeerowscy i jak wraz z biegiem lat zmieniał się ich profil. Dobrym uzupełnieniem tego tekstu jest artykuł Leszka Gilejki, który z kolei przedstawia obraz szeregowych członków partii. Oba te artykuły wyraźnie pokazują, że stopniowo formacja stawała się coraz mniej robotnicza, a coraz bardziej zbiurokratyzowana. Szybko postępował również proces starzenia się członków partii, która zresztą pod koniec swego istnienia osiągnęła najniższą liczebność w swojej historii.

Dariusz Stola, Piotr Osęka i Marcin Tymiński opisują wewnętrzny system organizacji PZPR. Szczególnie interesujący – choćby w kontekście dzisiejszych dyskusji na temat funkcjonowania partii politycznych – wydaje się artykuł pierwszego z nich. Przedstawia on sposób finansowana partii, który w dużej mierze polegał na sięganiu do zasobów państwowych (z biegiem lat ten drenaż był coraz większy).

Tekst Andrzeja Paczkowskiego – w moim przekonaniu najciekawszy – podejmuje temat wzajemnych stosunków między PZPR i aparatem bezpieczeństwa. Z biegiem lat relacje te zmieniały się, jednak – jak przekonuje autor – to PZPR, mimo występujących od czasu do czasu perturbacji, kierowała bezpieką i wytyczała cele i zakres jej działania. Z tego też wynika odpowiedzialność dygnitarzy partyjnych za nadużycia, przestępstwa i zbrodnie popełnianie przez funkcjonariuszy SB.

PZPR sprawowała kontrolę nad każdym aspektem polityki prowadzonej przez Polskę Ludową, co klarownie przedstawiają teksty poświęcone nadzorowi partii nad gospodarką i polityką zagraniczną. Nie inaczej było, jeśli chodzi o relacje z partiami satelickimi, czyli bytami politycznymi powołanymi tylko po to, by stworzyć na arenie międzynarodowej złudzenie pluralizmu politycznego oraz tego, że w „ludowej" Polsce każda grupa społeczna ma swoją reprezentację. Janusz Wrona pokazuje, jak dalece zarówno Zjednoczone Stronnictwo Ludowe, jak i Stronnictwo Demokratyczne były uzależnione od PZPR.

Nie pominięto również kwestii kontroli partii komunistycznej nad środowiskami i organizacjami niemającymi charakteru *stricte* politycznego, takimi jak związki zawodowe, czy jej nadzoru nad polską nauką (na przykładzie Polskiej Akademii Nauk).

Po publikację *PZPR jako machina władzy* z pewnością warto sięgnąć. Przypomina bowiem o tym, jak wiele sfer w Polsce Ludowej pozostawało pod kontrolą partii komunistycznej, a zarazem pokazuje kulisy funkcjonowania tej formacji.

Rafał Łatka



■ Justyna Błażejowska, Cecylia Kuta, *Od uległości do niezależności. Literaci i literatura w latach 1944–1989/1990*, IPN, Kraków 2013, ss. 235.



■ Jan Daniluk, *SS w Gdańsku. Wybrane zagadnienia*, IPN, Gdańsk 2013, ss. 180.



■ *„Dziś za jednego Niemca, śmierć poniesie 50 Polaków". Materiały konferencji popularnonaukowej w Zgierzu, 20 III 2012 r.*, red. Janusz Wróbel, IPN, Łódź 2013, ss. 156.



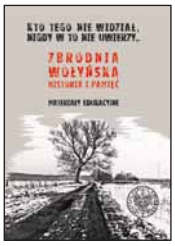
■ Marek Gałęzowski, *Przeciw dwóm zaborcom. Polityczna konspiracja piłsudczykowska w kraju w latach 1939–1947*, IPN, Warszawa 2013, ss. 552.



■ Mirosław Kopa, *Inspektorat Piotrkowski Armii Krajowej w dokumentach i komentarzach*, IPN, Łódź 2013, ss. 948 + ilustracje.



■ *Kresowianie na Górnym Śląsku*, red. Bogusław Tracz, IPN, Katowice–Gliwice 2012, ss. 288.



■ *Kto tego nie widział, nigdy w to nie uwierzy... Zbrodnia wołyńska. Historia i pamięć. Materiały edukacyjne*, red. Romuald Niedzielko, IPN, Warszawa 2013, ss. 68.



■ Izabela Mazanowska, *„Będą was prześladować z mego powodu". Polityka władz państwowych wobec zakonów i zgromadzeń zakonnych diecezji chełmińskiej w latach 1956–1970*, IPN, Bydgoszcz–Gdańsk 2013, ss. 352.



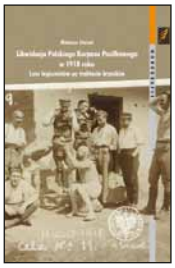
■ Maria i Andrzej Perlakowie, *Nowosolska „Solidarność". Relacje, wspomnienia, dokumenty (wrzesień 1980––czerwiec 1990)*, IPN, Poznań 2013, ss. 497.



■ Patryk Pleskot, *Kłopotliwa panna „S". Postawy polityczne Zachodu wobec „Solidarności" na tle stosunków z PRL (1980––1989)*, IPN, Warszawa 2013, ss. 878.



■ *Pocztówki z Wielkiej Wojny. Korespondencja wysyłana pocztą polową (1915–1918) ze zbiorów Antoniego Przybyły z Janowa*, red. Joanna Tofilska i Sebastian Rosenbaum, IPN, Katowice 2013, ss. 72.



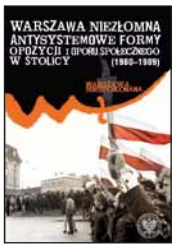
■ Mateusz Staroń, *Likwidacja Polskiego Korpusu Posiłkowego w 1918 roku. Losy legionistów po traktacie brzeskim*, IPN, Warszawa 2013, ss. 286.



■ Krzysztof Sychowicz, *Władze komunistyczne wobec Kościołów i związków wyznaniowych w województwie białostockim w latach 1944–1975*, IPN, Białystok 2013, ss. 592 + wkł. zdjęciowa.



■ *Studia nad łysenkizmem w polskiej biologii*, red. Piotr Köhler, IPN, Wydawnictwo „Dante", Kraków 2013, ss. 176.



■ *Warszawa niezłomna. Antysystemowe formy opozycji i oporu społecznego w stolicy (1980–1989)*, red. Bartłomiej Noszczak, IPN, Warszawa 2013, ss. 512.



■ Marek Wierzbicki, *Ostatni Bunt. Młodzieżowa opozycja polityczna u schyłku PRL 1980–1990. Fakty, konteksty, interpretacje*, IPN, Lublin–Warszawa 2013, ss. 352.



■ Janusz Zabłocki, *Dzienniki 1976–1986*, t. 3, cz. 1: 1976–1981, IPN, Warszawa 2013, ss. 759.



■ *Z dziejów walk o niepodległość*, t. 2, red. Marek Gałęzowski, Sławomir Kalbarczyk, Jerzy Kirszak, IPN, Warszawa 2013, ss. 572.

Instytut Pamięci Narodowej
Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu
00-207 Warszawa, pl. Krasińskich 2/4/6

Publikacje IPN można nabyć:
w siedzibie IPN, ul. Towarowa 28, 00-839 Warszawa
poniedziałek – piątek w godz. 8:30–16:00
tel. (22) 581 88 72
w Centrum Edukacyjnym IPN
im. Janusza Kurtyki PRZYSTANEK HISTORIA
ul. Marszałkowska 21/25, 00-625 Warszawa
poniedziałek – piątek w godz. 10:00–18:00,
sobota w godz. 9:00–14:00,
tel. (22) 576 30 06

Prenumerata „Pamięci.pl"
Szczegółowe informacje na temat prenumeraty wraz z cennikiem i formularzem zamówienia znajdują się na stronie www.pamiec.pl przy opisie najnowszego miesięcznika

Zamówienie można złożyć telefonicznie lub wysłać wypełniony formularz zwykłą pocztą na adres IPN albo pocztą elektroniczną na adresy podane poniżej

Sprzedaż wysyłkowa publikacji
zamówienia można składać telefonicznie: tel. (22) 431 82 92, (22) 431 82 88; (22) 431 82 89; fax (22) 431 82 91
pocztą zwykłą na adres Instytutu
pocztą elektroniczną: joanna.pamula@ipn.gov.pl; joanna.pszczola@ipn.gov.pl; danuta.wierzman@ipn.gov.pl
lub w księgarni internetowej: www.ipn.poczytaj.pl

NAJNOWSZA GRA PLANSZOWA IPN

PREQUEL BESTSELLEROWEGO 303



JUŻ WE WRZEŚNIU!

111™

WARSZAWA

pamiec.pl/111

Gra *111* do kupienia w punktach sprzedaży IPN oraz w dobrych sklepach z grami planszowymi.

Całość floty rzymskiej dzielono na flotylle (classis), z których każdą dowodził praefectus classis. Ich nazwy zależały od rejonu, w którym stacjonowały. Oprócz jednostek samego Rzymu, w jego flocie służyły też tak zwane flotylle posiłkowe dostarczane, dobrowolnie lub przymusowo, przez nacje z nim sfederowane. Oprócz okrętów stricte bojowych Imperium rozporządzało także znaczą ilością mniejszych jednostek zwiadowczych i patrolowych. W szczególnych sytuacjach różnego rodzaju funkcje pomocnicze, a nawet mniej ważne zadania zbrojne, wypełniała flota handlowa. Większe statki transportowe służyły głównie do przewożenia armii ekspedycyjnej oraz zaopatrzenia i żywności na teren działań wojennych. Wielka ich liczba wyruszyła wraz z całą flotą rzymską (liczącą trzysta trzydzieści okrętów) w ekspedycję zbrojną przeciw Kartaginie, zakończoną bitwą morską u przylądka Eknomos w 256 roku przed naszą erą. W czasach republiki naczelne dowództwo nad flotą wojenną leżało w gestii dwóch konsulów. Do sprawowania kontroli nad pojedynczymi flotyllami wyznaczali oni własnych pomocników: trybunów bądź legatów. W 311 roku przed naszą erą z inicjatywy Appiusza Klaudiusza Caecusa przeprowadzono reformę, w myśl której każdy z konsulów dobierał sobie do pomocy jednego oficera floty. Nosił on nazwę duumvir navalis i był członkiem dwuosobowego kolegium duoviri navales. Począwszy od 267 roku przed naszą erą sprawami finansowymi dotyczącymi floty rzymskiej oraz ochroną morskich szlaków handlowych zajmowali się czterej quaestores classici. W czasach II wojny punickiej, z racji dużej ilości morskich potyczek i bitew, należało stworzyć nowy rodzaj dowództwa. Związane z nim zadania przejął praefectus classis podlegający bezpośrednio konsulom. Pod koniec III wieku przed naszą erą w sprawach morskich zauważalny stał się spadek prestiżu konsula, który ostatni raz dowodził flotą w 218 roku. Jego uprawnienia przejmowali stopniowo inni wysocy urzędnicy, na przykład w trakcie wojen macedońskich całością floty kierował mianowany przez senat legatus pro praetore. Pod koniec II wieku przed naszą erą po raz pierwszy wydzielonymi eskadrami dowodzili podlegający temu ostatniemu legati classici. Głównym dowódcą okrętu wojennego był trierarchus. Jego rozkazom podlegał centurio classicus, a więc dowódca oddziału żołnierzy pokładowych. Obowiązki szypra, czyli dowodzącego mniejszymi jednostkami pływającymi, głównie handlowymi, pełnił nauarchus. Z biegiem czasu, kiedy flota rzymska stała się liczną i znaczącą siłą morską, powołano stanowisko przełożonego szyprów, które pełnił nauarchus princeps. W zależności od rodzaju okrętu wojennego na jego pokładzie znajdowała się mniejsza lub większa liczba załogi. W jej skład wchodzili: kadra dowódcza, żołnierze okrętowi (classiari lub marines), wiosłarze (remiges), żeglarze (nautae), sternik oraz fletnista bądź trębacz nadający odpowiednie tempo wiosłowania. Oficerowie pokładowi, których głównym zadaniem był nadzór nad pracą wiosłarzy oraz wydawanie odpowiednich rozkazów i komend, zajmowali miejsce na niewielkim pokładzie nawigacyjnym umiejscowionym na rufie okrętu flagowego. Na jego maszcie wywieszano flagę z typowo rzymskimi symbolami lub – w czasach Imperium – wizerunkiem cesarza (imago). Przebieg przeprawy przez Kartagińczyków bitwy u przylądka Eknomos w 256 r. p.n.e. Istotne zadania pełnił na rufie sternik, który manewrował okrętem podczas bitwy oraz odpowiadał za nawigację w czasie żeglugi. Było to możliwe dzięki dwóm zsynchronizowanym wiosłom sterowym, które znajdowały się po obu stronach kadłuba okrętu. Wiosłarze i żeglarze dysponowali jedynie lekkim uzbrojeniem zaczepnym (głównie oszczepami, które podczas żeglugi chowano pod ławeczki wiosłarskie), aczkolwiek ich zadaniem, oprócz wprawiania okrętu w ruch i nadzorowania żagli, było również uczestniczenie w bitwie, jeśli tylko wymagała tego sytuacja. Używali oni przeróżnych sposobów walki: począwszy od wylewania kotłów z gorącą cieczą na pokład przeciwnika, poprzez rzucanie koszów wypełnionych jadowitymi wężami bądź skorpionami, a skończywszy na miotaniu pocisków za pomocą procy oraz rzucaniu oszczepami, nawet z pozycji siedzącej. Każdy okręt wojenny, bez względu na wielkość, posiadał na swym pokładzie określoną liczbę legionistów, którzy podczas rejsu zajmowali miejsce w części dziobowej. Przeważnie była to tak zwana centuria classica licząca stu zbrojnych. W okresie później republiki oraz pryncypatu classiari posiadali następujące uzbrojenie: tunikę kolczą (lorica hamata) bądź dobrze dopasowany do tułowia pancerz (na wzór „pancerza atlety") i przytroczone do niego pteryges, czyli połączone ze sobą skórzane pasy, często laminowane metalem, dla lepszej ochrony podbrzusza; hełm typu beockiego ze specyficznym rondem opadającym ku dołowi i napolicznikami wiązanymi pod brodą, oszczep do dwóch metrów długości; krótki miecz (gladius). Ponadto na wyposażeniu żołnierzy pokładowych znajdowały się owalne tarcze zdobione zazwyczaj motywami morskimi (na przykład harpunami lub podobiznami boga Neptuna) i zawieszane na specjalnym pasku na ramieniu. Na podstawie znalezisk archeologicznych w Pompejach i wyobrażeń scen morskich w sztuce rzymskiej można odtworzyć także ubiór legionistów okrętowych. Typowy classiarus nosił tunikę, długi płaszcz (przeważnie koloru czerwonego) i sandały. W rzymskiej flocie wojennej służyli także sojusznicy morscy (socii navales). Zaliczali się do nich np. Grecy oraz Italikowie sprzymierzeni z Rzymem. W kontekście planowania morskiej wyprawy do Afryki w czasie II wojnie punickiej Tytus Liwiusz zanotował: Ludy Umbrii, a obok nich mieszkańcy Nursji, Reate i Amiternum, a także każdy kraj sabiński przyrzekły dostarczenie żołnierzy. Z Marsów, Pelignów, Marrucynów wielu zgłosiło się na ochotnika do służby na okrętach. Kamertowie, choć byli w przymierzu z Rzymem na równych prawach, przysłali uzbrojony oddział sześciuset ludzi. Z biegiem czasu, korzystając z ujarzmienia wielu plemion barbarzyńskich, do załóg okrętowych włączono też przedstawicieli podbitych nacji (symmacharii), którzy nie posiadali obywatelstwa rzymskiego i otrzymywali je dopiero po ukończeniu służby wojskowej. Zwykle odbywali ją oni jedynie w czasie wojny, otrzymując w zamian wynagrodzenie pieniężne. Symmacharii nie posiadali specjalnego przeszkolenia i walczyli według własnego stylu, właściwego dla plemienia, z którego pochodzili. Przewodzili im, dla ułatwienia kontaktu między dwoma stronami, nie w pełni zromanizowani wodzowie wywodzący się z terenów podbitych, w całości jednak podlegający dowództwu rzymskiemu. W zależności od rejonu stacjonowania poszczególnych flotylli rzecznych w skład rzymskich załóg wchodzili: Iberowie, Brytowie, Germanie, Gallowie a nawet Maurowie lub szerzej – mieszkańcy Afryki Północnej. Symmacharii posiadali typowe, barbarzyńskie uzbrojenie: oszczep, sztylet, okrągłą tarczę wykonaną z drewna i wzmocnioną metalowym umbem oraz maczugi. Charakterystyczną cechą tych zbrojnych był brak pancerza, choć czasami w celu częściowej choć ochrony tułowia i torsu stosowano wielowarstwowe płócienne tuniki. Wspomniani wcześniej Maurowie w warunkach morskich uzbrajali się w kilka krótkich oszczepów do rzucania, okrągłą tarczę niewielkich rozmiarów zakładaną na przedramię oraz wełnianą tunikę. Z barbarzyńców rekrutowały się także jednostki odpowiadającą za walkę na odległość. Zaliczyć do nich należy łuczników, których często werbowano spośród mieszkańców Bliskiego Wschodu – znani ze swych wysokich umiejętności byli przede wszystkim łucznicy syryjscy. Na ich orientalne uzbrojenie składały się: hełm stożkowy, pancerz łuskowy, nakarcznik, łuk refleksyjny, którego cięciwę napinano za pomocą specjalnego pierścienia (zakira) nakładanego na kciuk oraz krótki miecz. Mniejsze znaczenie aniżeli łucznikom przypisywano miotaczom kamieni, których należy odróżnić od procarzy. Ci ostatni pochodzili zazwyczaj z Wysp Balearskich, chociaż znani i cenieni byli także procarze kreteńscy. Na ich uzbrojenie składały się: proca skórzana, luźny płaszcz na pociski, tunika, hełm i krótki miecz bądź puginał. Jako procarze służyli też zwykle Brytowie, których odróżniało noszenie długich spodni oraz skórzanej torby na amunicję. Używano dwóch rodzajów procy: do rzucania na znaczną odległość przeciw oddziałom skupionym w gęstym szyku na małej przestrzeni (w takiej sytuacji znaczne straty w szeregach wroga były gwarantowane) oraz do rzucania do bliższych celów indywidualnych. Nośność procy wynosiła do sześciuset stóp rzymskich (jedna stopa rzymska to dwadzieścia dziewięć i sześć dziesiątych centymetra). Rzucano kamiennymi bądź ołowianymi kulami. Generalnie rzecz ujmując, niezależnie od tego, czy mówimy do Grekach, Rzymianach lub innych jeszcze ludach, bitwy morskie rozstrzygano na trzy sposoby. Dążono zazwyczaj do staranowania wrogich okrętów (grecki manewr – periplus), zdruzgotania ich wioseł kadłubem (diekplus) lub abordażu, czyli przeniesienia walki na pokład okrętu nieprzyjaciela. Aby skutecznie dokonać taranowania, okręty ustawiały się w szyk czołowy. Następnie podpływały do nieprzyjacielskich jednostek na bliską odległość i atakowały taranami ich burty. Później wycofywały się w celu uwolnienia taranów, po czym powtarzały wspomniane czynności. Niekiedy dążono także do okrążenia sił przeciwnika poprzez wykonywanie manewru oskrzydlającego. Będąc w niewielkiej odległości od okrętu wroga można było także zdruzgotać jego wiosła poprzez wpłynięcie na nie, gdy znajdowały się w wodzie. Należało przy tym pamiętać, aby wcześniej podnieść własne wiosła. Atak taki był możliwy po uprzednim ustawieniu okrętów w szyk liniowy, które przepływały następnie ze sporą szybkością przez ugrupowanie nieprzyjaciela. Manewr taki mogła ryzykować jedynie flota złożona z szybkich i zwrotnych jednostek. Stosowano także szyk obronny (kyklos) stosowany przez floty słabsze liczebnie od przeciwnika, bądź złożone z powolniejszych okrętów. Wówczas to jednostki tworzyły okrąg, ustawiając się taranami na zewnątrz – frontem do wroga. Rzymianie, znani z walorów swych sił lądowych, ulepszyli znacznie technikę abordażu. Aby ułatwić własnym żołnierzom przedostanie się na nieprzyjacielski okręt i nadać starciu morskiemu charakter bitwy na twardym gruncie, zaopatrzyli swe okręty w ruchome pomosty, tak zwane kruki (corvus). Miały one jedenaście metrów wysokości i jeden i dwie dziesiąte metra szerokości, z każdej strony były zabezpieczone balustradą, a dodatkowo zaopatrzone były w żelazne dzioby. Każdy taki pomost był przymocowany do ośmiometrowego słupa ustawionego na dziobie okrętu. kołowrotowi, wspomnianemu słupowi oraz linom przewleczonym przez jego wierzchołek, możliwe było podnoszenie i opuszczanie opisanej kładki, a także obrócenie jej na dowolną burtę okrętu. Aby cała konstrukcja była stabilna, używano specjalnego kolca bądź haka (coitus) na końcu pomostu.

W Internecie mamy więcej miejsca.

HIST MAG .ORG

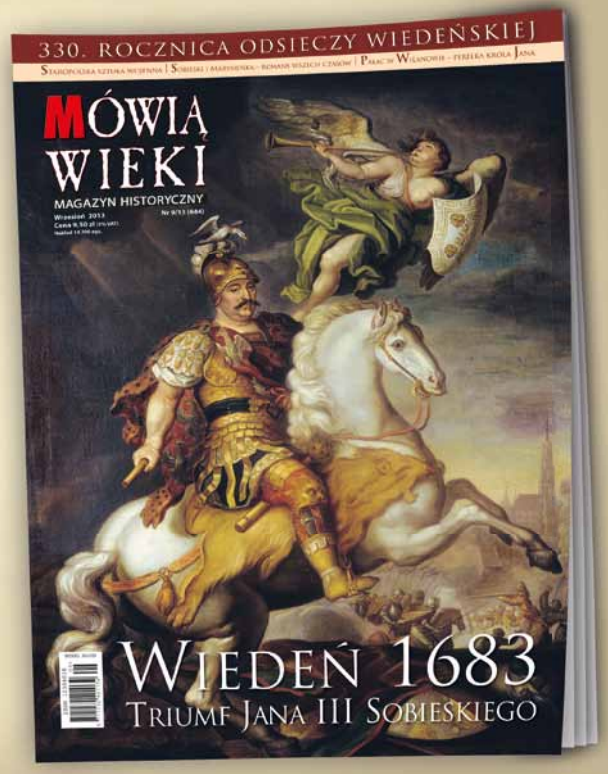
Pierwszy polski portal historyczny
www.histmag.org

MAGAZYN HISTORYCZNY „MÓWIĄ WIEKI"

Popularyzujemy historię od 55 lat!

Wrześniowy numer jest poświęcony królowi Janowi III Sobieskiemu z okazji 330. rocznicy bitwy pod Wiedniem. Przeczytacie w nim o:

- trudnym sojuszu Ludwika XIV i sułtana Mehmeda IV.
- rozkwicie staropolskiej sztuki wojennej.
- kulisach polityki Jana III Sobieskiego – nad tym, czy warto było iść pod Wiedeń zastanawiają się prof. Mirosław Nagielski i dr Dariusz Milewski.
- bitwie wiedeńskiej – jej przebiegu i konsekwencjach.
- dwóch bitwach pod Parkanami – klęsce i triumfie Sobieskiego.
- codzienności na królewskim dworze.
- pałacu w Wilanowie – ukochanej rezydencji Sobieskiego.
- gorącej miłości króla Jana III i królowej Marysieńki.
- zwycięstwie armii polsko-francuskiej pod Civita Castellana.



Ponadto w miesięczniku: aktualności historyczne, recenzje książkowe i filmowe, anegdoty sprzed wieków

„Mówią wieki" można nabyć w salonach EMPiK, Kolportera, Garmonda, Inmedio oraz dobrych kioskach RUCH-u. Prenumeratę realizują Bellona SA i RUCH.

Zapraszamy także na nasze strony internetowe:
www.mowiawieki.pl oraz ***www.facebook.com/mowiawieki***